



JAKÓB WASSERMANN

ALEKSANDER W BABILONIE

P O W I E Ś Ć

przełożył

KAZIMIERZ CZACHOWSKI

**Pełna barwnych, wspaniałych obrazów, przykuwa
jąca uwagę i głęboko wzruszająca**

powieść o Aleksandrze Wielkim

arcydzieło znakomitego powieściopisarza.

**KRAKÓW – WARSZAWA
WYDAWNICTWO „PANTEON“**





JAKÓB WASSERMANN

ALEKSANDER W BABILONIE

POWIEŚĆ

Z UPOWAŻNIENIA AUTORA PRZEŁOŻYŁ

KAZIMIERZ CZACHOWSKI

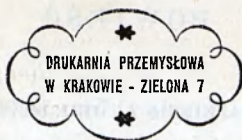
KRAKÓW — WARSZAWA

WYDAWNICTWO »PANTEON«

.....
KRAKÓW, KSIĘGARNIA POWSZECHNA

1878

I



5, -

X-35419
7781

I

PROLOG.

Dziewiątego dnia macedońskiego miesiąca Lus niedostatek począł się wzmaczać najsilniej.

Straże przy zapieczętowanych zapasach mączki rybiej i ryb suszonych, zwalczone głodem, przełamały królewskie pieczęcie; gdy zaspokoili pierwszy głód, musieli podzielić się i z innymi, wśród ryku cisnących się wokół, również głodujących wielbłądów. Jednym z pierwszych zuchwalców był tesalijczyk Pazas.

Nieszczęsnem przeczuciem zdjęci dowódcy stali w przyzwoitej odległości. Żaden nie śmiał wkroczyć, albo donieść o zdarzeniu.

Obie ręce Pazasa były wypełnione białem, prochowatym jadłem, a on śmiał się, śmiał się jak ów Filistion, o którym opowiadano, iż umarł od niepowstrzymanego śmiechu.

Podeszło kilku Macedończyków z zastępów szlachetnych. Nie chcieli brać udziału w niecnocie, choć głód dokuczał im, przebiegając ich kiszka niczem rozżarzone kule żelazne. Wzrok

ich kierował się tępo na wschód; wydawało się, iż widzą jeszcze opuszczone tam bogate miasta. Ale naokół rozciągała się ciemno-żółta i bezdżysta pustynia.

Nastąpiła noc. Nadeszła nie zwolna, lecz nagle, jak przerażenie. Żołdacy, którzy się nasycili, z palącym gardłem poszukiwali wody; słone jadło podnieciło ich pragnienie nie do wytrzymania. Nie zważając na towarzyszy z zapadniętymi oczami dyszących w gorącym piasku, następowali na ciemne ciała, zbyt wyczerpane, aby mogły się im przeciwstawić. Nie płonęło ani jedno obozowe ognisko; tylko w dali na tyłach wojska, wśród kupców fenickich, wznosiło się nieco ognia, podsycanych wonnem i kosztownem kadzidłem.

Jeden z poszukujących wydał z siebie fałszywie brzmiący okrzyk triumfalny. Przy jakiejś odwianej dunie odkrył kałużę z mętną, cuchnącą wodą; leżał przy niej całym ciałem, pijąc już nie ustami, ale całą twarzą. Ciężko dysząc, rzucili się pozostali, aby pić bezgłośnie, usiłując zachować w tajemnicy swe odkrycie. Ciała ich drętwiały z rozkoszy.

Skoro jednak rozszedł się po powietrzu smród wody, poczuły go leżące obok zastępy pionierów. Na bezsilnie chwiejących się nogach przyczołgali się tu, gubiąc po drodze hełmy i czapki. Za kilka chwil miejsce, gdzie było dawniej nędzne łożysko rzeczne, wyznaczała ciż-

ba członków ciał, gęb i głów, a setki spóźnionych grzebało się, wyjąc, w piasku.

W szeroko rozpostartym obozie panował nie spokój snu, lecz ołowiana cisza doszczętnego zmęczenia. Gwiazdy świeciły duże i czerwone, droga mleczna biegła białą żarzącym pasem z jednego kraju niebios na drugi. Tu i ówdzie powstawali żołdacy, z drżącą trwogą nadśluchując ryku dzikich zwierząt w oddali.

Późną nocą jeden z piechoty przyczółgał się do wozu taborowego, przy którym stały konie. Krótkim mieczem jednemu z nich poderzwał gardło; gdy koń się walił, upadł równocześnie z nim i tryskającą krew żłopał swą wyschniętą paszczką.

Z nadejściem rana Arkadyjczyk Amissos pobiegł do swego dowódcy roty. Nic nie mówiąc, radośnie nadymając zapadłą twarz, wskazywał w dal.

Wielu tam spoglądało. Cyprysy wznosiły zielone kształty nad kraj pustyni, a w tyle za niemi błyszczało coś, jak dach, wsparty na słupach. Niektórzy zaczęli już wznosić radosne okrzyki, lecz jakby zmiotła go burza, znikł czarujący obraz.

Amissos padł na ziemię, jak zabity; położono go na wozie, na którym znajdowali się chorzy i osłabieni. „Mój drogi Amissosie“, mówił do niego siwobrody pułkownik, „czy to nie szkoda

było rodzić się, gdy tak się musi umierać? gdzie nasze doliny, nasze winnice, nasze rozkoszne place u bramy miejskiej, skąd, bawiąc się, patrzyliśmy na morze?“.

„Milcz, stary psie!“ wyjęczał inny, powalony spożyciem zepsutego jadła. „Czy nie widzisz, że chcemy umierać w spokoju? pocóż dręczysz nas jeszcze twemi przekłętymi placami u bramy miejskiej?“.

Amissos patrzył; wszyscy patrzyli i widzieli cytrynowo-żółtą, suchą i pustą pustynię. Ponad nią kłębiło się niesamowicie blade niebo, w dali obrzeżone różowawym kręgiem drżącego powietrza. W bezgranicznie wszcz i wzdłuż rozpostartym pochodzie wojska widziano niezliczone szeregi konnych zastępów, koń na koniu, człowiek na człowieku. Z pysków nisko opuszczonych głów końskich ciekła piana. Niekiedy padał któryś, jak spalone polano; sprawiona jego upadkiem luka widoczna była przez długie godziny. Szkliste oczy zwierząt i ludzi patrzyły bez celu. Serca i mózgi były wypalone.

Przez drzemiącą pustynię przebiegała zmora południa. Zwolna wznosił się kurz, jak bańki powietrzne w wodzie; wnikał w pory cielesne i piekł w nich. O, Kononie, gdzież twoje wiersze, twoje nieobyczajne żarty, twój sprzedajny żywot pochlebcy?

Literat Konon znajdował się wśród ciurów obozowych. Wiózł on ze sobą z Indyj tuzin złotych kubków, pięć naszyjników i jeden płaszcz purpurowy. Wszelkie wiersze były teraz bezdźwięczne i zbyteczne, płaszcz purpurowy zwiślał z pleców brudny i potargany, złoto nie miało wartości i było ciężarem.

Kobiety siedziały na wozie głucho pogrążone w sobie. Niektóra trzymała niemowlę, bez nadziejnie przyciskając je do łona, jakby chciała posłać je z powrotem w pra-noc kobiecego ciała, gdzie miałoby jeszcze pożywienie z wyczerpanej krwi. Inne szły pieszo, piastując na rękach większe dzieci; gdy w końcu padały na gorący piasek, ich wołania o pomoc długo jeszcze brzmiały w obojętnych uszach idących dalej. Dziewczyny lesbijskie, tancerki mileckie, nierządnicę egipskie, dziewczki syryjskie leżały wokół w piasku, umierając w męczarniach.

Gdy nadeszła godzina odpoczynku, rozległo się naraz, że w obozie jest woda. Jak robak, co długimi zwojami zapełniwszy w królestwo podziemne, zwija się na noc, tak przez długie godziny szli jeszcze w ciemnościach wyczerpani maruderzy. Strumyk wody, wąski, jak dłoń, ciekł skalnem wgłębieniem. Tysiące, niepowstrzymane żadnem wołaniem ani żadnym rozkazem, skupiły się tam i, skomląc, lizały wilgotny głaz. Oddział zbrojnych w okrągłe tarcze rąbał swemi siekierami sprzęty, drabiny, tara-

ny, dyszle; rozpałił niemi ogień, poczem zarznął kilka koni i chorego słonia.

Tymczasem, daleko na północy, w górach Gedrozji oberwała się chmura. Wody waliły się skalistemi dolinami na otwarty ląd, w dół na pustynię. Potop przyszedł w połowie nocy; wieloramienna rzeka zaskoczyła śpiących, zanim mogli ratować się na jej brzegach. Mężczyźni, kobiety z dziećmi, zwierzęta, stłumione ognie, bronie, namioty, wszystko spłynęło. Przeraźliwe okrzyki mieszały się z głuchym szumem wód, wśród ich syków w piasku rozlegały się modlitwy, przekleństwa, śmiertelne rżenia, obłąkane chichoty. A po godzinie wszystko było, jak przedtem, dzikie fale wód znikły i wciąż nadchodzący maruderzy umierali z pragnienia. Rzucali się, aby zwilżyć usta i języki, na mokre ubrania i ciała zabitych, na rozpuszczone włosy dziewczek, na płaszcz purpurowy Konona, leżącego tu ze zwitkiem rękopisu w mocno zaciśniętej dłoni; była to pieśń pochwalna dla Hefajstiona, dowódcy zastępów szlachetnych i królewskiego przyjaciela.

Dowiedziano się, że król Aleksander przeznaczył dzień następny na wypoczynek; odtąd miano maszerować tylko nocami.

Aleksander leżał w namiocie na niskiem łożu; w nogach siedział Hefajstion ze skrzyżowanemi kolanami, z głęboko pochylonem cia-

łem. Aleksander szeptał, błyskając wilgotnemi, białemi zębami w półmroku, przy każdym ruchu warg. Niemal każdemu słowu wtórowało niespokojne potakiwanie głową. Podniósł się, nieco skośne lewe ramię jakby ugięło się pod brzemieniem niewidzialnego ciężaru, wziął w swoje ręce obie ręce Hefajstiona i mówił i mówił i szeptał i szeptał. Niejasna, podniecona melodja słów: przysięgi, projekty, niecierpliwosć z powodu czasowego niedostatku, było to, jakby olbrzym ciężko stąpał po ziemi, a zarazem, jakby dziecko kroczyło, potykając się; jego strzelające oczy zdradzały przytem ból z powodu niepowodzeń.

Hefajstion milczał. Ale jego spokojnie płonący wzrok mówił dosyć: czemu troskasz się, czemu burzysz się? żywioły nie idą ci na rękę, uspokój się; opanuj się, nieszczęsne serce, nie daj się ponosić!

Bosemi nogami biegał Aleksander tam i z powrotem; tam i z powrotem coraz prędzej, coraz szaleniej. Szata nocna niczem płaszcz rozwiewała się za nim. Rzucał niezrozumiałe słowa, zaciskał pięści, marszczył twarz, wilgotne włosy opadały mu na czoło i na jeden policzek. Podeszedł do zasłony namiotu i zerwał ją.

Płowo wydobywał się poranek z głębokiego wschodu pustyni. Jak cienie praświata, na lewo i na prawo wznosiły się naniesione wiatrem du-

ny. Straże zapadły w sen. Jedyne człowiek stał oparty o słup, czarny i spokojny.

Niezgłębiona samotność!

Z głębi patrzącym wzrokiem spojrzał Aleksander w pustkę. Zdawało się, jakby wyzywał pustynię do walki.

Z nadejściem wieczoru podniósł się burzliwy wiatr, który zawiął skąpe ślady drogi. Z wybrzeży zabrani przewodnicy nic nie mogli rozpoznać, stali na miejscu, nie ruszając się, zastrwożeni zwątpieniem, obok stojących paziów Aleksandra. Wróżbici usiłowali wskazać kierunek za pomocą gwiazdozbiorów.

Charmides, jeden z najmłodszych paziów, siedział na swej nizejskiej klaczy, z kolanami kurczowo wzniesionymi, z zamkniętymi oczami. Niekiedy śpiąco dotykał szyi zwierzęcia, jakby poszukiwał swych towarzyszy. Wielu z nich już tu pozostało: Filippides o blond włosach, którego tak oczarowała indyjska niewolnica, że dla niej modlił się do obcych bogów; Medon, szczególnie przez Aleksandra umiłowany za swoją dzielność; Himeneus, najpiękniejszy młodzieniec z Pelli; Amfinomos, ulubieniec gwardzisty Ptolomeusza. Słońce ich zabiło, piasek po-grzebał.

Z otwartymi w tępy ból oczami Charmides ujrzał się nagle sam. Całe wojsko zdawało się być zabranem z padołu ziemskiego. Ciemno ró-

żowe powietrze drżało wokół niego, głowę miał głęboko w tył przechyloną, jakby w karku złamaną. Już ustawało mu serce. Skóra na całym ciele była nabrzmiąta. Wtem zabrzmiał głos, przeraźliwszy, niż głos hierofanty podczas misterjów. Czy był to głos boga, czy głos śmiertelnika? Zupełnie wyczerpany koń raz jeszcze ruszył się wprzód, poczem utknął nagle na ostrym głazie, jakby przecięto mu ścięgna w kolanach. Słysząc było, że krwista piana kapie mu z pyska na ziemię. Skóra na nim zadrżała, poczem już nie poruszył się. Stojąc, skończył, zdętwiał.

Charmides osunął się. Chciał wołać. Gdy otwierał usta, zauważył z nieopisanem przerażeniem, że powietrze z jego ust wychodziło bez dźwięku. Położył ramię na grzbiecie konia i wsparł czoło o parującą jeszcze miękkość kaddłuba. Jego wewnątrz załamujący się wzrok ujrział ostatni obraz: czerwono złociste wzgórza na wybrzeżu Ambrakji, tam, gdzie była jego ojczyzna.

Mrok nocy nie mógł zataić pełnych bólu grymasów twarzy. Każdy w cierpieniu drugiego widział nieubłagane odmalowany swój własny los. Oczy zwierząt po ludzku patrzyły męką załaty, oczy ludzkie lśniły zwierzęco. Porządek wojska uległ rozprzężeniu, jedni tłoczyli się na drugich, bezładna gromada nierozłącznych cieni. Mocniejsi łaknęli krwi tych, co walczyli już ze

śmiercią. Błagania opadłych rozbrzmiewały grozą; ich wrzaski wabiły hjeny. Naokół leżeli obłąkani, ryjąc nagiemi ramionami w piasku. Mimo wielorakie głosy umierających, mimo jęki i rżenia, mimo biadania kobiet i zawodzenie dzieci, mimo bezustanne świsty powietrzne, panowała jednak osobliwa cisza. Wydawało się, jakoby wszystkie te głosy i szmery wychodziły z wnętrza ziemi. Droga dla maruderów, którzy znowu potrafili się podnieść, była wyraźnie wyznaczona. Ale po kilku godzinach lotny piach zasypywał wszystko: trupy wszelkiego wieku i płci, ścierwa koni, psów, wielbłądów i mułów. Tu leżały porzucone hełmy, tarcze, miecze, łuki i dziudy. Ówdzie złote dzbany, perły i klejnoty; kolczyki z kości słoniowej, wyrobionej w przedziwne kształty; białe buciki skórzane z barwionemi podeszwami i wysokimi obcasami; jaszczury, złotem zdobione szkatułki i małe szafeczki, w których przechowywano barwidła i maście; batystowa bielizna, ubrania z wełny, białej jak śnieg, na której srebrnemi nićmi było wyszyte nazwisko właściciela; monety różnego rodzaju, srebrne przybory do palenia, miedziane naczynia kuchenne, złote kamee, złote pierścienie, złote figurki i złote zwierciadła.

Niewzruszony niszczącemi siłami pustyni szedł Indus Kondanyo wśród gromady żołdaków. Ich oblicza były powiędłe, oczy głęboko

mieniem, w jakie wprowadził ich Aleksander, we trzech zdążali za nim na upadających od zmęczenia zwierzętach. Wzrok, słuch, dotyk, wszystkie zmysły w nich zamarły. W paszczekach dławili własne języki, leżące na podniebieniu, jak czarne bryły.

Eumenes mówił błędnie. Olbrzymi Seleukos drżał na całym cieple z tajemnego przerażenia. Z żółto-rozpalonych oczów Leonnatosa kapły wciąż grube krople łez, które starał się pochwycić wargami.

Aleksander nie odwracał ku nim głowy, jakgdyby nie chcąc powstrzymywać swej jazdy naprzód. Nieludzko cierpiał z pragnienia. Od dwóch i pół dnia nic nie spożywał. Śmierć, której nie było, była wypisana w jego płonących oczach, co chciały zniewolić do posłuchu powietrze i ziemię.

Było beznadziejnie. Po pięciu godzinach musieli zawrócić. Wyschnięte łożysko wodne służyło za wskazówkę kierunku. Gdy powrócili do obozu, niebo było pokryte szkarłatną czerwienią zachodzącego słońca. Na północy podłużny obłok stał cały w płomieniach. Ziemia i niebo zdawały się oddychać tylko ogniem.

Powoli jechał Aleksander wśród porzuconych ciał zastępów szlachetnych. Gdy zsiadał z konia, zobaczył żołdaka, ostatnim wysiłkiem upadających sił ssącego próżną pierś jakiejś kobiety.

Demonicznie bystre oczy były nań skierowane. Przez mgłę gorączki rozpoznawały go tylko niekiedy. Czołgały się ku niemu, uciążliwie czołgały się ku niemu, ku zdobywcy Azji. Ramiona sztywno wyciągnięte, szaty potargane, brody zlepione krwią; niektórzy z piaskiem w ustach śmiali się obłędnie; inni z szalonej męki poodgryzali sobie u rąk skórę i mięso. „Ratuj nas, Aleksandrze!“ wołali z wykrzywionemi od gniewu twarzami i z bezsilnie zaciśniętymi pięściami. „Ratuj-że nas, jeśli jesteś synem bożym! Pokaż-że teraz, że jesteś synem bożym! Pomóż nam, ratuj nas!“.

Aleksander wstąpił między krzyczących. Głowę miał pochyloną, oczy przymknięte. Na jego twarzy można było czytać napływ strasznego zwątpienia. Z piersi wydobywało się łkanie, rysy skurczyły się od bezłzawego płaczu. Zatrważającym był odwrót Macedończyków. Widok ten przerażał go więcej, niż pustynia.

Z nadejściem nocy podnosił się z ziemi, kto jeszcze czuł w sobie życie. Bezpromiennie, mdło świeciły gwiazdy za gwiazdami. Dusze tych, co tam odeszli, skarżąc, wznosiły się ku nim i, skarżąc, wracały z powrotem, potępione na wieczny niepokój, gdyż ich niepogrzebionych ciał nie okrywało purpurowe sukno. Aleksander pojmował ich nędzę, jego wyciągnięte ramię odpędzało od siebie urojone kształty. Jego szeroko

rozwarłe oczy przebiegały krąg gorączki i cierpienia.

Różowy mrok rozdał się, widać było morze, wodami szła kobieta. U jej kolan falowała gwieździsta szata, w ręku trzymała pochodnię, wyła i szlochała, jak samo morze, a gdy przestała wyć i szlochać, rozległ się rozrywający serce, orficznie posępny śpiew. To matka, Olimpja, księżniczka, wtajemniczona, kapłanka samotraczka, nieprzyjaciółka ludzkości. Dokąd dąży? skąd idzie? Z jej otwartych ust buchają płomienie; w zębach trzyma krwawe mięso ofiarne; fala, na którą wstąpi, umyka, skowycząc jak zbity pies; w jej oczach mord, krew, zniszczenie, pogarda losu. Naciera na Aleksandra; pobudzona obliczami strachu może ucieka przed śmiercią, o której nie myślała nigdy, odkąd spoczywała w ramionach libijskiego boga i z nim spłodziła Aleksandra.

Obawa trzymała go zawsze zdala od matki. Spogląda wstecz na swe dzieciństwo i młodość, jakby tych lat trzynastu nie było wcale, przeżywa je jeszcze raz, z zadziwieniem przygląda się samemu sobie, posępnemu chłopcu na dworze pellijskim, bezradnemu wobec mocy tkwiących w jego własnej piersi, zawsze zdziwionemu i zgębionemu w tych oparach wybryków, intryg, podejrzeń, okrutnych bezpraw. Ojciec i matka każde dla siebie używający życia; tu i tam donosicielskie, podstępne psy i złe sługi,

wyczekujące chwili śmierci królewskiej; szcęk wojny, swary stronnictw, kłamliwe i za pożyczki urządzone uroczyste parady, niespokojne bałamucenie dni, gryząca niepewność przyszłości. A sam Aleksander, tama wszelkich ambicji, pożądaný łup oszczerców, obawiający się samotności, bo mógłby popaść w ręce skrytobójców, i przytem pełne grozy godziny z matką! Jak ona go pieści, jak go chłoszcze! Jak nocą wyrывa go z łóżka i wygania na niepogodę i nosi na kraj nieprzyjacielskich ognisk obozowych, aby go doświadczyć, czy nie przestraszy się, i jak triumfalnie kroczy, cisnąc go do piersi i całe jego ciało pokrywając pocałunkami, gdy on, śmiejąc się, pokazuje w lesie nastorczone dzidy!

A gdy marząc, idzie z pochyloną głową, ona go ciągnie za włosy przez dziedziniec pałacowy i przy okrzykach i śmiechu dziewczek bije tak długo, aż nie omdleje nieprzytomny.

Ojcu wszystko to jest obce, życie swoje dzieli między wojny i rozkosze; nienawidzi zamkniętej i zastanawiającej się natury Aleksandra, obawia się młodości, im więcej przeraża go starość. Jest równie bezbożny jak mądry, równie nieumiarkowany jak odważny; kazirodztwo i homoseksualizm, zdrada i mord czynią z jego obozu i z jego domu nieczne miejsce pobytu; za pomocą najohydniejszych dziewczek i najwstrętniejszych nieponi między dwiema bitwami urządza spiski na życie swej żony i swego syna. Ale-

ksander musi uciekać. Zimowa niegościnnność gór uczy go niedostatku; wątpi w siebie i w świat; namiętny list matki, w którym przypomina mu o jego boskiem pochodzeniu, jest mu obojętny; terażniejszość jest mu gorzka, przyszłość beznadziejna, o przeszłości nie chce wspominać. Dni upływają na brzegu morza Illiryskiego; jedyne, co go uspokaja, to widok daleko rozciągniętej linii, łączącej niebo z morzem, rzeczy i ludzie napełniają go odrazą, jego chód, jego wzrok, wyraz jego twarzy robią wrażenie kogoś pomieszanego, pomyłonego, obłąkanego. Jego lat piętnaście miały doświadczenie lat stu.

Potem przyszedł Hefajstion. Nieśmiało i niezauważony, już na dworze królewskim trzymał się w pobliżu Aleksandra. Aleksander nie widział go nigdy, jego przeważnie spuszczone oczy uchylały się zawsze spotykanym spojrzeniom. Hefajstion był w Atenach; nauki i przykład prawdziwej filozofji uporządkowały i zaostrzyły jego umysł. Widział ojczyznę, choć sławną na zewnątrz, wewnątrz shańbioną. Nadzieje jego skierowały się na Aleksandra, i dlatego przybył do zbiega nad morze. Niezapomniana godzina! Niezapomniane pierwsze serdeczne zapytanie Hefajstiona i jego głęboki głos, brzmiący nieco urywanie od wewnętrznego wzruszenia. Potem Aleksandra milczenie, jego zuchwałość, jego płacz, jego nieskończone skargi; i Hefajstion zgijnający się głucho; słodki pocałunek braterski!

Rozbudził się wtedy Aleksander, i niebo ukazało mu inny widok. Zadrżał, aż do wieczora drżało jego ciało, zrzucił z siebie odzienie i pogrążył się w morze, jego członki pragnęły walki, zmagął się z pieniącemi falami.

W rozmowie dusze ich porozumiały się. Przyszłość nabrała kształtów. Jeśli Aleksander ukrywał się dotychczas, jak zwierzę, jak zwierzę, jak niewolnik znosił głucho nieuchronność, teraz przeciwstawiał się bogom, wydawał się powołanym do boskości, i wierzył w boskie objęcia matki.

I nadeszły dni i noce, w które zmieniały się zwątpienie z ufnością, osłupienie z szaleństwem, poczucie boskości z trwogą przed ludźmi. Hefajstion jest strażnikiem chorej, rozpalonej duszy. Wszyscy boją się Aleksandra; chodzą słuchy, że jego gniewna ślina działa, jak trucizna; unikają go, jego obecność wzbudza przestach.

Przyjaciele udają się do Aten. Najwystępniejsze ze wszystkich miast budzi w Aleksandrze wstręt, odbierający mu sen. Najmniej znaczące wrażenia działają nań z zastraszającym nieumiarkowaniem. Nieumiarkowane są jego czyny, jego myśli, jego marzenia, jego obawy, jego zamiary. Jego siła cielesna jest niewyczerpana, nie męczą go ćwiczenia, najdziksze konie poskramia z łatwością; kto wstąpi z nim w szranki, zostaje zwyciężony niemal już samą

wspaniałą jego podstawą; w szkołach filozofów jego umysł zwraca uwagę; gardzi tradycją i ob staje za nowością; prawdziwa wielkość i piękno wzruszają go tak, że całymi dniami jest jak nie-przytomny, i rzadkie są godziny, w których je-go umysł jest spokojny. Wtedy jednak dzieje się w nim coś czarodziejskiego, i ci, co go takim wi-dzą, oddają mu się na zawsze, kto raz jeden zo-baczy jego niebiański uśmiech, nie może go ni-gdy zapomnieć.

Bez Hefajstiona wszystko poszłoby inną drogą. Dopiero teraz, na pustyni, gdzie życie sta-ło u samego krańca, teraz zrozumiał Aleksander, nad jakimi przeszedł otchłaniami świata. Roz-myślając tak o przeszłości, oglądając się wstecz, wstecz przeżywając, rozpoznał w Hefajstionie wybawcę, który na progu każdego poranka za-palał słońce. I co to był za dzień, gdy nadeszła wieść o śmierci ojca; wówczas przyszedł Hefaj-stion, z gołym mieczem w dłoni, z obliczem roz-żarzonem wzniosłem pragnieniem, zdawał się być przebudzonym z jakiegoś śmiałego snu, rzu-cił się do nóg Aleksandra i dał mu miecz i przy-sięgł, iż nie zapomniał, że byli przyjaciółmi, ale że Aleksander tem więcej winien być władcą.

O, miesiące! O, lata! o gdzieżeście! Świat składa się już tylko z umierających i skazanych na śmierć. Żadnego innego już zajęcia, jak tyl-ko dla oprawcy. Zamiast wody krew płynie stru-mieniami i rzekami, krew przewala się do mo-

rza, krew wypełnia jego wybrzeża, krew pada z nieba, krew rosi trawy, płomienie palących się wsi i miast na czerwono od krwi są zabarwione; ludy, walczące o swoje ostatnie mienie, taczają się po polach bitewnych; na polach, zamiast zboża, rozsypane są trupy; gorzkie błagania królów i książąt rozlegają się w ogólnym szczęku broni; świat podziemny nie może już pomieścić dusz poległych, na ziemi niema już miejsca na groby, życie ludzkie stało się tańsze, niż figi, a kruki zaczynają pogardzać padliną. Aleksander dumnie zdąża w oparach mordów i bitew, od Pontu aż do Indyjskiego Oceanu czolga się w prochu ludzkie robactwo, każdy przeciw niemu opór byłby obłędem, jego imię budzi zgrozę i zdumienie, bierze kraje w posiadanie, niepokonany jak zaraza; i wielki król perski ucieka przed nim na ostatni kraniec swego państwa i ginie z rąk jakiegoś parobka.

Aleksander nie miarkował upływu czasu. Gdyby on nie dzielił się na sen i czuwanie, na światło i mrok, gdyby nie zmieniały się słońce i księżyc, wszystko byłoby mu jednym dniem. Czas biegł przed nim, jak szybka kula, za którą musiał zdążać w szalonym pędzie. Brak pory na zastanawianie się. Jest to ucieczka i zabawa, ucieczka przed samym sobą, zabawa z rzeczami i ludźmi, zabawa z przypadkiem; każda korzyść chwili uchwycona i wyczerpana; on nie spostrzega, że wokół niego oczy straciły swobodę

i napełniły się nieszczerą powolnością, pocóż zważać na to? Przeciwnieństwa muszą upaść. Wszystko patrzy na jego usta; gdy on mówi, jego istota jest im niepojętą, czują głucho, iż tylko on łączy ich ze światem, z życiem, z boskością, z ludzkością, on jest tajemnym żywiołem, co rządzi ich losem. Dlatego grają z nim swoją rolę, nie bez wciąż dręczącej obawy, nie bez przeczcucia, iż pewnego dnia wybije godzina; stąd ich zabawy, ich orgje, ich uciechy, ich czyny i posunięcia nie są pozbawione dziwnego pośpiechu, zdradliwego niepokoju; każda burza przeraża ich, za każdym zachodem słońca wydaje się, jakoby chcieli się przekonać, czy istotnie wzejdą znów gwiazdy. Niepowstrzymane i nieograniczone są ich mowy, ich nadzieje, ich czynności; ogrom szczęścia już ich nie przeraża, nie przeraża ich i nieszczęście, stali się stworzeniami lekkomyślnymi, ślepymi, trzepocącymi się, nie należącymi już do siebie.

Wszystko to zrozumiał teraz Aleksander. Nie z całą jasnością, lecz mglisto i niewyraźnie. Zawołał imię Hefajstiona. Hefajstion jechał tuż za nim i odpowiedział. „Więc żyjesz“, wyszeptał Aleksander, sięgając po rękę Hefajstiona. „Byłeś tylko ty żył, Hefajstionie, byłeś tylko żył“.

Babilończykowi Nersarowi powierzono prowadzenie jednej części wielbłądów. Z ośmiuset zwierząt pozostało mu jeszcze dziewiętnaście.

Wszystkie naraz podniosły głowy i nozdrzami wietrzyły wysoko w powietrzu. Czy był to poranek, który czuły? Przednie ze zwierząt wydało przenikliwy, daleko rozlegający się ryk, podobny do brzmienia trąbki tyreńskiej. Pozostałe zwierzęta w najwyższym podnieceniu skupiły się koło siebie i w końcu z dzikim pośpiechem pobiegły na zachód. Babilończyk osłupiał. Upadł na kolana, skrzyżował ręce na piersiach i głośno wykrzyczał formułę zaklęcia, odganiającą złe duchy:

„Siedmioro, siedmioro,
w głębokim nurcie wód.
Nie mężczyźni, nie kobiety,
siedmioro, siedmioro,
powietrzni i bezkształtni,
bez żon i bez dzieci,
wrogowie Boga.
Źli, źli, niewolnicy,
jest ich siedmioro.
O duchu niebios, zaklnij ich!“.

Obok Nersara dał się słyszeć głuchy, skowyczący głos. Prosił o łyk wody wielbłądziej. „Zlituj się nad umierającym; gdy dojdziemy do Suzy, daruję ci trzystu niewolników“. Był to znakomity Macedończyk, brat gwardzisty Perdikasa.

Babilończyk skoczył na nogi. Z gardła jego wydobył się głos, inny, niż głosy od sześćdzie-

sięciu dni i nocy. Tu i tam latającemi rękoma wskazywał przed siebie, tam, gdzie nisko nad ziemią wznosiły się obłoki poranne.

„Drzewo! drzewo!“ ryczał baktryjski poga-niacz osłów.

„Ofiaruję ci siedem naczyń, do tego ofiaruję trzcinę, drzewo cedrowe i mirt“, bełkotał Nersar, z radości szalejąc i kręcąc się wokół siebie, „siedem naczyń dla ciebie, bogini życia, siedem naczyń“.

„Uluda pustyni“, skarżył się beznadziejny głos.

Setki stały z białemi czołami i wpatrywały się tam, niepewni, w co wierzyć. Pomału niektórzy poszli naprzód, krok za krokiem, człowiek obok człowieka, nieodrywając stamtąd oczu, jakby obawiali się, że skoro tylko spojrzą na ziemię, wszystko rozwieje się, jak dym.

Ale coraz wyraźniej wznosił się górzysty kraj, zielenią zarosły, różowo błyszczący w świetle porannem.

Łkali z zachwytu ci, co przynieśli wieść Aleksandrowi. On nie podzielał radosnego wzruszenia. Przez chwilę stał bez ruchu. Potem nachylił się, wziął pełną garść miążkiego, żółtawego piasku i przypatrywał się, czy przeleci przez otwory między palcami równie szybko, jak woda.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

DIADEM.

Działo się w Suzie z początkiem wiosny. Od trzech dni przybyło wojsko z pustynnej Persji. W Persepolis odbył Aleksander straszliwy sąd karny; namiestnicy, sędziowie, generałowie, poborcy podatków, w znacznej części darzeni przez niego zaufaniem, długi jego pobyt w Indjach wykorzystali na haniebny ucisk i przemoc. Aleksander spędził razem oszustów, wicherzycieli, rabusiów świątyń i pijawki miejskie, Greków, Macedończyków i barbarzyńców, i przestępcze głowy padły pod mieczem. Już na końcu odkryto znieważenie grobu Cyrusa w Pasargadzie. Skradziono złote naczynia, dary ofiarne, diadem bezcennej wartości, zabito dzierżących straż magów i ich trupy poszarpano. Złoczyńca jeszcze nieodkryty znajdował się między wojskiem.

Od szarego świtu do północy ulice przepęłniał wielogłowy tłum. Macedończycy, Tesalij-

czycy, Grecy, Trakowie, Lidyjczycy, tłoczyli się koło bazarów i na targu kupców fenickich; gwiaździarze, wróżbici, lekarze, hetery, niewolnicy, rzezańcy, aktorzy, soliści, indyjscy kuglarze, syryjscy tancerze, atleci i pięściarze, pomnażali niezliczone mrowie, pstre barwy, dziwaczne twarze i niezrozumiałe języki. W bramie muru miejskiego wystawali znakomici Suzańczycy, dopytując się o przygotowane wielkie uroczystości weselne, gdyż Aleksander miał poślubić księżniczkę Stateirę, a jego przyjaciele najszlachetniejsze Persjanki.

Na górze na wielkich dziedzińcach kolumnowych pałacu obozowała część królewskich zastępów szlachetnych. Leniwie i w dobrych humorach porozciągali się setkami na skórach, płaszcach i haftowanych nakryciach, a rozmowy ich rozbrzmiewały donośnym głosem. Dzidy stały w kozłach, oparte o kolumny; spiżowe hełmy, jak szkło błyszczące w wieczornej czerwieni zachodzącego słońca, leżały w nieładzie na marmurowej posadzce, wśród puharów, amfor, perskich naczyń emaljowanych i wypełnionych owocami i ciastami trójnogów. Pod cedrowym stropem dachu był już zupełny mrok, i zdawało się jakgdyby wieczór stamtąd opadał na wspinające głowice kolumn, przedstawiające podwójne głowy byków o wielkich rogach, i opuszczał się na wytworne lotosy, zdobiące boczne ściany, i na do połowy wzniesioną postać kamienną ja-

kiegoś króla. Postać to była żywo wyobrażona; w wąskiej szacie medyjskiej, z tiarą na głowie, z berłem w prawej ręce, z kwiatem w lewej, zdawała się oddalać powoli i smutnie z pośród obcych zastępów.

Siestę oddziału przerwał zgiełkliwy hałas, dochodzący od tarasu. Piętnastu do dwudziestu Macedończyków tłoczyło się około jednego człowieka, którego wśród pogroźek i przekleństw wciągano po schodach. W jednej z leżących grup powstał tetrarcha Fazon i podszedł do zgiełku. Gromkim głosem nakazał spokój. Jakiś żołdak meldował, nie łapiąc tchu, że tam na dziedzińcu przytrzymali człowieka, Macedończyka z zastępu napiętnowanych, nazwiskiem Promachos. Podaje on, że przychodzi z Ekbatany, i opowiada, że zdąża tu trzydzieści tysięcy młodych Persów, uzbrojonych po macedońsku i biegłych we wszelkich ćwiczeniach falangi.

„W tem kłamstwie poduszają się jego nieurodzone dzieci!“ zawołał gniewnie Fazon. „Pokaż mi draba“.

Krąg żołdaków rozwarł się, szemrząc. Fazon spostrzegł młodzieńca o zmieszonym wyglądzie, ze zwierchnią szatą potarganą przez gwałtowne ręce. „No, Promachosie“, szydził Fazon, „może dlatego wsadzono cię między napiętnowanych, żeś zawsze lubił prawdę? a może już dawniej język swój wpakowałaś w łajno?“

„Tak jest, jak mówię“, bełkotał Promachos, wznosząc rękę do przysięgi. Pod błyszczącym wzrokiem Fazona spuścił nagle oczy, cofnął się za słup, do którego przywarł plecami, chcąc się ukryć, i zawołał głośno: „Trzydzieści tysięcy Persów, uzbrojonych zupełnie tak samo, jak wy i ja, przed pięciu dniami opuściło Ekbatanę! Jest to taka sama prawda, jak to, że tam zaczęła teraz świecić Psia Gwiazda!“ Wskazał na niebo, poczem zwrócił się do Fazona: „Strzeż się, Pelejczyku“, powiedział mrocznie. „Także i tobie nasmarują gębę miodem i położą cię na słońcu, gdy już dosyć będą mieli twej służby. Teraz obowiązują zwyczaje barbarzyńskie. Tylko temu wolno stać prosto, kto ziemię ucałuje“.

Dobre usposobienie prysło. Szemrząc, popodnosili się żołdacy. Niecierpliwość, obawa i nienawiść rysowały się milcząco na rozpалonych winem twarzach. Czy miałby Aleksander poświęcić ich barbarzyńcom? Nie ufał im, albo sprawy tak stały, iż miałby się ich obawiać? Niektórzy z groźnymi minami przypasywali już miecze do boków. Stali w ciemniejącej czerwieni wieczoru, jak oblani krwią.

Fazon ocenił grozę niebezpieczeństwa. Już nieraz pochwycił ów głuchy pomruk buntu. Słowami niewiele było do naprawienia. „Wierzycie więc“, krzyknął swym daleko rozlegającym się głosem, który w wielu bitwach wywoływał wśród nieprzyjaciół drżenie, „że Aleksander

oczekiwał na zdradę swych najgorszych żołnierzy, sam myśląc o zdradzie? Prędzej morze Erytrejskie podejdzie do Suzy, niż Aleksander nas zdradzi“.

„A jednak jest to prawda“, odparł Promachos, krzycząc, blady aż po gałki oczne.

Z rączęcią biegłością wyciągnął Fazon miecz z przytroczonej pochwy i z taką siłą wpakował go Promachosowi w gardło, że ostrze wypadło obok kręgu pierścieniowego, i z ostrym dźwiękiem potoczyło się po żłobieniu marmurowego słupa. Krew obficie trysnęła łukiem i oblała stojących wokół. Promachos upadł, gulgocąc, jakby miał usta pełne wody. Trzepotał rękami, szukając oparcia w powietrzu i, rżąc, przewalał się z boku na bok. Poczem swemi palcami w lnianej rękawicy, jakby dla złapania tchu, targał swą pierś i tak rozpaczliwym był jego wysiłek, iż chciał rozerwać puklerz. Przez nikogo niezauważony, na kamienną posadzkę, w środek krwawej kałuży padł błyszczący przedmiot. Ręka umierającego wyciągała się poń, póki nie zdrętwiała wraz z całym ciałem.

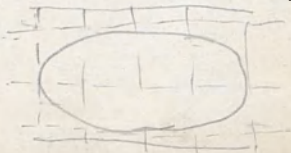
Czerwień wieczornego nieba zaczęła niknąć pod nadchodzącymi wielkimi chmurami. Z głębi dziedzińca z chodnika prowadzącego do pałacu nadeszli niewolnicy z pochodniami; spiżowe ich trzonki powkładali do otworów przy słupach. Żołdak, stojący przy trupie Promachosa, podniósł błyszczący i krwią splamiony przed-

miot, który wypadł zabitemu. Zdumiony chciał go pokazać innym, gdy mag Ostanos, który tu w dziedzińcu oczekiwał na Aleksandra, podszedł doń i w dużym podnieceniu wyrwał mu przedmiot. „Diadem!” zawołał.

Śpiesznie skupili się żołdacy.

„Winny odpokutował swą winę“, powiedział kapłan, wskazując na trupa. „Ale nic nie przebłaga króla Achemenidów. Jego diadem, niosąc śmierć, musi wędrować z głowy na głowę“.

Żołdacy poczuli się beznadziejnie poświęconymi mściwym bogom barbarzyńskim. Z lękiem spoglądali na maga. Ostanos zaznał triumfu w panującym naokół milczeniu. Z jego podłużnej twarzy zwisała broda, czarna jak smoła i lśniąca jak jedwab. Przenikliwe oczy świeciły z pod szczecinowatych brwi, jak żarzące węgle przez szczelby rusztu. Twarz jego była barwy ciemno-bronzonej, zęby białe jak miąższ migdała. Ani się nie uśmiechnął, nigdy śmiać się nie mógł, nie do pomyślenia była istota bardziej ponura, niż on, gdy stał tak w świetle pochodni, z różdżką w ręku, ze świętym sznurem na szyi, z wysoką tiarą na głowie. Żołdacy byli tak oszołomieni, iż nie zauważyli wcale, że na dziedziniec wkroczył Aleksander z Hefajstionem i Eumenesem. Wzrok ich był całkowicie oślepiiony diademem, który mag trzymał przed sobą, oglądając go z posępnym wyrazem.



Na złotem, jajowem podłożu, między dwoma złotemi pasami były umocowane dwadzieścia cztery diamenty o oślepiających ogniach. Otaczał je potrójnym rzędem gęsty wieniec szmaragdów i rubinów, a nad nim znowu biegł pas agatowy, w którym było wyryte dwanaście krocących byków z symbolem życia pośrodku. Górny brzeg wieńczył misterny wieniec gruszkowatych pereł, każda z nich wielkości jaskółczego jaja. Mniemano, że te perły są stężałemi łzami bogini Anahity, która je wypłakała za rycerzem Rustemem.

Mag podszedł do Aleksandra, rzucił się do jego nóg i dotknął czołem ziemi. Aleksander i Hefajstion nosili obaj skromną macedońską szatę; Hefajstion był postawy znacznie wyższej, ale twarz i głowa Aleksandra miały kształty tak potężne, że już dlatego zdawał się przerastać innych. Oczami świdrował zastępy szlachetnych, jakby chciał wybadać najgłębszą tajemnicę każdego serca. Żołdacy drżeli pod tym wzrokiem, dygotały członki, gdy tak przyglądał się im, mimo że wyraz miał spokojny, nawet przyjazny.

„Oby nigdy cień twój nie zmniejszył się, panie“, powiedział mag, powstając. „Niech Hao-ma cię chroni, najpiękniejsza istoto pod spojrzeniem Zaratustry. Odkryto rabusia świętego grobowca“. Unosił przed sobą diadem. Aleksander wziął mu go z rąk i przyglądał się w głębokiem zdumieniu.

„Odrzuć go, Aleksandrzel“ odezwał się naraż głos, „mag przepowiada śmierć jego posiadaczowi“.

„To prawda“, rzekł mag poważnie, „zanim siedmiokroć odmieni się księżyc, musi umrzeć, kto nosi diadem“.

Znowu oglądał Aleksander promieniejące arcydzieło w swych rękach. Przelotnym uśmiechem zadrgały mu wargi, jego potężny wzrok powoli ginał w przestrzeni.

Umrzeć?

Obcem i dalekiem było mu pojęcie śmierci. Świat wydawał mu się przecie zbudowanym i istniejącym dla niego, dla niego kłębiła się ludzkość. Zdawało się przecie, jakgdyby niezliczone tysiące dlatego poniosły śmierć, aby on mógł żyć potężniej i pełniej; co oni stracili, on posiadał. Czy myślał o śmierci, gdy w baktryjskich wawozach padały z góry złomy skalne, miażdżąc najlepszych jego ludzi? gdy pod Tyrem zaczęły płonąć okręty i morze pokryło się zwęglonemi ciałami, wśród których musiał przepływać? gdy w Indjach zatruta strzała dosięgła go w pierś i skrwawiony upadł na ziemię? Nigdy nie myślał o własnej śmierci. Objawiająca się przemoc losu bezsilnie odbijała się od jego istoty. I sprawiała to nie młodość, nie zdobywczą wolą, kroczącą niepowstrzymanie od przedmiotu do przedmiotu, od zdarzenia do zdarzenia, nie tropem biegnący żar krwi, czuciem bijące serce,

brzmiące słowo, widzialny świat i wszystko, co dało się uchwycić i odczuć. Było to coś innego, coś nieuchwytnego, tajemniczego; budowało mosty ponad śmiercią, nie znało żadnego końca wszystkich końców, żadnej ostatniej drogi, żadnego ostatniego czynu; istotą jego było upojenie i odurzenie, wznoszenie się aż pod gwiazdy, pogarda codziennego losu, trzymanie się w dali od powszedniego dnia i godziny: rozkosz nieśmiertelności. Często roztaczał się wokół Aleksandra jakby przepyszny sen, gdy szczękały miecze i uderzały tarcze i ziemia jęczała pod stopami wojsk i niebo czerwieniło się pożogą; często wśród krzyków umierających nabierał ochoty sięść między nimi i czytać Homera.

Nieopisane milczenie zapanowało na gwarnym dziedzińcu, gdy zdjął gronostajowy kołpak z głowy i spokojnie umocował na niem diadem. „No, Ostanesie“, zwrócił się do maga, „zapytaj się swej różdżki“. Nęciło go pragnienie wyzwania obcych bogów.

Ostanes otworzył kołczan i rzucił pręty tamaryszkowe na ziemię. Długo przyglądał się stworzonym przez nie zagmatwanym kształtom, poczem ukrył twarz w dłoniach. Żołdacy skupili się wokół. Aleksander śmiał się.

Eumenes spostrzegł trupa Promachosa i wskazał nań Aleksandrowi. Fazon oznajmił w skąpych słowach o tem, co zaszło i dlaczego ukarał nędznika własnymi rękoma. Sprawy swej

nie był zupełnie pewien, gdy więc skończył, patrzył jak wyklęty na usta Aleksandra. Ale Aleksander nic nie odpowiedział. Przyglądał się wykrzywionej twarzy zabitego, poczem podniósł wzrok, który stał się zimny, i skierował go najpierw na Fazona, potem na dwóch, trzech obok stojących Macedończyków. Przez krótką a głuchą chwilę zmagali się, ale Aleksander szybko zwyciężył; spojrzenia, które pochwycił, ugięły się i szukały ziemi. Wtedy pożegnał żołdaków skinieniem głowy i, ująwszy Hefajstiona pod ramię, udał się z nim na taras.

Tamci zostali, stojąc w cieniu potężnych byków marmurowych o ludzkich głowach. Niebo, jak zielonawo-błękitny, ale delikatny i lekki kryształ, skłaniało się i wznosiło od równiny na zachodzie ku czarniawym wzgórzom na wschodzie. Z parku dochodził ryk lwa. Z ogrodów kwiatowych i warzywnych wznosiły się odurzające wonie. Woda rzeczna lśniła w promieniach księżyca, jak nieruchomy, dziwacznie wygięty, srebrny pas; rosnące nad jej brzegami wiązy i platany, szumiąc głośno, poruszały konarami.

ROZDZIAŁ DRUGI.

UROCZYSTOŚCI WESELNE.

Na drugi dzień nastąpiła przyrzeczona Macedończykom zapłata długów. W wielu miejscach obozu ustawiono duże stoły, na które setki niewolników zносиły z pałacu wory pełne złota. Początkowo Macedończycy nie przyszli; obawiali się iż Aleksander chce tylko rozpoznać marnotrawców, aby następnie podwójnie płacili za lekkomyślność. Wtedy oznajmili heroldzi, że nikt nie potrzebuje wymieniać ani wypisywać nazwiska, wystarczy podać skarbnikowi wysokość kwoty i wskazać wierzyciela. To dumne zaufanie pochlebiło żołnierzom, i większość z nich wzgardziła wyciąganiem korzyści z nadarzającej się nazbyt łatwej sposobności do podstępu i oszustwa. Niejasne niezadowolenie opuściło wszakże tylko tych, którzy zaraz znów się oddali pijaństwu lub rozpuszcie. Inni nadstawiali uszu biegnącemu wokół ledwo uchwytnym pogłoskom.

Szare, dżdżyste niebo rozciągało się nad miastem i obozem, brak słońca uważano za zły znak.

Wcale im nie ulżyło ani ich nie zadowoliło, że zdjęto z nich uciążliwe brzemień długów; tylko życzenia miały dla nich powab, każde spełnienie było zarazem rozczarowaniem. W jałowych godzinach czuli się najnieszczęśliwsiymi z ludzi; przyjaciel podejrzewał w przyjacielu donosiciela i zdrajcę; obawiali się już wyrażać swe myśli słowami, nie wierzyli już w dobre bóstwa, i aż do obłędu lękali się złych mocy; w każdej minucie czuli się zaprzędanymi; a że obcemu życiu nie przyznawali nigdy najmniejszego znaczenia, zdawało się im, że ich własne stoi nad otchłanią śmierci. Długie oddalenie od ojczyzny wyrwało z gruntu nawet tych, którzy kiedyś z macierzystej ziemi brali moc i stateczność; nie mieli ani wiary, ani ufności, ani nadziei, ani radości, ani wytrwałości, ani gorliwości. Bitwa rozpaliała w nich pragnienie krwi, jak wino pobudzało do pijaństwa, a bez bitwy i bez pijaństwa były te tysiące dorosłych mężczyzn, jak smutne bydła, zmęczone sobą, zmęczone światem, podniecane ciężkimi snami, dręczone licznymi, ale czczymi żądzami, bezwolne narzędzie dla każdej cudzej woli.

Zdarzyło się też, iż wśród paziów wybuchło nagle sprzysiężenie na życie Aleksandra. Właściwie o nic; w słońcu lęgną się czerwie; na bagnie tworzą się bąble, pękające przy lada wie-

trzyku. W gnuśnym mózgu chłopięcym powstała gnuśna zachcianka, przyjęta z nasyconą ochotą, zrodzona i wypastowana w dotkliwej nudzie tępej duszy. Jeden znalazł drugiego i na łożu występnej miłości dojrzało postanowienie. Gdy męska zuchwałość sięga najwyższych szczytów, czyn żarzy się w ogniu namiętności, ale ci przedwcześnie dzikim życiem porwani chłopcy ulegli kapryśnemu popędowi, jak chorobie. Ostatnią pobudką było szorstkie słowo Aleksandra. Zamiar miał być wykonany w noc weselną i poprzedzającego ją poranka dowiedział się o nim Hefajstion od niewolnika, który zasłyszał podejrzaną rozmowę paziów podczas kąpieli. Pierwszą troską Hefajstiona było niedopuszczyć do Aleksandra jakiegokolwiek wieści i w tajemnicy zniszczyć jadowitą przedzę. Gdyby on dowiedział się o tem, wówczas byłoby po uroczystych dniach, zanim się jeszcze zaczęły, stałoby się wtedy to, co kiedyś w Baktrze, gdy za trzech winnych zginęło trzystu niewinnych, gdy całemi tygodniami upiór zdrady zamykał wszystkie usta, gdy Aleksander, wściekły na przyjaciół i wrogów, był jak rozszalałe zwierzę drapieżne. Dlatego dziękował Hefajstion szczęśliwemu przypadkowi, iż jemu odsłonił tajemnicę, i nie zwlekając ani minuty, rozwinął gorączkową działalność. Niewolnika, u którego znajomość sprawy była niedogodną, wysłał z poleceniami do Babilonu. Obu paziów kazał uwięzić i wziąć

na spytki, chciał bowiem mieć dowody rozległości występnego spisku. W jego obecności rozebrano chłopców i raz jeszcze zapytano ich łagodnie. Milczeli. Wtedy przywiązano ich do słupów i przypiekano im skórę rozżarzonemi żelazami. Były to napół dzieci, niedorosłe do wytrzymania próby, obiecały wyznać wszystko, i Hefajstion pozostał z nimi sam.

Opowiadali. Spowiedź ich nosiła piętno prawdy, każde słowo było oblane łzami. Jak to się stało, dlaczego się stało, nie umieli nic powiedzieć. Hefajstion aż do głębi się zatrwożył, gdy poczęli wymieniać nazwiska; zatrwożył się i był zdumiony kręgiem, jaki w krótkim czasie zatoczył ciemny zamiar. Przystali doń niektórzy, dobrze nawet nie wiedząc, o co chodzi, czując coś tylko w powietrzu, przystępując do niecnego czynu z głuchego rozpędu, z niegodziwej ciekawości, z chęci poszukiwania odmiany. Byli między nimi ludzie, którym Aleksander świadczył tylko dobro, mężczyźni o — zdawałoby się — wypróbowanej wierności, których niegdyś wysoko należało cenić, jako przyjaciół, jako towarzyszy, a teraz!

Dlaczego? dlaczego?

W duszy Hefajstiona zagasło światło. Błądził sam w sobie. Nienawidził ziemi, po której stapał, powietrza, którem oddychał. Ale jemu nie wolno było poddawać się niebezpiecznym wzruszeniom; z jasnym i prędkim sądem, po-

czał działać. Obu chłopców kazał na miejscu udusić, ciała ich w zamkniętej lektyce wynieść poza obóz i w swojej obecności zagrzebać. Wróciwszy, rozesłał wokół posłańców i zawezwał pozostałych sprzysiężonych, było ich dziewięciu, do siebie do pałacu. Gdy przyszedli, w obozie brzmiały już weselne fanfary. Udał się z nimi do ustronnego miejsca i przemówił do nich. Nie czynił im wyrzutów, ani nie okazywał im swego wewnętrznego zasmucenia, ani nie przypominał im dobrodziejstw, jakich doznali od Aleksandra, lecz opowiedział im krótką parabolę.

Jeden z wielmożów perskich nastawał raz na życie swego króla i knuł zamach. Wtedy przyszedł do niego syryjski pustelnik, przynosząc mu czaszkę, zwykłą trupa czaszkę. Pocomi to? zapytał się ów człowiek. Zważ ją i zachowaj, odpowiedział pustelnik. Pers kazał przynieść wagę, czaszkę położył na jednej szali, ciężarki na drugiej. Ale szczególne, czaszka była cięższa, niż wszystkie ciężarki, jakie można było dostać, nie znaleziono takiego, którym dałoby się ją zważyć. Gdy tak wszyscy byli bezradni, pustelnik wziął pełną garść piachu i zatkał nim jamy oczne w czaszce. Wtedy podniosła się nagle czaszka, mimo że na przeciwległej szali leżał tylko mały kamyk. Bardzo to Persa zastanowiło i od tej godziny porzucił swój ciemny zamiar.

Działanie prostego opowiadania było wstrząsające. Być może, iż przyczyną tego był spokój Hefajstiona, jego rozum, jego jasność, jego prostota. Dziewięciu mężczyzn zupełnie zatraciło się, biadali, rwali sobie włosy, płakali, rzucali się na ziemię i bez wyjątku poddawali się bólowi wstydu i żalu. Gdy się nieco uspokoili, polecił im Hefajstion obnażyć ramiona i mieczem krwawo nadciąć skórę; każdy musiał wyróżnać sobie taki sam znak na pamiątkę tej godziny, aby w przyszłych swych czynach chronił ich ten talizman. Gdy to uczynili, wypuścił ich na uroczystość.

Sam pośpieszył do kąpieli, kazał się natrzeć i namaścić i ustroić w bogatą perską szatę. Było późno. Orszak weselny już wyruszył. Jego nieobecność nie mogła pozostać niezauważoną. W nagłym pośpiechu, niewolników swych zostawiając daleko za sobą, opuścił pałac. W głównej ulicy obozu dostał się w tak zbity tłum ludzi, że nie mógł ruszyć się w tył ani naprzód. Kilku Greków, którzy go poznali, pomogło mu wydostać się stamtąd. Ale i na bocznych ulicach między namiotami pełno było ludzi, na otwartych placach pełno kupców, śpiewaków, tancerzek i komedjantów. Do huku orkanu podobny był ten zgiełk głosów, wielorakie wołania, okrzyki kobiet, łaszące się zawodzenia Persów, posępna mowa Babilończyków, głuche głosy Tesalijczyków. Był tam Libijczyk w skórzanym

kaftanie, ciemnoskóry syn Gedrozji, pełen przesądnego dostojeństwa Arab, poważny Med, mieszkawiec wysp na Czerwonym Morzu ze złotym pyłem na włosach, ruchliwy Part, dziki Hirkańczyk, niedźwiedziowaty Paflagończyk, Arkadyjczyk w kołpaku skórzanym, i jak bardzo różnili się wszyscy wyglądem i zachowaniem, jeden rys był im wspólny: każda twarz wyrażała nieukrótconą uciechę, nieposiadające siebie rozochocenie, bezduszną ekstazę. Niemal wszystkie oczy były niesamowicie osłupiałe; przy całym tem nadmiernem rozzuchwaleniu w twarzach było coś trwożliwego i niesłychanie potulnego; ich srogość nie była wojownicza; wyglądali raczej, jak wspólnicy niecnoty.

Hefajstion wiedział o tem oddawna, ale jego spostrzeżenia nigdy nie były połączone z taką obawą. Z wielkim mozołem przestał się zastanawiać nad tem. Jego niewolnicy dopędzili go, krzycząc, biegli przed nim i torowali drogę w ścisku. Przed wielkim namiotem weselnym po raz trzeci zabrzmiała fanfara. Szpalerem z siedmiuset szlachetnych żołnierzy w purpurowych szatach podążały perskie oblubienice, na przedzie córka książęca z koroną na włosach.

Olbrzymi namiot, w którym znajdowało się ponad dziesięć tysięcy ludzi, był rozpięty na osiemdziesięciu złożonych i srebrzonych, kością słoniową wykładanych słupach. Z lśniących sztab kruszcu zwisały kosztowne dywany. Na

leżach porozkładano złożone poduszki i złotem wyszywane purpurowe kapy. Gdy wchodził Hefajstion, już na stole weselnym Macedończycy pokrajali chleb mieczem, co było zakończeniem aktu zaślubin, i Persjanki zdjęły zasłony.

Obco i dziwnie wynurzały się wąskie twarzyczki, oczy o kamiennej czerni, marzący uśmiech na nieruchomych szkarłatnych wargach. W ruchach i słowach zdawały się chętne, uległe nakazanej miłości, ale wąskie, gładkie czoła z kości słoniowej drgały jakimiś niejasnymi wspomnieniami. Jedna z nich straciła brata przez tego samego mężczyznę, który ją teraz miał obejmować, druga myślała o matce, znieważonej i zabitej na gruzach rodzinnego domu, trzecia widziała, jak płonęło miasto, w którym się urodziła, jak rabowano skarby, niszczone świątynie, rozrywano święte księgi. W jej wyobraźni żyły jeszcze widoki stratowanych zasiewów, opustoszałych wsi, gnijących trupów dzieci i starców. Usta jej uśmiechały się i poddawały pocałunkom, ale wzrok jej umykał z widowni odpychających uciech.

Obok Aleksandra siedziała Stateira, córka nieszczęśliwego Darjusza. Była ubrana we wspańnię tkaniny babilońskiej, ze skroni jej zwisały sznury pereł, na szyi na srebrnym łańcuszku wisiał amulet, chroniący od złych snów. Na twarzy jej rysowała się osobliwa, zła nieruchomość. Być może, myślała o współnałożnicy Roksanie,

oczekującej na Aleksandra w królewskim pałacu w Babilonie. Niekiedy wymieniała szybkie spojrzenia z siostrą swą Drypetis, przeznaczoną dla Hefajstiona, śmiejącą się przed siebie, jak trwożliwa, zmysłowo zaniepokojona niewolnica.

Hefajstion przyszedł. Aleksander, siedząc naprzeciw, patrzył w górę. Gdy oczy ich spotkały się raz jeden, Hefajstion zbladł aż po wargi. Zdumiony pomyślał, że Aleksander wie o wszystkim. Istotnie, wiedział o zamachu i wiedział również, że Hefajstion był o tem powiadomiony. W przedśionku, po śniadaniu, w tłoku wsunięto mu do ręki kartkę. Przypuszczalnie, wprost jeden ze złoczyńców chciał służyć zarówno towarzyszom, jak i nieprzyjacielowi; oczy błędziły bez określonego celu, serca tembardziej nie znajdowały jakiejś ostoji, co godzina zdarzało się właśnie coś nieoczekiwanego, jakiś majak, jakies nic uniemożliwiałoby przyjaciółom, aby pomówili ze sobą otwarcie, i kto z nich wstąpiłby na ostatni szczebel na drabinie własnych pragnień, zatraciłby raczej sam siebie, niż dobrą sposobność. Ołowianym, chromającym wzrokiem śledził Hefajstion, jak w Aleksandrze burzyła się nieufność, jak całym wysiłkiem woli zmuszał się, aby dziękować wznoszącym toasty, odpowiadać pytającym. Niekiedy jego pytający wzrok zawisał na Hefajstionie, ale Hefajstion był za dumny, aby miał uspokajać taką zuchwałą podejrzliwość. Milczał i udawał, jakoby nic

nie spostrzegł. Ale coraz wyraźniej widział, że Aleksander cierpi, że ściska zęby i przygryza wargi, że obiema rękami nasuwa na uszy swe gęste włosy, skrycie nasłuchując, że tu i tam strzela oczami, że jego dłoń silnie i coraz silniej zaciska się wokół kubka, że z każdego słowa, które mówi, rozbrzmiewa zgrzytające biadanie: Patrzcie, nawet Hefajstion mnie zdradził, Hefajstion jest w porozumieniu z tymi, co nastawali na moje życie.

Nadzy chłopcy biegali tu i tam, nalewając wino z wielkich cebrów do mniejszych amfor. Wspinali się, jak karły, do miedzianych, na olbrzymich statuach ustawionych kraterów, napełnionych ciemnem winem chalibońskim. Nosili do stołu wyspiarskie wino w wiadrach, ustawionych na kościanych nosidłach. Jak uskrzydleni, latali z rogami, czerpakami, dwojakami i czarami z onyksu, agatu, alabastru i porfiru. Jak dreptanie licznych zwierzątek po trawie, osobliwie dźwięczały ich kroki po ziemi pokrytej kwiatami i wieńcami. Długie korowody niewolników roznosiły potrawy: pieczenie z kapadockich owiec; ćwierci wołowe, pieczone na rożnie; drób przyrządzony na sposób fenicki; rzadkie ryby czarnomorskie; płaskie, babilońskie pieczywo jęczmienne; jarzyny eubejskie; bursztynowe, olbrzymie daktyle ze wsi karejskich; sery egipskie i sycylijskie łakocie.

Wszyscy siedzący w pobliżu Aleksandra już zauważyli i śledzili z rosnącym niepokojem wzburzoną grę jego twarzy. Niewinny doszukiwał się w sobie winy, mający zaś niezupełnie czyste sumienie myślał o swem przewinieniu. Podniecali się więc w ochocie, rzucali wokół siebie przechwałkami, obejmowali ramionami kobiety; siwobrody Krateros podniósł się ze swego miejsca, wynurzył się, jak satyr, mlaskając winem w ustach, swym bełkotem sławił Aleksandra, rzucił mu wreszcie zerwany z kolumny kawałek różanego wieńca. Jedynie Perdikkas zachowywał przytomność umysłu. Oczy jego były jak zamrożone, niepowstrzymanie ciągnęło go do krwawego porachunku i chęć tę pokrywał maską sprawiedliwości; wciąż gotów był oskarżać, więc ciężył mu nastrój przyjaźnie żartobliwego zadowolenia, i podobna tej godzina prężyła w nim tylko wyczekiwanie.

Nagle Aleksander powstał. Oczy miał zamknięte, tak że twarz jego miała wygląd śpiącej, i głos głucho brzmiał w jego drżących wargach: „Czy nie mi nie masz do powiedzenia, Hefajstionie?“.

Naokół zapanowało gwałtowne milczenie. Hefajstion potrząsnął głową i zaprzeczył dumnie i stanowczo. Wówczas Aleksander otworzył oczy. Jego wzrok płonął. Lewą ręką zerwał z głowy diadem, nachylił się i z dzikim, pełnym pogardy gestem, zupełnie wytrącony z równo-

wagi od urazy i zgryzoty, ozdobę królewską włożył na głowę Hefajstionowi, jakby chciał powiedzieć: skoro chcesz mnie zdradzać, nie chcę być już władcą, bądź nim ty.

Roznoszący potrawy zatrzymali się, muzycanci przerwali grę, żartownisie utknęli w swej swawoli, chłopcy przestali potrząsać misami z wonnem kadzidłem, tancerkom wypadły z rąk zasłony, pijącym puhary. Hefajstion przycisnął ręce do piersi, jakgdyby bolały go wewnątrz. Wyglądał, jak posąg, patrzył jednak na Aleksandra wzrokiem uważnym i pytającym.

Przez wejścia i górne otwory namiotu płynął żar zachodzącego słońca. Na ciemną czerwień malowało ono twarze mężczyzn i kobiet, przesiąkało oliwkowo lśniące ciała kiprów, prześwieślało dzbany alabastrowe, jakgdyby wypełniając je ogniem, grało w ozdobach i złocie szat, obiegało wysokie kolumny, a gdy zapadło w załamie między niebem a równiną, rozpostarł się różowy, podniecający, ciężki mrok. Wśród tłumu ludzkiego, u głównego wejścia powstało osłupiające poruszenie, gwałtowne parcie w jednym kierunku. Z zewnątrz wtargnął okrzyk, wielokroć powtarzany i coraz mocniejszym głosem: „Indus! Indus!“. Ślepo tłocząca się masa, zerwawszy jeden z olbrzymich dywanów namiotu, powaliła się ku stołom. Goście powstali. Wielu, olśnionych przez słońce, zasłaniało oczy rękami. Niebo zdawało się jak rozwarłe, było tak nasy-

cone purpurą, że spływający zeń blask barwił drzewa, wody, trawę i kamienie; w głębi jednak widnokregu biegł szklisty, szmaragdowo-zielony pas, o który wspierało się całe sklepienie niebieskie, niby krwią parujący dzwon.

Hefajstion obejrzał się. Potem powoli ujął diadem i, śmiejąc się, oddał go Aleksandrowi. Był to wspaniały śmiech, pełen gorzkiej słodyczy, znaczący więcej, niż wszystkie słowa święta, więcej, niż zapewnienia i dowody, zawierał bowiem znacznie więcej, zawierał przyrzeczenie zapomnienia tej godziny. Aleksander zawstydził się; zaczerwienił się i zawstydził.

Większość nie zrozumiała, co zaszło. Mniemali, że będzie to koniec Hefajstiona; niespodziewany zwrot obudził zdumienie i niechęć. Ale uwagę ogólną odwrócił powstały nazewnątrz zgiełk.

Grono żołnierzy, Macedończyków, Kreteńczyków i Epirotów, zbudowało pomost, który — niczem olbrzymi wóz — ciągnęło przez obóz szesnaście koni, podczas gdy oni poukładali się na niem, ocienieni zielonemi gałęzmi, nieprzerwanie uczując i popijając z poprzewiazywanych miechów. Obok nich siedziały nagie kobiety, rozweselały ich grą na strunach i tańczyły wokół potwornie wielkiego fallusa. Wtem naprzeciw nich ukazał się długi korowód dzieci z Kondanyem na czele. Zajął się on opuszczonemi, głodującemi, bezdomnemi stworzeniami,

których rodzice poumierali w pochodzie przez pustynię, i chciał doprowadzić je do Aleksandra, aby pamiętał o nich w godzinę szczęścia. Ale wóz żołdaków zamykał drogę do wielkiego namiotu; po jednej stronie była rzeka, po drugiej w drzewianem ogrodzeniu zwierzęta ofiarne. Żołnierze sypnęli złorzeczeniami i przekleństwami, dzieciom groziło potratowanie przez dzikie konie zaprzężone do pomostu, wtem przed wozem stanął Kondanyo. Ubrany był w szatę włochatą, bosy, jego odkryte białe włosy spadały aż na ramiona. Żołdacy poczęli żartować. Ale twarz starca miała wyraz takiej dobroci, takiej śmierć przewyciężającej siły, że kpiny ich opadały, jak gromem porażone ptactwo.

Aleksander skierował się ku wyjściu z namiotu. Hefajstion kroczył obok niego. Postanowił teraz mówić, pokładając nadzieję w sprzyjającym nastroju, iż Aleksander lekko przyjmie to zajście, tak się wydawał bowiem oswobodzonym od brzemienia czynu, uwolnionym od ognia woli, tak zdawał się z głębokiem zadowoleniem całkowicie pogrążonym w chwili. Czarujące były łagodność jego oblicza i wilgotnawe, tęskniące oczy. Hefajstion zaczął więc opowiadać, ale nie doszedł do trzeciego słowa. Aleksander zdjął z palca pierścień i na znak milczenia przycisnął sygnet do ust Hefajstiona, i obaj zrozumieli, jak z nieporozumienia zaognia się życie.

Wyszli. Tłum rozstał się. Kondanyo spostrzegł Aleksandra i odłączył się od gromady trwożliwie skupionych dzieci. „Bądź mi dobrym zwiastunem, wróżbito!“ żywo zawołał doń Aleksander.

Kondanyo skłonił się i odrzekł łagodnie: „Błogosławieni są, Aleksandrze, ci, co nie nienawidzą. Błogosławieni są ubodzy, błogą jest samotność. Nic lepszego zwiastować nie umiem“.

Aleksander spojrzał uważnie w napół dogorywającą zorzę wieczorną. Myślał nad odpowiedzią Indusowi, okazało się wszakże, iż wszystko, coby mógł powiedzieć, było puste. Miał osobliwe wrażenie, jakoby zstąpiła doń jakaś mocna istota, dopytująca się go o cel jego uczynków, ale w języku, którego nie rozumiał.

Zapadała noc.

Przed namiotami żarzyły się z rogu zrobione latarnie, w kagankach płonęły ognie, pochodnie migotały, i w obozie było coraz spokojniej. Trzech mizernie wyglądających jeźdźców przybyło z równiny na dziedziniec królewski i zażądało rozmowy z Aleksandrem. Odprawiono ich ostro, dopiero po długich układach z dowódcą straży, polecił ów przywołać Hefajstiona.

Gdy Hefajstion przyszedł, jeden z posłańców wręczył mu podwójnie zapieczętowane pismo, w którym Arideos, syn Filipa i przyrodni brat Aleksandra, w dość wyniosłych słowach donosił o szczęśliwym przebiegu swej podróży

z Pelli do Sardes i domagał się nadesłania mu dwunastu srebrnych talentów na dalszą podróż do obozu.

Hefajstion, wzruszając ramionami, przypatrywał się teraz ludziom, którzy tymczasem pozsiadali z koni i stanęli rzędem. Byli widocznie zmęczeni. Czapki mieli potargane, rzemienie u obuwia porwane. Nagle Hefajstion przypomniał sobie Arideosa, zobaczył go: ciemnowłosego, chudego marzyciela, trwożliwie trzymającego się na uboczu, błędzącego dziwaka. Jak kropla nieszczęścia, wypływało to z osobliwego poselstwa.

ROZDZIAŁ TRZECI.

LIBLITU.

Arideos był synem króla Filipa i tesalijskiej tancerki. Nędzną swą młodość przeżył wśród żołnierzy, dziewczek i sofistów. Przez ojca nieuznawany, lub conajmniej niespostrzegany, przez matkę nielubiany, był wciąż spychany ze stopnia na stopień. Nigdy w najmniejszej mierze nie przyznawano mu czci, szacunku, uprzejmości, jakie należały mu się ze względu na pochodzenie. Często nie miał pieniędzy na najpilniejsze potrzeby; nie miał nigdy przyjaciela, ani towarzysza, ani wychowawcy dla swego niepozbawionego zdolności, ale pomieszanego umysłu. Najgłębszy żal z wysokiem mniemaniem o sobie mieszał się w jego piersi. Jak Aleksander, uczył się języków wschodu; czytał pisma wszystkich filozofów i poezje wszystkich poetów i w niezbyt szczęśliwy sposób cudze uczucia i mniemania stopił ze swemi własnymi. W najcięższej roz-

terce unosiła go gra z samym sobą, i brzemieniu terażniejszości usiłował ulżyć oczekiwaniem przyszłości, która przed oczami jego duszy lśniła baśniowym blaskiem. Był o dwa lata młodszy od Aleksandra, i gdy ów przebijał się od zwycięstwa do zwycięstwa i wynosił się na władcę całego wschodniego świata, Arideos zużywał się w niezaspokojonej żądzy czynu, nadstawiał uszu gadaninie wróżbitów i wieszczbom czarowników, na marnym okręcie przejechał wzdłuż brzegów Pontu i, z trudem za ciężko zdobyte pieniądze zwerbował w końcu trzystu konnych kopijników, wyruszył do Azji, aby zdobyć jakikolwiek tron, założyć jakie królestwo, dokonać jakiego czynu, nawet — gdyby tak było trzeba — wbrew woli i na udry Aleksandrowi.

Z końcem zimy opuścił Macedonję, w dwa miesiące później przybył do Sardes i teraz w dzień święta umarłych podążał ze swym zastępem przez głębokie wąwozy gór gordyjskich. Znający okolicę przewodnik był zdania, że przed upływem dwóch dni dotrą do brzegów Tygru.

Wysoko po obu stronach drogi wznoszące się skały miały wspaniałe postrzępione kształty. Często w górze skały tak się blisko stykały, że widocznym był zaledwie wąziutki skrawek nieba, przyciemniony nadto przez mroki wąwozu. Potem otwierała się znowu wąska, wznosząca się dolina, od której ciągnął lodowaty powiew, gdyż w jej głębi znaczyły się błękitną bielą szczyty

wiecznych śniegów. Przygnębieni i zatrwożeni dzikością natury żołdacy przeklinali swą ochotę do przygód i obietnice ich wodza Arideosa, któremu zaczęli niedowierzać.

Macedończyków wśród nich było niewielu; zresztą byli to Tesalijczycy, Samiaci, Lidowie i Grecy. Zuchwałość ich twarzy wskazywała nie wzniośle usposobionych żołnierzy, lecz śpiesznie zebranych i źle zapłaconych włóczęgów. Większość z nich służyła już w Syrakuzach, w Kartaginie, w Regji i u Persów, byli to ludzie, zdolni za dziesięć drachm do każdej zbrodni, wygnani z ojczyzny sykofanci, skrytobójcy, łupieżcy świątyń i łotrzy, którzy na policzkach haniebnem piętnem mieli wypalone zwycięskie znamię krajów, przeciw którym walczyli.

Arideos, w zwykłym pancerzu i z ciężkim hełmem metalowym na głowie, był zupełnie pograżony w siebie. Na jego chudej, podługowatej twarzy z ostrym i wąskim nosem, będącym rżącym przeciwieństwem szerokiego, okrągłego, muszlowatego pobródka, malowały się fantastyczne rojenia. Niekiedy błyskawicznie wspinał konia, tak że ów rżąc wybiegał naprzód, a gdy sądził, że jest już dość oddalony i niezauważony, rzucał płonący wiersz w przejmującą pustkę odzywających się echem przepaści skalnych, we wrzący hałas potoków górskich.

Pod wieczór wawóz rozszerzył się, i kolisto cofające się ściany skalne zamknęły pustą wy-

żyne, posianą olbrzymiemi głazami i porżniętą szerokimi smugami wystygłej lawy. Nagle droga załamała się w dół, i Arideos, jadąc jeszcze urwiskiem, spostrzegł głęboką dolinę, jakby ukrytą wśród gór, wysłaną lśniąca zielenią roślinności, a pośrodku jezioro, na którego błękitnem zwierciedle kołysały się tysiące ptaków wodnych. Wiatr aż tu donosił zapach kwiatów. Nad brzegiem jeziora rosły kasztany, grusze i granaty, pagórek, całkowicie okryty czerwonymi kwiatami, wyglądał, jak przewrócone naczynie z gładkiej miedzi, po którego bokach spływa krew.

Ze względu na stromość drogi, jeźdźcy pozsiadali z koni i wiedli je w dół, zboczem, porośłem karłowatą dębina. Gdy naprzeciw nich czerwono płonął, obłoków wieczornych sięgający, śnieżny szczyt, jezioro lśniło wciąż ciemniejszym błękitem.

Arideos zwrócił się do towarzyszącego mu retora imieniem Dion, korzystającego z pochodu zastępu, jako z napół pewnego towarzystwa w drodze do wielkiej armji, i dlatego starającego się wywdzięczać pochlebstwami. Miał już około siedemdziesięciu lat, człowiek podupadły, napuszony, nędzarz.

„Cały ten kraj należy do Aleksandra“, powiedział Arideos z troską, nad którą nie umiał zapanować, „ja zaś nie mam nawet pięciuset sztuk złota, aby zapłacić moich ludzi“. I czę-

sto sobie właściwym tonem dziecięcego smutku mówił dalej: „Dlaczego jemu wszystko, a mnie nic? Rozwiąż mi, Dionie, tę zagadkę. Czy jestem gorszy, lichszy, słabszy, mniej godny? Czy jestem ułomny, czy oczy moje nie błyszczą, czy język mój nie jest wymowny? Chciałbym czuć się zadowolonym, gdybym w mej duszy nie miał tego żaru. Nie mogę spać, Dionie, wciąż słyszę głosy, i gdy tak leżę, oblany potem, przychodzą mi plany za planami, wszystko wydaje się łatwe; i tak zasypiam z szarzącym świtem i miewam najpiękniejsze sny, których — niestety — nie mogę prześnić, bo budzi mnie trąbka obozowa“.

Dion wstrząsnął głową, poprawił wieniec mirtowy na swej łysej czaszce i ściągnął swe ryjowate usta w uspokajający grymas. W tej chwili żołdacy zatrzymali konie i wskazali w dół w jedno miejsce na brzegu jeziora. Słup dymu, czarny i gęsty, wznosił się z napół zwęglonego wierzchołka drzewnego; nie mógł to być ogień pokoju, lecz pogorzelisko.

Żołdacy pośpieszyli na sam dół, wskoczyli na konie i wyciągniętym galopem pojechali krajem doliny. Arideos pierwszy doskoczył do ciemnych cieni drzew, których olbrzymie, żywicą ociekające konary żarzyły się w purpurowym zmierzchu. Rozchodziła się spalenizna. Spokoju gaju nie zakłócał ani jeden dźwięk, poza hałaśliwym szmerem kopyt końskich w wysokiej trawie. Żołdacy milczeli.

Szerokiem półkolem rosły odwieczne drzewa. Na głęboko błękitnej i jak obrobiony metal gładkiej powierzchni jeziora wspaniale lśniło opierzenie kurek wodnych. Pośrodku oświetłego koła stała świątynia, napół perskiej, napół lidyjskiej budowy. Z jej dachu ciężko wznosił się dym pogorzeli. Cztery wysmukłe kolumny przedsionka były wywrócone, obrabowane ze złotych ozdób. Gzyms frontowy osmolony ogniem, schody obryzgane napół wyschniętą krwią. Mieszkania kapłanek spalone lub rozwalone. Zwęglone belki, naczynia ofiarne, poświęcone dary, mniej cenne, choć godne ozdoby okrywały ziemię. Na brzegu w kałuży krwi leżał trup młodej kapłanki; z piersi sterczało odłamane ostrze oszczepu, głowa i szyja były pograżone w wodzie.

Nawet na zahartowane zmysły żołdaków, podzielał przygnębiająco ów widok mordu, wpleciony w błogi pokój rajskiej doliny. Lśniąc biało i szaro, wznosiły się góry; zwierciadło jeziora poczęło już mroczyć, rojące się na niem ptactwo znikło bezdźwięcznie.

Żołdacy zgasili płonące belki we wnętrzu świątyni, rozbili namioty, ubite w pośpiechu ptactwo upiekli na rożnach i nagotowali ryżu w wielkich kotłach.

Arideos lubił milczenie natury. W godziny podobne tej czuł się dojrzałym do losu. Zdawało mu się, że samo życzenie i żar pragnienia były

już wypełnieniem najważniejszym. Czyn był dla niego tylko umykającym cieniem marzenia. Czasami tak w nim wzrastało czarowne podniecenie, że stawał na nogi i chodził wielkimi krokami. W takiej chwili zdawał się sobie uduchowionym demonem, działającym z oddali na Aleksandra, spełniającym w duchu, co Aleksander osiągnął w rzeczywistości i na oczach świata.

Zawracając, potknął się o kamień. Zasmuciło go to, jako zły znak, i zamiast światła znowu zobaczył przed sobą mrok. Pocóż przybyłem do Azji? pomyślał. Poco do kraju, który posiadał już kto inny? dlaczego nie na zachód? dlaczego nie na przeraźliwą północ? cóż chcę tutaj, gdzie już wszystko zrobione? Pożerająca, nieokreślona tęsknota wypełniła serce Arideosa. Od obozu dochodził gwar żołdaków, gdy jednak zbliżył się do gaju i cisza, jakby była ruchomą, spłynęła nań i okrążyła go, umilkła wrzawa małego obozu i roztajała, jak sól w wodzie. Tu i ówdzie odezwał się jeszcze rubaszny śmiech albo ochrypliwy głos Diona, zawodzącego obozową piosenkę. W pomieszaniem uczuciu osamotnienia i bojaźni bożej Arideos począł płakać.

Idąc brzegiem, natrafił na potężnie grube drzewo, które szeroko rozrosłemi konarami zwiisało aż do zwierciadła wodnego. U stóp drzewa, na żółto lśniącym w nocnym świetle mchu, leżała śpiąca kobieta. Arideos wpatrywał się w nią przez chwilę. „Kto jesteś?” spytał zachryp-

niętym głosem i dotknął sandałem nagiego ramienia przerażonej. Nie otrzymał odpowiedzi i przez chwilę był bezradny. Potem odwrócił się i wydał głośny, dwukrotny okrzyk. Nadbiegli jego dwaj niewolnicy, jeden z płonąca pochodnią. Arideos rozkazał im zaprowadzić kobietę do obozu i znowu pogrążył się w sobie, kipiąc posępnym smutkiem.

Gdy powrócił, żołdacy poukładali się już do snu. W górach rozbrzmiewało wycie dzikich zwierząt, okrzyki ptactwa rozdzierały noc, brzęczały uzdy końskie. Arideos chciał lec do snu, gdy nadszedł lidyjski przewodnik, zwracając mu uwagę na kobietę, idącą przez obóz z postępującymi za nią dwoma niewolnikami i śpiewającą złamanym głosem. Brzmiał on jak wołanie małej sowy pustynnej, gdy pasterz na równinie Eufratu zwołuje wieczorami swoją trzodę. Chód jej nie był lekki i swobodny, jak chód Greczynek, nie był podskoczny, jak Egipcjanek, nie był prędki i mocny, jak chód kobiet scytyjskich, lecz nieco opieszały i powłóczysty. Był to ociągający się krok idącej bez celu i poniewoli, utrudniony nadto wąską szatą babilońską.

Przed ołtarzem, z którego narożnika jedna z przewróconych kolumn, upadając, utraciła głowę barania, podniosła z ziemi ofiarne polana drzewa cedrowego, wytarła je białem płótnem, poukładała po cztery w skrzyżowane nad sobą rzędy i, zażądawszy pochodni od niewolnika,

zażęgła znowu święty ogień. Arideos przyglądał się naprawdę poruszony, był to bowiem piękny obraz: kobieta różowo oświetlona tłącym się ogniem, obaj niewolnicy trwożliwie milczący, wokół śpiący żołdacy, cicho kroczące straże na krańcach obozu, napół zburzona świątynia, czarne jak noc góry i niebo usiane świecącymi gwiazdami.

Arideos przycisnął czoło do ramienia. Czuł się zasmuconym. Dręczyły go zagadki za zagadkami. Ach, zazdrościł nocy jej spokoju, dniowi jego światła, wesołym ich śmiechu, kamieniom ich martwoty. Nagle podniósł się; rzekł do Lidyjczyka: „Powiedz dobre, znaczące słowo, prędko, prędko, nie namyślaj się, mów, co ci serce dyktuje“.

Lidyjczyk przybrał ton obłudnej powagi i odpowiedział beczelnie: „Aleksandra nauczy Arideos bać się“.

Arideos posepnie patrzył ku ziemi. Potem roześmiał się pogardliwie, zmierziony tchnieniem kłamstwa, obrócił się do Lidyjczyka plecami i postąpił ku ołtarzowi. Odesłał obu niewolników i zapytał się obcej, kim jest ona, kiedy i kto zburzył świątynię. Twarz jej miała wszystkie znamiona rasy chaldejskiej: wąskie, płaskie czoło, grube, jednakowo krwiste usta i czarne, namiętne oczy. Brwi, ledwo zaokrąglone, zrastały się pośrodku, co było oznaką ciemnych mocy. Wzrok wydostawał się z pod ciężkich powiek

i znowu pod nie się chował, tak jak tajemnicza jakaś istota, wydobywająca się z fal morskich, zimno spoglądająca na posępny świat i znowu pogrążająca się w poszukiwaniu spokoju.

Drżąc od nocnego zimna, mocno zaciągnęła brązowe, wełniane odzienie na ramionach i chętnie udzieliła wyjaśnień.

Nazywała się Liblitu, była córką Babilończyka Inuzina. Uciekła się na łono wielkiej Anahity, aby wyleczyć się z trądu, i bogini, kształcąca krew w żyłach i rządząca siedmioma wodami niebieskimi, uzdrowiła ją. Przed kilkoma dniami nadeszli zbrojni z północy, wódz ich Meno z rozkazu Aleksandra napróżno oblegał przez cztery lata miasto Kambalę i wkońcu został przez tubylców zwyciężony i przepędzony. Strach przed Aleksandrem zatrzymywał Mena w górach. Żołnierze jego zbuntowali się i, gdy przyszedł tu, aby modlić się przed ołtarzem Anahity, zabili go, splądrowali i zniszczyli świątynię i większość kapłanek potaszczyli z sobą. Tylko Liblitu udało się uratować, bo gdy przeszukiwali gaj i znaleźli ją wśród świętych węzów, obległ ich strach; sądzili, że sama bogini zstąpiła na ziemię. Na tem skończyła skąpą opowieść, która nie zawierała nic, żądającego współczucia dla niej samej. Jej srebrzysty, żałobny głos przypominał jej chód, było w nim coś ociągającego się, niepewnego, zniewolonego. Zapytała o cel pochodu i prosiła o pozwolenie, aby mogła to-

warzyszyć zastępowi aż do obozu wielkiej armji. Zaniesie tam skargę. To, co mówiła, było rozumne i określone i wywarło na Arideosie wrażenie; będąc względny, postanowił wziąć samotną pod swoją opiekę.

Ranek był mglisty i chłodny. Zębate grzebienie gigantycznych ścian skalnych zdawały się przerzynać niebo. Potok w kamiennem łożysku, szumiąc w głębi, wyrzucał kryształową pianę. Odwieczny most prowadził przez potok w górę, gdzie ścieżka była tak stroma, że człowiek i zwierzę, wspinając się, dychali uciążliwie. Skały w górze były tak podziurawione dawnymi otworami grobowymi, że wyglądały, jak olbrzymie gniazda osie. Droga zwężała się; konie i muły, postępując długim szeregiem, ledwo miały miejsce dla swych nóg. Samotność i śmiertelna cisza.

Żołdacy nie zwracali uwagi na niebezpieczeństwo, ani na wspaniałość drogi. Byli zdjęci niepokojem, który każdy z nich chował w sobie, nieokazując go drugiemu. Celem ich podnieconych spojrzeń, ich nieustannego zaciekawienia była Babilonka, jadąca na mule za Arideosem. Kobiet mieli dosyć; od Miletu do Sardes użyli rozkoszy miłosnych aż do wyczerpania, ale tym razem zdawało się, że wszystkie ich umysły są zatrute czarem. Było to jakgdyby żarliwe technienie rozkoszy, płynące z kobiety, czyniło ich niezdolnymi do myślenia zwykłemi myślami, do

rozmawiania zwykłemi słowami. Wydawało się, jakgdyby Liblitu pokonanymi wiodła za sobą tych dzikich mężów. Gdy zatrzymywała zwierzę i rzucała w tył swym obiecującym, choć równocześnie jeszcze sennym wzrokiem, drżeli i wydawali z siebie głosy, jak dzikie zwierzęta, gdy w czasie ciekania zdążają za samicą. Na ustach Liblitu wciąż spoczywał nieświadomy, nieruchomy, pragnący uśmiech, reszta jej ciała zdawała się przytłoczoną brzemieniem słonecznego żaru.

Gdy wstąpili na szerokie, mchem porośłe tarasy skalne, coraz rozszerzała się dolina i późno popołudniu naraz, jak zaczarowane, ustąpiły góry, i ukazała się niezmierzona równina Mezopotamji. Nawet najwięcej zmęczeni, rzucili za siebie ostatnie spojrzenie na lodem i śniegiem skute góry Asyrji, poczem zwrócili oczy na południe.

Równocześnie falując, wznosiła się i opadała równina, lśniąc ciemną czerwienią, i mlecznie drżało nad nią powietrze. Szeroki i spokojny, podobny jakiejś ruchomej drodze, płynął tam potężny Tyger i ginał na niebieskawo-białym widnokregu. Nie widać było ani drzewa, ani krzaku, ani domostwa, ani żadnego znaku ludzkiej działalności. W oddali biegały gazy, na jasnem niebie znacząc się czarno, jak cienie. Nad rzeką pasły się dzikie osły, latały chmary dropi, a wysoko po bezchmurnem niebie płynął powoli sęp.

Arideos patrzył nieruchomo, pełen zadumy, pełen nieokreślonej wdzięczności. Przed nim rozciągał się odwieczny, bajeczny kraj, tajemnicza dziedzina mądrości chaldejskiej, państwo królów Assuru, płodne łono wojowniczych ludów. I tam, niewidoczny oczom, ale bliski myślom, leżał Babilon, bajeczne miasto, pępek Wschodu.

U stóp ostatniego występu skalnego rozłożono obóz. Wtem okazało się, że straszliwa żądza gromad żołdackich groziła przejściem w szaleństwo. Jakgdyby opanowała ich choroba. Większość zaniedbała rozstawić namioty, nie jedli, nie pili, nie rozmawiali. Nie śmieli wszakże działać; jeden obawiał się drugiego i wszyscy obawiali się przedmiotu swej żądz. Gęste zastępy obległy Babilonkę, wpatrując się w nią w milczeniu, podczas gdy rozpalały się obozowe ogniska. Przestraszona kobieta próbowała ucieczki, lecz oni dążyli za nią spokojnie, jak psy.

Nieinaczej mogła się uratować Liblitu, jak tylko udając się do namiotu Arideosa i uciekając się pod jego opiekę. Była, jak dziecko, bojąc się ognia, który roznieciły, igrając, jej własne ręce. Łkała.

Arideos nic o tem wszystkiem nie wiedział i uczucie jego nie brało w tem żadnego udziału. Dusza jego była przeniknięta innem dążeniem i innem pragnieniem. Pół nocy czuwał, leżąc pod

gołem niebiem; jak senny obraz wyrosła przed nim postać Aleksandra i Arideos mówił do niego: „Czy tego, co ty zdziałałeś, nie mógłbym również i ja uczynić, gdyby sprzyjało mi szczęście i przypadek?“ Ogarnął go wstyd przychodzącego za późno, serdeczne cierpienie wędrującego w cieniu. Zazdrość targała jego piersią.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

MACEDOŃCZYCY.

Tymczasem wojska Aleksandra zgromadziły się nad rzeką Kufizu. Leżało tam Opis, „czarne miasto“, miasto wielu kruków, wielu grobów i wielu świątyń, w których szczególnie czczono boga księżycy, boga śmierci i boga zarazy.

W obozie macedońskim gromadzono się wielkimi kupami. Wieść o nadciągających trzydziestu tysiącach Persów okazała się prawdziwą. Zawziętość Macedończyków przybierała z godziny na godzinę. Barbarzyńcy w macedońskich zbrojach, zwyciężeni, kierujący mieczem zwycięzców, cudzoziemcy, włączeni do zdrowego ziarna oddziałów ojczystych, do zastępów szlachetnych, nawet do przybocznego orszaku Aleksandra, czyż było to do zniesienia?

Piątego dnia nadciągnęli Persowie. Nadeszli około południa, w porządku uszeregowanych zastępach. Ciągnęli od gór północnych. Byli to

spokojni, dzielni młodzieńcy, przeważnie ledwo wyrosli z chłopięctwa. Skóra ich była ciemna, prosto nosili swe ciemnobronzowe włosy, nie mieli czworokątnych głów, jak Grecy i Macedończycy, lecz czaszki ich miały wdzięczny owal jaja, umiarkowanie wysokie czoła, wielkie, długorzęse oczy o flegmatycznie bolesnym wyrazie, łukowato zaokrąglone brwi. Ich nogi i ręce były nadzwyczaj małe, kształty o kobiecym wdzięku, postawa miła i ruchliwa. Macedończycy przyjęli ich urągliwie i gorzko, starszy dowódca rot, wspominając nieco minione czasy, opowiadał przyjaciółom o owym królu spartańskim, który raz przed bitwą, pojmanych Persów nago pokazał swym żołnierzom, aby nauczyli się gardzić takim przeciwnikiem.

Wieczorem większość wojsk macedońskich odmówiła posłuszeństwa. Opuścili obóz, przebiegli miasto żołdackie i połączyli się z Fazonem i jego zastępami szlachetnych, obozującami pod murami Opisu. Tu w posepnych, powtarzających się okrzykach wołali Aleksandra. Wiedzieli, że Aleksander, jadący Tygrem z flotą rzeczną, jeszcze nie przybył, lecz zagłuszali się nawzajem wykrzykiwaniem jego imienia w powietrzu. Fazon, ze wszystkich najwięcej rozgoryczony, rękojeścią swego miecza pod takt wrzawy stukał do brązowej bramy pałacu.

Wtem ukazał się Hefajstion z gwardzistami Seleukkosem i Pejtonem. Gdy zdążał ku nim,

stali zakłopotani na brzegu zewnętrznego tarasu. Jego uspakajające potakiwanie, jego oporna, grożąca mowa, książęcy wygląd jego wysokiej postaci, nic nie pomogło. Wybuchnął odrażający wrzask, rzucono w górę płonącymi pochodniami, nieprzerwanie rozbrzmiewało, grzmiało, skrzeczało: Aleksander! Aleksander! Znowu wciąż to jedno imię. Klaskali rękami, tupali o ziemię i wydawali przeraźliwe gwizdy.

Hefajstion nie znalazł posłuchu. Jego głos ginał w zgiełku. Zeszedł między nich, przemawiał niektórym do sumienia, osiągnął też męskimi swemi słowami, iż jeden i drugi zmieszał się i na chwilę umilkł, gdy jednak tylko odwrócił się od nich, ze zdwojoną dzikością rzucali się w prąd ogólnej pasji. Hefajstion wprędce zauważył, że wysiłki jego idą wręcz na marne; co zdawało mu się, iż zatrzymał, odwracało się odeń w następny mgnieniu oka, czem większem było jego usiłowanie, tem mocniej srożył się bunt. Wyciągali przeciw niemu pięście, wymyślali na niego, dławili mu słowa w ustach. Dopiero gdy do ostatka wyczerpany wycofał się, uspokoili się nieco. Przyniesiono mu wieść, że zbuntowali się również zbrojni w tarcze okrągłe i zbrojni w tarcze srebrne. Posłał konnych posłańców nad Tyger, do Aleksandra, który lada godzina winien przybyć, aby pośpieszał.

Hefajstion nie udał się do siebie. Choć bardzo potrzebował spokoju, bez przestanku cho-

dził tam i z powrotem po górnym tarasie, mając nad sobą rozżagwione niebo gwiazd, pożądlwie wchłaniając chłód nocnego powietrza. Godzina za godziną upływały mu w pełnej strapienia bezmyślności. Jego zranione zmysły były w stanie chwycić tylko rozszalałe obrazy: zburzony świat, krwawiący niezliczonemi ranami, niebo, podobne do płonącego sklepienia namiotu, miasta, chwiejące się w dymie i mgłę nad ognistemi wyrwami, i bezokie zwierzęta, trzepoczące się w mroku i wyjące przeraźliwym głosem. Umysł jego był biczowany ciągłemi wzruszeniami, bezsennemi nocami, wciąż czujną gotowością do ostatniej walki, obawą wobec ślepego trafu. Członki ciała, osłabione górskiem zimnem, żarem pustyni, wyziewami bagien, ranami i niedostatkiem, odmawiały posłuszeństwa, porwany był każdy serdeczny związek, wstrząśniętą wiara, boskie symbole stały się nie mówiącemi znakami, nie było żadnego oparcia, dzień powszedni stracił znaczenie, przystanią mogła być tylko śmierć.

Noc była ciemna i parna. W mroku czerniły się domostwa Opisu. Mieszkańcy zatarasowali drzwi; z płaskich dachów para spokojnych oczu spoglądała niekiedy na zmienny tłum cudzoziemców. Psy przemykały trwożnie po brukowanych ulicach, szukając odpadków jadła.

Z gaju boga księżyca szła procesja biało ubranych kapłanów. Ośmiu hierodulów niosło

zasłonięty obraz boga. Na odległym placu, na którego środku stała kolumna, kapłani utworzyli krąg. Milcząc, patrzyli w górę na księżyc, którego pół tarczy czerwieniło się od tlejących oparów ziemskich. Osiem niewiast zrzuciło z siebie szaty, rozpuściły włosy i tańczyły umiarkowanemi, nawet ociągającemi się ruchami lśniących w księżycu ciał. Przechylały głowy w tył, tak że ich piersi wyprężały się pragnieniem nawprost gwiazd. Kapłani wzniesli płasko złożone ręce i zanucili powolną pieśń.

Wielu Macedończyków było świadkami obrzędu. Dreszczem przejęła ich ta chwila. Przykrym był im ten kraj. Z wątpiali powrócili do obozu. Gdy szarzał ranek, rozeszło się, że Aleksander przybył. Nadzieja opromieniła ich niewyspane twarze. Wciąż nadchodzili nowi ludzie, potwierdzając prawdziwość wieści.

Wtedy rozpoczęła się gwałtowna wędrówka. Porwani tą samą falą, ciągnęli Macedończycy przez bramę do miasta i przed wzniesienie pałacu. Stali tam, człowiek obok człowieka, tysiącami, w cierpliwem milczeniu, aż do wschodu słońca. Bez znaku zniecierpliwienia oczekiwali, aż Aleksandrowi spodoba się przyjść do nich. Na ani jednej twarzy nie było widać zuchwalstwa lub braku uległości. Gdy niewolnicy rozwarli główne wejście i Aleksander wyszedł sam, podniósł się słaby, rozwlekły, drżący szmer.

Aleksander miał piękny hełm samoski, przepasaną szatę wierzchnią sycylijskiej roboty, podwójny lniany pancerz ze zdobyczy pod Isos i wspaniałą płaszcz do konnej jazdy, ofiarowany mu przez miasto Rodos.

Szybkim krokiem podszedł do kraju tarasu. Macedończycy burzliwie cisnęli się do niego, setkami naraz wydostali się na schody, napierający z tyłu stali głowa obok głowy, oczy, natężone wyrazem oczekiwania, mieli zwrócone na Aleksandra.

Mimo spędzonej na wodzie nocy, w rysach jego nie było śladu znużenia. Wyglądał świeżo, ruchliwie, rzeźwo. Najpierw przyjrzał się swym ludziom. Przegląd nie trwał długo, choć każdemu z nich wydawało się, jakoby wyjmował mu z piersi serce, aby je obejrzyć i odważyć. Potem zaczął mówić z całem zaufaniem, zrazu tylko do najbliższych, poczem nieco podniósł głos i zachowywał się, jak przy przyjacielskiej rozmowie. Wydawało się, jakby miał im powiedzieć coś radosnego. „Przypomnijcie sobie, że w Indjach byliście zmęczeni wojną i chcieliście wracać“, mówił. „Wówczas nie mogłem was odesłać, bo byliście mi niezbędni. Dziś jest inaczej. Azja jest poskromiona i aż do następnej wiosny nie podejmę nic nowego. Otóż tych, co są ze mną dłużej, niż pięć lat, chcę odesłać do domów. Każdy otrzyma podarek —“

Dalej Aleksander nie doszedł. Ci, do których mówił, obrócili się w tył, i jak huragan leciały słowa z ust do ust, od ucha do ucha.

Wybuchnęła olbrzymia wrzawa, dziki, olbrzymi wrzask. Aleksander cofnął się. Z pobladłemi ustami, z wyciągniętymi ramionami, z otwartemi ustami cisnęli się za nim. Bulgotał wylew krzyków, przekleństw, klątw, biadań, skarg i urągów. Wyciągali miecze i cięli niemi powietrze. „Zdrajca!“ krzyczeli do Aleksandra. „Swoich weteranów chcesz sobie zrzucić z szyi“, wyli. „Barbarzyńcy mają całować twoje nogi.“ — „Zużył nas i wycisnął, a teraz odrzuca nas w kąt“. — „Jesteśmy niewygodni, obawiają się nas...“ — „Zdrajca! Zdrajca!“

Straże wyszły z pałacu.

Nieruchomo stojąc, ręce skrzyżowawszy na piersiach, Aleksander słuchał i patrzył. Wrzawa i zgiełk nie przestraszały go, jego powieki ani drgnęły w tej huraganowej wrzawie głosów. W jego oczach lśnił zimny i osobliwie wesoły blask, na jego usta wystąpił uśmiech. Zmieszało to stojących obok Macedończyków, przeraziło, przyprowadziło do opamiętania. Było coś demonicznego w tym uśmiechu; ja tylko bawię się wami i wygram, mówił on, ciesz się mnie wasze szaleństwo i raduję się, poskramiając was.

Spokój, jaki ogarnął stojących na przodzie, powoli rozszerzał się w tył. Żołdacy i dowódcy, stojący przed Aleksandrem, wykrzywili twarze

wyrazem, zmieszanym z przekory i strachu. Związani niewidzialnym łańcuchem, dostali się w pętą. Twarz Aleksandra stała się poważna, jak głaz. Wzrok jego biegał od człowieka do człowieka, ile setek widział w ścisku, twarzy brodatych, gładkich, młodzieńczych, starzejących się, porytych bliznami, naznaczonych zdróżnościami, ani jedno oko nie śmiało spotkać się z jego wzrokiem. Sami przed sobą wstydzili się swego tchórzostwa, wzajemnie starali się przekonywać, że oślepią ich słońce, które właśnie wznosiło się nad blanki pałacu, i mrugali powiekami.

Aleksander odetchnął i powiedział czystym, jasnym, dziecięcym, daleko rozlegającym się głosem: „Żaden z was nie podniesie już miecza w mojem imieniu. Zwalniam was. Możecie iść, gdzie się komu podoba. Precz z wami, nie chcę was widzieć, precz, precz z wami“.

Obrócił się i wstąpił na schody. Płaszcz trzepotał mu się na ramionach, wreszcie spadł na ziemię. Leonnatos podniósł go. Straże szły za Aleksandrem do pałacu.

Na górze na występie tarasu, w napół pochylonej postawie, z łokciem opartym o poręcz, stał Hefajstion. Niewzruszenie patrzące jego czarne oczy były skierowane na żołdaków. Badał ich twarze, jak strzelec gęstwę leśną, w którą chce wtargnąć. Wtem ciężkim krokiem wszedł tetrarcha Fazon i stanął przed Hefajstio-

nem. „Weź to odemnie, Hefajstionie“, powiedział, w wyciągniętej ręce trzymając krótki miecz, „stał się bezużytecznym sprzętem“. Rubaszna twarz zadrgała, jak od płomienia, i w oczach stanęły mu łzy. „No, Hefajstionie“, mówił dziwnie klaskającymi ustami, „ty musisz wiedzieć, co się stanie teraz. Ty jesteś przecież miarą woli Aleksandra“.

Hefajstion potrząsnął głową i zasłonił się śmiechem. „Schowaj swój miecz, Fazonie“, odpowiedział, „jeszcze ci się przyda“. Zwątpienie mężczyzny wzruszyło go.

Macedończycy stali jeszcze w milczeniu, gdy Aleksander odszedł od nich. Nogi ich były ołowiane. Nagle ktoś krzyknął: „Do domu! jesteśmy wolni!“ Powstało leniwe poruszenie. Większość twarzy okazywała zmartwienie, bojaźliwe zamyślenie i bezradność. Nie byli już żołnierzami Aleksandra. Dokąd? co począc? pytały się ich tępe spojrzenia. Niektórzy dowódcy rot i oddziałów wydawali rozkazy, ale ich nie słyszano. Powstało brzęczenie, jak w miliardowej masie owadów. Ci namawiali do buntu, owi do wytrwania. Ktoś radził, aby splądrować i puścić z płomieniami miasto. Każdy chciał co innego, wszyscy dowodzili, nikt nie słuchał. Tu podnosił się pusty krzyk, ówdzie gromadzili się rozważniejsi i troskliwie rozważali położenie. Inni biegali wokół, grozili, śmiali się, klęli, chępli się. Cały ogromny tłum ludzki, bądź to prze-

rzedzając się, bądź też skupiając się niby olbrzymi wodny strumień, skręcał się w sobie.

Wkońcu znalazła się rada, nienasuująca wątpliwości i niewymagająca zbytnej działalności. Postanowiono czekać i przez cały dzień zachowywać się spokojnie, ale wszystko: namioty, zwierzęta, niewolników i bagaże przygotować do wymarszu. Bezładna, bezkarna masa tłoczyła się drogą świątyni do najbliższej bramy i do obozu.

Większość zwała się, wyczerpana słonecznym żarem. Z zamkniętymi oczami poddali się ogólnemu uczuciu słabości. Niewolnicy i kobiety nagotowali im jadła, ale nie mogli nic pożywać, wlewali tylko wino do palących gardeł. Miasto ze swemi murami i mogiłnemi domami o płaskich dachach leżało przed nimi w południowej spiekocie, błyszcząc, jak ogromny biały pęcherz, niebo było zabarwione brunatnie, woda rzeczna była gorąca, jakby ugotowana, ziemia chwiała się w oczach.

Wielu uciekło do ogrodów warzywnych, szukając wytchnienia w wątlym cieniu drzew. Wielu zanurzyło się w wodę aż po szyję. Jeden dowódca rotę posłał swych ludzi do miasta, mniemając, iż skoro Aleksander zobaczy ich, rozpocznie działać. Powrócili smutni, opowiadając, że Aleksander zamknął się w pałacu i z nikim nie chce mówić.

Następnego rana rozległy się stokrotne na-

woływania do wymarszu. Wiele namiotów zerwano, muły i wielbłądy potroczono.. Ale zbłądły pociągające obrazy ojczyzny. Nikt nie chciał iść pierwszy, żaden oddział nie chciał być pierwszym. Pewien Sofilos obchodził wokół, czyniąc chętlive obietnice; chciał stanąć za dowódcę i pójść na podbój Egiptu na stałe. Słuchano go, a gdy skończył, zapominano, co powiedział. Inny, nazwiskiem Lampos (jak koń Hektora), obnosił się z własnymi hymnami, nawołującami do uśmiercenia tyranów. Niektórzy żołdacy leżeli pod krzewami oliwek, powaleni strasznem wyczerpaniem, i łkali, jak dzieci. Zastanawiającem było niebezpieczeństwo, jakie groziło skutkiem wyczerpania środków żywności. Zwolnieni, wygnani, nie już nie mogli żądać od urzędu zaopatrywania. Co ustrzelili z własnego łuku, co zdobyć mogli własną dzidą, było ich własnością, ale tem setki nie nasyciły się nawet na jeden dzień, a kto jeszcze miał dość ochoty i swobody, aby polować tam w rozpalonym kraju? Wino się kończyło. Niepostrzeżenie nadeszła myśl o zamachu. Nocą wymaszerowało około dwóch tysięcy ludzi, uzbrojonych do walki, w kierunku obozu Persów. Z za roznieconych ogni zjawily się groźnie wzmocnione straże. Nie dowierzali już sobie. Ci niezwyciężeni Macedończycy wyglądali, jak horda drżących niedorajd. Bez odwagi, bez rozumu, bez wiary w siebie, podejmowali bezsilne postanowienia.

Zastępy szlachetnych Fazona ciągnęły pod murami. Przerażającym był ich widok, gdy w spokoju i mroku nocy poczęli śpiewać. Chcieli zagłuszyć swój strach. Wszelki czyn był niemożliwy, nawet dwa mózgi nie były dostępne dla jednej myśli, wszyscy wszakże żywili jednakowe, wzburzające uczucie przerażającego osamotnienia. Rozpalili ognie i przyciągnęli wróżbitów. Dwuch Stymfejczyków w swych pomieszanych dążeniach wdrapało się na mury miejskie. Jeden, przestraszony ostrzegawczemi nawoływaniem, zeskoczył, łamiąc kark, drugi dotarł aż do blanków, utknął tam i tępo wpatrywał się w ciemność.

O śnie nie było co myśleć. Mężczyźni głucho i mocno obejmowali młodzieńców, których kochali. Och, jak nienawidzili Aleksandra! jakże bolesną była ich nienawiść, gdyż w bezsilności swej musiała się strawić sama w sobie. Gorąco błagali, aby bóg spuścił najgorsze cierpienie, i zastanawiali się nad zadziwiającą zagadką, że on ich tak upokorzył. Tej nocy ponad tysiąc zachorowało na febrę i biegunkę; nie przeciwdziałali już chorobie i złe opary poniżenia zatruwały ich soki.

Jedyny oddział Izmeniasa był zdecydowany trzeciego ranka do wymarszu. Nastąpił on powoli. Z łona mroków wyłonił się dzień, żarzący, jak poprzednie. Gdy dotarli do brzegu kanału, zobaczyli wielki, okrągły statek z przecudną ko-

biętą. Miała szaty z żółtego bisioru i szafranowo żółte obuwie. Czerwonawe, rozpuszczone włosy grzywą okalały jej twarz błogo uśmiechniętą, choć wypełnioną jakąś tajemniczą złością. Za nią stało dwóch nagich niewolników nubijskich z parasolką i wachlarzem. Trzeci niewolnik długim wiosłem popychał łódź naprzód. U stóp kobiety leżał grecki żołnierz, kapitan o niebiesko napęczniałej twarzy, trup. Statek jechał z obozu Greków i zdążał ku miastu.

Żołdacy zatrzymali się. Stanęli, jeźdźcy powstrzymali konie, cały orszak stał milcząc wzdłuż brzegu, odprowadzając wzrokiem barkę na chwiejnym zwierciadle czerniawej wody. Dalej nie mogli. Długo jeszcze z zasępionemi czołami nadśluchiwali jednostajnego śpiewu niewolników, prowadzących barkę. Zawstydzeni, skruszeni, poruszani przesądnymi wyobrażeniami, zawrócili.

Gdy powrócili do obozu, dwaj heroldzi zaalarmowali Macedończyków, iż albo mają natychmiast opuścić równinę Opisu, albo gotować się do boju z Aleksandrem. Równocześnie zjawił się retor, sporządził sobie małą trybunę z desek, wstąpił na nią, wyciągnął z płaszcza zapisany rulon, i gdy tłum tłoczył się wokół niego w smętnem wyczekiwaniu, zaczął czytać:

„Oto posłanie Aleksandra do was, żołnierze! Z najnędzniejszych wśród ludzi uczyniłem was królami. Z każdego z was zrobiłem coś

w rodzaju księcia. Czemże byliście przedtem? Byliście pasterzami kóz. Czy pamiętacie? Może posiadaliście skarby w waszych biednych dolinach? Nie posiadaliście ani dwóch srebrnych talentów. Może mieliście wiele okrętów? Ani jeden pień drzewny z waszego kraju nie pływał po morzu. Mielicie może kosztowne szaty, namioty z błękitnego jedwabiu? i srebrne gwoździe w obuwiu? i esencje do kąpieli? i niewolników i strojne niewiasty i chłopców do miłości i złote czary i wykładane kością słoniową naramienniki i miecze złotem zdobione? Głodowaliście w śmierdzących, podziemnych lepiankach, marziliście pod twardemi skórami. A może ja mam wspaniałości Tyru, perły Darjusza, skarby grobów królewskich, złoto i sprzęty świątyni? Wyście byli posiadaczami, wy namiestnikami, wy dowódcami wojsk, a ja, ja miałem tylko mękę w piersiach. Jadałem gorzej od was, spałem gorzej od was. Czy wycierpiał kto więcej, niż ja? Kto ma blizny, niech je obnaży. I ja przyjdę i pokażę swe blizny. Niema członka na mojem ciele, któryby był bez rany. Byłem ranny od miecza i sztyletu, od rzutu kamieniem i od strzały z katapulty, od lancy i od maczugi. Zliczyłem wasze winy, byłem lepszy, niż najłagodniejszy duch. Kto umarł, tego koniec był pełen sławy, gdyż nikt podemną nie znalazł śmierci w ucieczce. A teraz pójdźcie, radzę wam, opuśćcie ten kraj. Powierzyłem się Azjatom. Dałem im pra-

wo pocałunku. Mam perskich wojaków ze srebrnymi tarczami, perskie zastępy szlacheńskich, perską gwardję, już was nie potrzebuję. Żyćcie w pokoju i opowiadajcie w domu, że w pokoju pożegnaliśmy się z sobą“.

Słowa te podziałały strasznie. Najpierw podniósł się mruk, daleko toczący się, jak grzmot, jęk, jak niezliczonych umierających, wreszcie krzyk beznadziejnego zwątpienia. Heroldów rzucono o ziemię, trybunę razem z retorem zniesiono i strатовano. Zbrojni w srebrne tarcze pobiegli ku miastu, ślepo poszli za nimi wszyscy, jednym i tem samem parciem nagle aż do głębi poruszeni. Bez tchu równocześnie wtargnęli trzema bramami, dysząc, biegli ulicą świątyni, ulicą kupców i ulicą garbarzy, bez tchu dotarli do tarasu i chcieli wtargnąć do pałacu.

Ale drzwi były zamknięte. Niezliczone pięści wzniosły się ku nim, grożąc. Napróżno; uważano ich przyjście i poczyniono zabezpieczenia. Starali się dostać do górnych okrągłych otworów, po trzech albo po czterech unosząc się na plecach. Ale napotkali oszczepy perskich straży. Większa część powaliła się zaraz apatycznie na stopnie tarasu. Ulice w dole były wypełnione Macedończykami. Żółto i dotkliwie rozgrzewało słońce głowy i hełmy.

Wtem z głównego wejścia rozległ się brzęk. Niektórzy żołnierze porzucili miecze i tarcze, aby pokazać się rozbrojonymi i aby skrucha ich

była godną wiary. Przykład podziałął rozpalająco. Nadpływały tam zastępy. Jedni przez drugich rzucali broń: miecze, sztylety, tarcze, dzidy, nawet hełmy. Rosła i piętrzyła się olbrzymia piramida broni. Wielu podchodziło do drzwi pałacu i z wzniesionemi rękoma głośno błagali o dostęp. Wkrótce klębili się tysiącami, żałośnie wołali o dostęp, o przebaczenie, oskarżali się i przyrzekali poprawę. Chcieli tylko zobaczyć Aleksandra, aby choć raz jeden jeszcze przemówił do nich.

W pałacu nic się nie poruszało. Obojętnie wznosiły się mury. Nadszedł zmierzch. Błagania i płacze stały się natarczywsze. Macedończycy przysięgali, iż wydadzą podżegaczy buntu. Jakby w żelaznych drzwiach dostrzegali uszy Aleksandra, tak bezpośrednio i namiętnie oddawali mu się. Fazon wysunął się naprzód. Uznawał się najwinniejszym. Podniósł z ziemi krótki miecz, oparł go ręką o mur, zamknął oczy i z fanatyczną uległością własną swą pierś nadział na stal. Z cichym jękiem bólu zwałił się. Krew zabarwiła jego odzienie.

W tej samej chwili rozwarto drzwi.

W towarzystwie kilku niosących pochodnie, w mroku dziedzińca ukazał się Aleksander.

ROZDZIAŁ PIĄTY.

HEFAJSTION.

Rankiem Aleksander naradzał się z Eumenesem nad nowymi rozkazami podatkowymi dla Syrii, ów zaś dyktował je potem pisarzom. Od czasu do czasu przybywali posłańcy z wieściami z macedońskiego obozu. Dowódcy, którzy nie brali udziału w buncie, chodzili przygnębieni po korytarzach pałacu. Cisnęło ich serce. Pełnym pogardy wzrokiem spoglądali na grupy książąt perskich, wśród których większość, choć w czynnościach swych byli nawet wierni, miała zamysły bardziej zdradzieckie, niż jawnie zbuntowani żołdacy. Ale im potrzebny był blask królewskiego obozu, łaska udzielająca pomyslnego dobrobytu, uprawnienie w posiadaniu tytułów i bogactw. Aleksander był okiem ich sennego powodzenia, myślącym za nich mózgiem, poruszającą siłą dla ich błęgiego spokoju, kierownikiem ich dzikich nadziei. Nie umarła w nich

jeszcze miłość ojczyzny, i w duszy odnosili się do Aleksandra tak, jak nakazywało im sumienie i honor. Nie upokarzaj, nie upokarzaj nas aż do ostateczności, mówili, czy chcesz, aby świat, aby bezpieczeństwo milionów, czy chcesz, aby wszystko zależało od twego oddechu, Aleksandrze? Pomyśl, przecież i ty masz w piersi serce z mięśnia, nieinaczej, niż u innych ludzi, krąży w tobie krew; możesz umrzeć; czy olbrzymia budowla ma spoczywać na jedynej kolumnie i rozpaść się w proch, gdy ona się zwali? Nie poniżaj więc zbytnio tych, co pochodzą z tego samego ziemskiego padołu, co i ty.

Między sobą mówili, jak dobrze powiodło się wróżbitom i jak źle prawdomównym, i tem śmielsze były myśli w pełne przeczuć godziny tego dnia: niema już żadnego mostu do ojczyzny, zniszczy nas Azja, jak wąż otoczy nas Azja, ludy nie mogą się mścić za przelaną krew, ale Azja podniesie ramię, i na niego nadejdzie pora, i jego pochłonie ponura zemsta, już Babilon otwiera swą paszczę, krzyczcie tylko i płaczcie, Macedończycy, macie słuszość, dziś jest dzień przed nocą. Takimi myślami wzruszeni, chodzili dowódcy po rozległych korytarzach, oczekując wieczoru.

Przybyło jeszcze jedno niepomyślne poselstwo. Nadciągnęli mieszkańcy i żołnierze z Ekbatany, wyczerpani, zgłodniiali, chorzy i poranieni. Dziki lud górski Kosejczyków zbuntował

się, zburzył posiadłości miejskie, a w górnym kraju wszystkie świątynie stały w płomieniach, wszystkie wsie opustoszały.

Czem więcej świat naokół Aleksandra kipsiał, tem on bardziej stawał się milczącym. Czem więcej rosło niebezpieczeństw, tem lepiej umiał patrzeć przez nie i za nie. Podczas gdy wszyscy inni obracają się we mgle przeżyć, on stał ponad chmurami. Nachodziła go wtedy senna jasność, czyniąca go zdolnym do oglądania ciemnych plam w piersiach najbardziej mu oddanych, i ludzkie serce nie miało już przed nim żadnych tajemnic; w nim samym jednak zamarło ludzkie uczucie. Zapominał jedzenia i picia, nie potrzebował już snu ani wypoczynku, nic nie mogło go zaskoczyć, nic przerazić, i to, czy państwa będą rozproszone, wzruszało go nie więcej, niż rzut kością w grze. Ale i w nim nie było radości, świadomość jego nie była przepojona mocą zadowolenia, w mrokach błdziły jego słowa i pragnienia, nici, które trzymał, snuły się z jego palców, jakby same z siebie.

W godzinie, gdy Macedończycy szturmowali do pałacu i ich odrażająco gorzkie okrzyki wypełniały wszystkie komnaty, przy Aleksandrze znajdowali się Perdikkas i Ptolomeos. Nie miał wcale ochoty pokazywać się błagającym, lecz obojętnie naradzał się z obu gwardzistami nad środkami przeciw Kosejczykowi i komu z do-

wódców, bez którego mógłby się obejść, powierzyć wyprawę wojenną i karną.

Wtem do komnaty wszedł Hefajstion. Twarz miał spłowiałą, oczy nabiegłe krwią, ręce mu drżały, gardło wzdęło mu słowami, na bok odsunął straż przy drzwiach i, skoro stanął przed Aleksandrem, tyle mu tylko powiedział: „Teraz jest pora, abyś się przypomniał Macedończykom“.

Niechętnie zdumiony, jakby miał przed sobą zupełnie obcego człowieka, patrzył Aleksander na Hefajstiona, nie odpowiadając ani sylaby.

Pokryte potem ciało Hefajstiona silnie drżało. Serce biło, jakby chciało rozwalić mu piersi. Słowa ust swoich chciałby użyć wielu tysiącom, nazewnątrz pod bramą skuczającym o dostęp i łaskę; ale zaledwie zdołał bełkotać.

„Przyjacielu! Ukochany! Aleksandrze!“ zawołał.

„Jutro o zmroku z dwoma tysiącami łuczników podążysz, Hefajstionie, do Kolonai“, zimno odezwał się Aleksander. „Jeśli Kosejczycy nie staną do walki, będziesz szukał ich w górach. Maszerować będzie się tylko nocami i rankami. Megabizos dostarczy przewodników, Nezjotes żywności“.

Twarz Hefajstiona stała się martwa.

Aleksander przypasał miecz, wziął hełm, i skinieniem polecił Perdikkasowi i Ptolomeuszowi, aby podążyli za nim. Nazewnątrz dał jesz-

cze kilka rokazów dowódcy straży, dopiero potem polecił otworzyć drzwi. Wyszedł do Macedończyków.

I stało się naraz, jakby zapadająca ciemność jednym jedynym tchnieniem pochłoneła tysiąckrotne, dziesięciotysiąckrotne głosy zbuntowanych, zrozpaczonych, do krańca bolesnej niecierpliwości doprowadzonych zastępów, ich krzyki, hałasy, prośby, biadania, łkania, ich przysięgi, westchnienia, samooskarżania i skargi.

Spokój, jaki teraz nastąpił, drgał najpierw wszystkimi temi tonami, nie powstał też zupełnie nagle, lecz najpierw w przednich szeregach, poczem z wzrastającą szybkością rozszerzał się na wszystkie strony; powoli zamilkły nawet najcichsze szepty. Każdemu z nich zdawało się, że zatrzymał się w nim oddech i serce bić mu przestało. Powieki nie poruszały się, oczy osłupiały, i tylko Aleksandra szukało ich wymowne, pożądliwe spojrzenie.

Była tak ogromna cisza, że słyszać było trzepotanie ptaków, fruujących w pewnej od dali nad zewnętrznymi murami pałacu.

Wszystkich ich ogarnął wstyd. W takich okolicznościach żaden z nich nie spostrzegłby najukochańszego przyjaciela. Zdawało się im, jakoby powoli opuszczało się sklepienie niebios i ciążyło na ich głowach. Choć włączony do tłumy, z lewej i z prawej, z przodu i z tyłu popychany jej gromadnemi ciałami, każdy oddziel-

nie czuł się osamotnionym. Myśleli o swych gościach, żonach, skarbach, aby tylko zmniejszyć grozę chwili.

Wreszcie zbawczy okrzyk: „Przebacz, Aleksandrze!“ Aby zapobiec przeczącej odpowiedzi, wymownemu potrząśnięciu głową, wątpliwemu gestowi, tysiące, więcej, niż tysiące, gardeł powtarzało słowa: „Przebacz, Aleksandrze, przebacz!“.

Tłum znowu zaczął się ruszać, zwarł się jeszcze bardziej, przewalił się ku schodom tarasu i wsunął się tu w zwięźenie, jak wzniesiona łapa jakiegoś olbrzymiego zwierzęcia. Wybuchnął ogłuszający uszy zamęt okrzyków trwogi, przysięg i błagań o łaskę. Obawiali się, iż wciąż nie zdobyli jeszcze Aleksandra, nie przedstawiali więc krzyczeć, choć ruchem ręki nakazywał spokój. Najbliżsi rzucili się mu do stóp i usiłowali objąć go za kolana; bełkotali głosami dławiącymi się od łez. Stary kapitan rycerstwa docisnął się tu. „Aleksandrze“, mówił, „boli nas, że Persom wolno cię całować. Żaden z nas Macedończyków nie śmiał cię pocałować. A im, cudzoziemcom, wolno cię całować. Boli to nas, Aleksandrze“.

Drżąc, sięgali inni po kraj płaszcza Aleksandra, aby przycisnąć go do swych ust. Niektórzy zapewniali, że chcieliby tu na miejscu zginać za niego i, jak opętani, walili się w piersi. Inni łkali przed nim, inni znów wili się po ziemi.

Poruszyło to Aleksandra.

Gdy lizali mu stopy, patrzył im w oczy. Zobaczył w nich nienawiść. Ale oni nic nie wiedzieli o nienawiści, jaką żywili dla sprawcy upokorzenia, dla twórcy ich słabości. Wtem opanował ich lęk.

Podbił Helladę i Jonję i Persję i Indję i Babilon i Hirkanję i Baktrję i Egipt, i nie było mu tego dosyć. On chce posiadać Arabję i Kartaginę i Rzym i kraje Scytów i wody Atlantyku, i nie będzie mu dosyć. Jego pragnienia sięgają gwiazd, ziemskie korony są mu za mało, a jednak, spostrzegał teraz, że więcej znaczy być człowiekiem, niż Bogiem. I nosił w sobie pragnienie człowieka, okiem swej duszy przebiegał krąg niewolników i pachołków i żołdaków i gotowych do miłości kobiet, i znajdował tylko Hefajstiona. Przestraszył się. Opuścił wzrok. Zadrzało mu około warg. Popychało go coś, aby śpieszył z powrotem, żeby raz jeszcze zobaczył Hefajstiona. Pragnął, aby wszystko to mogło być snem, szukał słów, żeby wyzwolił się z tego uczucia. Jego rozbiegany wzrok zatrzymał się na trupie Fazona. Obraz śmierci w tej chwili zniewalał go osobiwie. Podszedł doń. Zakrwawione ciało spoczywało martwo na łożu z przypadkowo porzuconych tarcz skórzaných. Nachylił się, podniósł martwego w ramionach i ucałował go w woskowo zimne usta.

Radosny, żywiołowo burzliwy okrzyk przeciął i wzruszył powietrze, jak nagle grzmiący łoskot z urwiska skalnego spadającej kamiennej lawiny. Macedończykom czyn ten wydał się czem innem, niż był. Z błyszczącymi oczami cisnęli się tam. Ci, którym udało się otrzymać jego szybki, braterski pocałunek w czoło, włosy, policzek lub ramię, występowali z ruchomego koła z wyrazem dzikiego uszczęśliwienia. Pobudzali znów innych, którzy nie dostąpili jeszcze tego szczęścia, że ławą rzucali się do Aleksandra, jak gromady wojsk nieprzyjacielskich. Oszalało ich, jeśli choć palcem mogli dotknąć jego ramienia. Wkońcu chwycili znów za broń i wołali, że trzeba wrócić do obozu i święcić ucztę pojednania. Ukazali się niewolnicy, wszędzie płonęły pochodnie, i w krótkim czasie opustoszał taras, dziedziniec, plac, ulice. Zgiełk rozlegał się w mrocznej dali.

Straże kroczyły pomału przepisanimi drogami, przyglądając się migotaniu czerwonych gwiazd. Od miasta dochodził ponuro głos rogu z jakiejś wieży świątynnej. Dopiero w porze nocnej budził się kraj. Niczem ciało jakiegoś niesamowitego zwierzęcia leżał tu i roztwierał ponuro marzące oczy.

Opustoszało i wnętrze pałacu. W prowadzącym do izb mieszkalnych, sklepionym korytarzu płonęła jedyna tylko pochodnia; wznosiła się

smukła z umocnienia, poczynającego kapać żywicą. Pstre dywany u wejść poruszały się w przeciągu, jak ciężkie flagi. Tylko ostatnia izba miała drzwi. W głębi tej komnaty leżał na łożu Hefajstion, z głową wspartą na ramieniu. Twarz jego była przyćmiona, rysy jej zdawały się martwe.

Słabo migotający płomień kaganka barwił ściany różowo, czarne arabeski na białem tle zdawały się poruszać. Obie karjatydy, wyobrażenia płodności, drgały wśród przesuwających się cieni; każda z nich trzymała naczynie, z którego na ich niezgrabne ciała spływał kamienny strumień.

Hefajstion głęboko pochylił głowę; wtem posłyszał szmer; wzdrygając się, zauważył między kamiennymi posągami bezkształtną w niepewnem świetle postać kobiecą. Nie ruszała się. Lewą ręką trzymała jeszcze drzwi.

Była to Drypetis. Jej smukła twarz o długim podbródku zaginionych ras była napół odwrócona. Nie słysząc było żadnego innego szmeru, prócz dochodzącego z nieokreślonego kierunku sennego pluskania jakiejś fontanny.

„Odkąd-to kobiety samowolnie opuszczają swe mieszkania?“ zapytał Hefajstion.

Drypetis nic nie odpowiedziała. Szare oczy nie odwróciły się od kaganka. Nagle upadła przed Hefajstionem na kolana i ujęła go za opierającą się rękę. „Pójdź ze mną do twej ojczy-

zny“, szeptała, „będę tam twoją niewolnicą, będę spełniała najcięższe roboty“.

Zrobiło to na Hefajstionie wrażenie, że tak niespodziewanie ofiarowała mu się dusza, choć tylko dusza kobieca. Ale jemu nie było danem wyciągnąć lewą rękę po kwiat, gdy prawa utraciła świat. Między nim a Drypetis nie było żadnego węzła i w oględny sposób dał jej to do zrozumienia. Mówił o zwierciadle, rozbitem przez przypadek, i o zamkniętym ogrodzie, od którego klucze wyrzucono. Mówił o istotach, podobnych płomieniom, i o innych istotach, co są jak dym. Mówił sam do siebie i przerwał z westchnieniem.

Drypetis nie rozumiała go, ale to, co opowiadał, wzbudziło w jej duszy echo, którego nasłuchiwała zamyślona i roztargniona. Patrzyła na Hefajstiona wzrokiem bezdennej wdzięczności.

„Idź sobie, Drypetis“, mówił, „jesteś wolna. Nie dotknąłem cię jeszcze. Zaślub kogo z twego narodu“.

Tajemniczo uśmiechając się, potrząsnęła Drypetis głową. „Nietylko ciałem wiążą się ze sobą ludzie“, odpowiedziała i po krótkim milczeniu mówiła dalej, błagając, aby Hefajstion nocy tej nie wychodził z pałacu. „Miałam sen“, mówiła, „przestrach senny zniewala mnie do prośby...“.

Hefajstion milczał.

Niestety, język ma tylko słowa, a serce tylko swoją obawę, myślała Drypetis. Mocno przygryzała dolną wargę. Zanim spuściła zasłonę na twarz, zdawało się, iż zasłania się od wewnątrz. Potem odeszła.

Po pewnej chwili także Hefajstion opuścił izbę i poszedł wzdłuż korytarza aż do kopulastej komnaty, położonej o wiele schodów niżej, oddalonej od izb mieszkalnych. Oświeślała ją lampa oliwna, której blask padał na drewniany posąg spętanego Erosa. Posąg stał na niskiej podstawie, jego nadpróchniałe rysy, jego wielokroć uszkodzone członki wskazywały, że był bardzo stary. Mimo to nie był wcale pozbawiony szlachetnego, skromnego piękna. Ciało nad mocno zwartemi nogami było wąskie i długie, wyraz twarzy promiennie przyjazny.

Hefajstion zdjął talizman, jaki nosił na szyi na srebrnym łańcuszku, i położył go u stóp Erosa. Gdy wyszedł z przyjaznego kręgu boga, ogarnął go smutek. Lękamy się śmierci, nie lubimy życia, myślał, tak prowadzi nas droga w mrok i bezwład.

Opuścił pałac, zstąpił z tarasu i poszedł w parną noc.

Ulice były puste. Gwiazdy głucho błyszczały przez opary, pokrywające niebo. Bulgotała woda w kanale, na brzegach rośło sitowie. Z oddali rozlegał się zgiew obozowy. Wyłania-

ła się niska świątynia, uwieńczona małemi kopułami.

W przystępie słabości położył się Hefajstion na ziemi pod tamaryszkiem. Było to coś przykrzejszego, niż ogłuszenie, coś dotkliwszego, niż więzy. Przez mur mógł widzieć pełne światła wnętrze świątyni. Spostrzegł twarz kobiety, z szeroko otwartemi ustami, śmiejącą się dziko i niepohamowanie. W kręgu płonęło dwadzieścia cztery lampy, po jednej na każdą godzinę dnia. Ściany z niebiesko polewanej gliny, ciężko wyginając się do środka, łączyły się w złotym pierścieniu, z którego zwisał drgający wąż. Na ścianie wygięty z jednego jej końca na drugi rozpościerał się wielobarwny demon febry, skrzydłami sięgając kraju sklepienia: napół obrana z ciała czaszka z żółto pomalowanymi oczami i z koziemi rogami; z czterema skrzydłami u tułowia, zdawało się, że rzygając zniszczeniem, wtargnął tu ze stworzonej przez samego siebie przestrzeni.

Kobieta podniosła się. Powoli podeszła do pierwszej lampy, aby ją zgasić, potem do drugiej, do trzeciej i tak wkoło. W miarę, jak oświetlenie stawało się coraz ciemniejsze, posępniała jej twarz, i gdy doszła do światła godziny północnej, już się wcale nie śmiała. Z jej zamkniętych oczu ciekły łzy, usta miała zaciśnięte. Zgasła ostatnie światło. Ciało węża lśniło fosforycznie.

Hefajstion zasnął; niespane noce cofały jego godziny. Ale powoli sen jego przechodził znowu w półczuwanie. Doszedł go głos:

Wybrana jestem z milionów lat,
Z dolnych zstąpiłam niebios,
Na niebie gwiazdy ja policzyłam,
Wzlatać ja muszę ponad wodami.
Przepada rzeka, rozpada się ziemia,
Ojcowskie oko gniewem się żarzy,
Wokół mnie mrok, wokół mnie mrok.

Roztwierając oczy, zobaczył Hefajstion okrażających go niewolników z pochodniami. Tuż nawprost niego stała kobieta, którą niby wizję oglądał w świątyni. Poznał ją teraz, była to wszak Liblitu, która pod nieobecność Aleksandra wniosła skargę na ludzi Mena. Czerwone włosy, jak grzywa, okalały jej twarz. W oczach jej malowała się febra, ciało jej trzęsło się febrą, aby błagać o uzdrowienie, przyszła do świątyni boga febry.

Hefajstion z lodowatym zaciekawieniem wyczekiwał, czy posągi zaczną mówić i jakie słowa padną z wiecznie śmiejących się ust. Niechętnie podniósł głowę. Nagle poczuł się pochwyconym, ramię na gardle, ręce na karku, oddychające nań usta, i zobaczył twarz, niebezpiecznie śmiejącą się z radością, mordem i miłością.

Czy nie myślisz o żalosnych krzykach dzieci wśród płomieni? szeptano; wzniesli ramiona, które zdawały się podobne do lasu niskich pni drzewnych obłupanych z kory. Czy słyszysz krzyki matek? Krew płynęła marmurem brukowanymi ulicami. Czy słyszysz, jak krzyczą matki, niczem zamknięte wilki? Czy czujesz, jak drży Azja? Kocham cię, niszczycielu, pij śmierć razem ze mną, oczy wydłubię ci z głowy.

Hefajstion stracił zmysły. Wykrzykując, radując się, rzuciła się nań Babilonka, zębami chwyciła jego ramię i piła zeń krew, a gdy podniosła głowę, aby złapać tchu, rzuciła w powietrze imię Anahity. Hefajstionowi zdawało się, że dręczy go trwała, pełna męczarni śmierć. Słyszał głos własnej krwi, krążącej w żyłach, serce biło głośno, jak serce dzwonu, okrężało go światło siarczane, pochodnie znikły, zorza poranna zaciągnęła niebo wkoło, przewycieżał go trujący sen, z wody wznosiły się opary.

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

FEBRA.

Ze świtem tegoż dnia z drugiej strony Tygru przybył Arideos ze swym orszakiem. Dziesięć dni pozostawał na równinie po przeciwnej stronie rzeki. Podczas gdy większość jego żołdaków skrycie zbiegła do wielkiego obozu, cierpliwie spędzał dzień za dniem, grając na flecie, łowiąc ryby lub polując, dopóki wszystkie znaki nie będą pomyślne.

Zachodnią bramą wkroczył do miasta i do pałacu, przed tarasem zsiadł z konia i w towarzystwie swych przybocznych ludzi szybko wstępował po schodach. Zatrzymany przez straż u wejścia, gorzko wymienił swe nazwisko. Aleksander jest w kąpieli, powiedziano. „Jestem bratem Aleksandra“, rzekł Arideos. Jeśli nie jesteś sam Aleksandrem, nie możemy cię wpuścić, odpowiedziano.

W tej chwili w drzwiach ukazali się Leonatos i Perdikkas. Twarze ich zdradzały za-

trwożenie. Aleksander, gdy powrócił z uczty, kazał przywołać Hefajstiona, i od godziny poszukiwali go, posyłali za nim do obozu, do namiotów jego przyjaciół, do mieszkań kobiecych.

Arideos poznał Perdikkasa. Podszedł do niego i przemówił z serdecznością, z jaką się wita przyjaciela po latach rozłąki: „Bóg darzy cię opieką, Perdikkasie. Jesteś młodszy, niż przed dwunastu laty, sława służy ci dobrze. Czy pamiętasz mnie? Jestem Arideos. Idź, powiedz że memu bratu Aleksandrowi, że chciałbym go zobaczyć“.

Perdikkas zatrzymał się i wraz z Leonnatosem nie mógł powstrzymać się od śmiechu; może z powodu naiwnej zarozumiałości, będącej przeciwieństwem nędznego orszaku tego człowieka, może z powodu pomieszania melancholji z ruchliwością w wychudłej twarzy o długim nosie.

„Musisz zaczekać, Arideosie“, odrzekł Leonnatos i ciekawie przyglądał się osobliwemu człowiekowi.

Arideos smutno opuścił głowę. Na jego miejscu wielu by zamilkło, ale on nie był zdolny powziąć w sobie jakąś myśl lub postanowienie. „Czy stać mam pod drzwiami?“ zapytał, spoglądając od jednego do drugiego. „Jestem synem Filipa, jestem wolnym człowiekiem, i jeśli dotychczas nic nie słyhać o moich czy-

nach, to tylko dlatego, że jeszcze nie zostały spełnione“.

Wymowne milczenie nastąpiło po tych słowach, pełnych dziecięcej logiki. „Czy to tak pilne, co przynosisz?“ zapytał Perdikkas.

Pełnym tęsknoty wzrokiem spojrzał Arideos na pytającego. „Nie już nie mam, aby zapłacić mych ludzi“, powiedział z ufnością. „Jestem biedny, Aleksander jest bogaty, oto wszystko. Gdybym był Aleksandrem, wiedziałbym, co należy się Arideosowi“.

Milcząco zdumiony potrząsnął Leonnatos głową, a Perdikkas roześmiał się. Poczem obaj dosiedli koni i rozjechali się w różnych kierunkach do obozu.

Wkrótce nadeszli dowódcy do raportu dziennego i dowodzący strażą przyniósł pozwolenie wejścia.

W wydłużonej sali przyjęć panował chłodny mrok, jedynie u otworów okiennych kładło się mlecznie białe światło słoneczne. Arideos wysunął się daleko naprzód, aby był widzianym przez Aleksandra. Zbladł i począł drżeć, gdy spotkał się ze wzrokiem Aleksandra. Wezbrany oczekiwaniem uśmiech przebiegł po jego ustach. Na znak, że go poznaje, Aleksander skłonił mu się, ale go nie przywołał, nie miał ochoty podawać mu ręki, zdawało się, że nie długie lata, lecz krótkie godziny ubiegły, odkąd widzieli się po raz ostatni.

Arideos zawstydził się. Chaotyczna nienawiść przenikała jego sposepniałą, schorzałą duszę, która jednak wciąż jeszcze była gotowa do miłości. Był za dumny, aby zanosić prośby; w samoudręce podobał się sobie w swym bólu; czem głębiej zrzucała go terażniejszość, tem wyżej wyniesie go przyszłość. To było jego wiarą! jego wyobraźnia brała w posiadanie ziemię, dowolnie wiązała przeznaczenie z przeznaczeniem, póki koło losu nie będzie zamknięte. W podobnych godzinach zdawało mu się, że mógłby zajrzeć do głębi jądra światowego, że słyszy bicie serca boskiego, i stawało się nieistotnem spełnianie czynu, gdy ukształtował się w pragnieniu. Gdyby nie przeraźliwe skręty i drgawki ciała, które następowały po tak przeżytych chwilach, nie zamieniłby ich na żadne osiągalne szczęście.

Jakaś kobieta przecisnęła się przez stojących wokół Aleksandra mężczyzn. Drypetis, której wejścia nikt nie zauważył, głucho podała Aleksandrowi talizman Hefajstiona, znaleziony przez nią podczas szalonego poszukiwania małżonka, przed posągiem Erosa.

W zdumieniu oglądał Aleksander ów przedmiot; był to ogon gołębia, wyrzeźbiony w kości słoniowej i pokryty egipskimi hieroglifami. Poznawał go. Nie mógł podejrzewać przypadkowej zguby. Zapytał się Persjanki, skąd go ma,

a gdy jej bezkrwiste usta wymieniły miejsce, twarz jego pokryła się pytającym zadziwieniem, a wzrok myśłaco pobiegł w próżnię.

Pomiędzy obozami Greków i Wschodnio-krajowców pośrodku cyprysowego gaju znajdowała się obmurowana studnia. Poza kołem cienia trawa usychała z upału. Od strumieni w górze nadlatywały nieskończone chmury owadów, unosząc się w górę i na dół, jak wiatrem poruszane zasłony. W powietrzu wisiała woń zgnilizny.

U brzegu studni na niskiej ławie kamiennej siedział Hefajstion. Oczy jego szukały chłodu i mroku w głębinie studni.

Powoli nadeszli dwaj Medowie i spuścili wiadro. Gdy łańcuch opadał, trwożnie przyglądali się Hefajstionowi. Sennie patrząc przed siebie, wyciągnęli napełnione naczynie i wkrótce znikli, chwiejnym krokiem unosząc brzemię.

Odzienie Hefajstiona pokrywał kurz. Cienkie gałązki i drobne listki zwisały mu uczepione do włosów.

Marzył. Marzył o chłodnej dolinie w górach Macedońskich, o chatce, w której igrało siedmioro dzieci i cudownie piękna matka. Był to rodzinny dom Hefajstiona. Zanim zapadł wieczór, wokół na zboczach rozlegał się przytulny ton pieszczątek pasterskich. O, spokojna ojczyzno, nieporuszone milczenie! O, głęboka rado-

ści, gdy na święto letnie przybywały pary, przybrane w mirt i nenufary, a najstarszy z pasterzy rozdzielał wino, gdy zapadała noc i jasny księżyc oświeślał doliny, a chłopcy w milczeniu wędrowali do źródła, przy którym kiedyś zasnęli Dioskurzy.

Do cienia cyprysów zbliżyło się kilku jeźdźców, na przodzie Leonnatos. Byli zmęczeni poszukiwaniem i wyczerpani upałem. Jeden wyskoczył naprzód i rzucił okiem w cienistą zielen. Zwierzę nie chciało zawrócić, wietrzyło wodę. Nadjechali inni, zauważyli skuloną postać u studni i poznali Hefajstiona.

Leonnatos zeskoczył z konia i podszedł do Hefajstiona. Ów nie poruszył się. Z ręką opartą o rozburzony mur ceglany studni, nieruchomo wpatrywał się w głębie. Gdyby Leonnatos nie widział, że jego pierś oddycha i drgają żyły na szyi, myślałby, że jest martwy.

„Jesteś biały, jak śnieg, Hefajstionie“, powiedział, zbliżył się jeszcze parę kroków, nachylił się nad nieruchomym i położył mu rękę na ramieniu. Jego towarzysze stali, milcząc, pod drzewami i mocno trzymali swe rumaki.

Wtem Hefajstion podniósł się. Poznał Leonnatos, a jednak wydawał mu się obcym. Końcami palców obu rąk dotykał swych policzków, jakby chciał wyczuć ich bladość, i mruknął: „Niech moi niewolnicy przyniosą mi szminkę“.

„Aleksander kazał cię szukać“, powiedział Leonnatos.

Hefajstion spoglądał przez konary na żar słoneczny i potrząsnął głową. Mimo to poszedł za Leonnatosem, który go zawiódł do koni. Pojechali do obozu. Już z daleka biegli im naprzeciw niewolnicy Hefajstiona, którzy poznali swego pana i witali go okrzykami. Hefajstion zażądał wody. Frygijski chłopiec, zręczny jak gazela, pobiegł po nią, jego oliwkowo tłuste członki błyszczały. Już przy pierwszym namiocie stał z wypełnioną czarą. Ale woda była ciepła i niedobra; Hefajstion otrząsnął się i wylał ją koniowi na szyję. Zażądał wina. Przyniesiono mu pełny głęboki dzban, wychylił go do dna. Potem zsiadł z konia. Włosy jego były mokre od potu. Drżał z zimna. Na co patrzył, uciekało mu z myśli i oczu, jak zgraja powykręcanych obrazów. Z nadludzką siłą trzymał się na nogach i chwycił myśli, aby śledzić zewnętrzne zdarzenia. Gdy ziemia i niebo kręciły się wokół niego, zamykał oczy i zaciskał zęby. Niewolnicy powiedli go do kąpieli.

Tymczasem Aleksander zrobił przegląd oddziałów, ciągnących przeciw Kosejczykom, i dowództwo nad nimi na miejsce Hefajstiona powierzył Meleagrowi. Gdy powrócił, pierwszym jego pytaniem był Hefajstion. Powiedziano mu, iż przed niedawną chwilą widziano Hefajstiona z Leonnatosem. Posłał pazia do mieszkania He-

fajstiona w pałacu. Nazewnątrz oczekiwali posłańcy, przybyli już w południe; przynosili niepowodzenie i nieporządek: powstania w Baktrji, Indji, Grecji; hordy rozbójników w Lidji, pożar miasta Damaszk, opór Chaldejczyków w Babilonie; niewierni namiestnicy, zdradzieccy dowódcy wojsk. Aleksander nie troszczył się o to. Jego tęsknota za Hefajstionem stała się nagle bolesną i silnie wzburzała mu krew.

Niespokojnie tu i tam chodził po namiocie, gdy paż powrócił. Hefajstion nie chciał przyjść, nie mógł przyjść, mówił młodzieniec, któremu płonący wzrok Aleksandra kazał zamilknąć. Aleksander przywołał straż macedońską i jednego podoficera; pieniąc się z niecierpliwości, kazał im Hefajstiona przynieść. Nie zastanawiał się nad swemi słowami, dopiero po pewnym czasie, gdy odeszli, wpadło mu w uszy, co powiedział. Wybiegł śpiesznie, rzucił się na konia i runął do pałacu. Jego przeczucie było usprawiedliwione. Na głos jego rozkazu żołdacy zatrzymali się, swemi toporami bili w drzwi pokoju Hefajstiona, gdyż nie otwierał im na kilkakrotne wezwanie, i kiedy Aleksander przybył, musiał już stąpać po gruzach, aby dostać się do przyjaciela.

Hefajstion stał w mroku. Czoło, wargi, gardło paliły go, piersi były wewnątrz, jak rozżarzone. Co chciał powiedzieć, ginęło w płomieniach. Z radosnym okrzykiem podbiegł do nie-

go Aleksander. Jak miłujący ściska narzeczoną, tak on go objął, uścisnął. Pocałował go w usta i zapytał łagodnie: „Czemu twe usta są takie zimne?“ Dotknął się jego głowy i rąk, śmiał się przyjaźnie i ściskał go; a Hefajstion? Hefajstion milczał. Hefajstion patrzył Aleksandrowi w oczy, patrzył w nie głęboko. Był życiem zmęczony, zaczął cieszyć się na śmierć. Gdyż to, co zobaczył tu w sekundę nadziemskiego jasnowidzenia, było losem, tak twardym, tak dręczącym, tak niesłychanym, iż sama wiedza o tem wiodła do obłędu. Gdy teraz stali pierś o pierś, każdy patrzył w inny świat. Nagle Hefajstion wyrwał się, głucho uścisnął Aleksandrowi rękę i poszedł, przewyciężając swą słabość, gwałtownie utrzymując resztę świadomości. Teraz Aleksandra uderzyło coś tajemniczego w Hefajstionie. Usiadł na krześle, skrył głowę w rękach i zapadł w długie rozmyślanie, pobudzany nocą, osłupiale patrzącemi oczami żołdaków, jakąś śpiewką u bramy i osobliwym smutkiem, unoszącym się z jego duszy, jak mgła z nad wód.

Hefajstion opuścił miasto. Był okryty lodowato zimnym potem i głowa na ramionach straszliwie mu ciążyła. Gdy otworzył oczy, powietrze brzęczało wokół niego, jak przetopione srebro. Przed jakimś namiotem kobieta zajmowała się krajaniem melonów i układaniem ich w wodzie z miodem. Zapragnął nagle owocu,

równie szybko obrzydł mu znowu. Oddech jego ust był tak gorący i suchy, że przy każdym tchnieniu bolały go wargi. Kości zdawały się rozpływać w ciele w jakąś miękką masę. Nękało go pragnienie, ale nie mógł mówić. Słuchał morza, które było jak cudowne przedziwo tonów, i nawoływań marynarzy. Ryppapai, wołali, Ryppapai!

W niewielkiej odległości wychylił się pochód mężczyzn: Greków, Persów, Babilończyków. Twarze mieli spocone, w tańcu wykręcali członki, żalili się i radowali, niosąc małe rzeźbione posążki bogów, które całowali. Ponad wszystkim stała Liblitu na muszlowatym wozie o wysokich kołach bronzowych, ciągniętym przez dwie oswojone mezopotamskie pantery.

Hefajstion stał naprzeciw Babilonki. Z włosów jej zwisała do tyłu biała tkanina, całkowicie przepleciona srebrnymi płytkami, czarownie błyszcząca. Jak w lśniącym obłoku, stała w niej naga. Grube sznury pereł biegły od ucha do ucha przez czoło, a między piersiami na cienkim złotym łańcuszku miała wspaniały topaz.

Hefajstion nie odrywał od niej wzroku. „Towarzyszu snów“, odezwała się doń z uśmiechem.

Pantery zaniepokoiły się, ich chytre, żółte, senne oczy zbiegły się. Biły ogonami, i uderzały łapami o ziemię. Gdy Liblitu klasnęła językiem,

ruszyły. Zniszczona febrą twarz kobiety była Hefajstionowi bliską. „Towarzyszu snów“, powiedziała mu.

Jeden z kapłanów zanucił żalosną pieśń, aby poruszyć demonów febry: Rzucono mnie w okowy, przebito mnie mieczem, nie mogę oddychać w nocy, moje myśli są poszarpane, nie pomaga żaden bóg, żadna bogini nie ujmuje mej ręki, otwartym jest grób.

Przybyli do świątyni. Główny kapłan otworzył bramę, mówiąc: „Wejdź, moja władczyni, tak kazała bogini śmierci“.

Liblitu zeszła z wozu. Stary kapłan zdjął jej sznur pereł z czoła. „Czemu, strażniku, zabierasz moje klejnoty?“ zapytała pokornie.

„Tak kazała bogini śmierci“, odpowiedział kapłan. Potem odpiął szpilki, któremi zasłona była przyczepiona do włosów.

„Czemu to czynisz, strażniku?“ zapytała.

„Tak kazała bogini śmierci“, odpowiedział kapłan.

Noc rozpostarła się nad miastem; wyżała z ziemi światło, jak wąż beztrosko swawolne ptaszę, i zdusiła je w swoim brzuchu. Słupy sterczały w ciemności, jak strachem porażone palce wskazujące, mury wznosiły się, jak śmiercią zdjęte czoła, ulice biegły, jak piasek, który z przerażenia stał się ruchomym, palmy z koronami pochylonemi na jedną stronę wyglądały

jak wygasłe pochodnie. Pachniały malwy, kardamon i wyczyniec.

Nikt w Opisie nie śmiał spać ani czuwać. Pierworodnych synów poprowadzono do podziemi i drżano o ich życie. Wszystkich chorych na febrę wygnano przed mury; rozebrani, z odrażającymi krzykami biegali w ciemności, unikając jaśniej oświetlonych obozów obcych wojsk.

Persowie i Macedończycy, złączeni gościnnością książąt, świętowali pijacką ucztę. Złotem obrzeżone, purpurowe nakrycia namiotów migotały w blasku olbrzymich pochodni smolnych. Od pnia do pnia młodych cyprysów rozciągały się ciemniejsze winne latorośle. Wszędzie krzyczano, śpiewano i tańczono. Setkami znaleźli się obcy barbarzyńcy, przybrani w wawrzyn i bluszcz. Niewolnicy leżeli na brzuchach, żłowiąc rozlane po ziemi wino. Wołano za Aleksandrem. Aleksander był przy biegu chłopców z pochodniami. Cypryjskie zwiaczki wieńców, śpiewając, zdążyły na plac za wodów.

Nagle z ciemności równiny rozległ się okrzyk: przeraźliwie przeciągły, chrapliwy, z przerwami wciąż się powtarzający. Zbliżał się. Na granicy kręgu świetlnego wychyliło się ciało olbrzymie, lub olbrzymio wyglądające w rozdzielonem oświetleniu, czerwona pierś, głowa bez hełmu, okolona czarnym włosem, wyszcze-

rzony zęby, usta pełne piany. Więcej suwając się, niż idąc, ciągnął za sobą, trzymając za włosy, nisko na jego lewym ramieniu obwisłe ciało kobiece.

W przerażeniu zatoczyli się Macedończycy, gdy poznali Hefajstiona. Ubranie na nim było poszarpane, uzbrojenie zwalone, nogi bose. Bezustannie wydawał ten sam okrzyk. Przedostał się w oświetlone koło uczty i Babilonkę, którą przyciągnął za włosy, jak zabita dziewczynę, przerzucił przez stół. Potem odwrócił się i ciężko oparł czoło o pień drzewa. Sok grona, które zmiażdżył, pociekł mu po twarzy, niby krew. Obojgiem rękoma uchwycił za wysoką po biodra amfore, nachylił ją, przyklęknął i pił chciwymi łykami. Gdy skończył, osłupiałym wzrokiem spojrzał na niebo i zobaczył gwiazdy, gwiazdy wysoko nad wodą i lądem, spokojną gwiazdę północną i błyszczące oblicze Dionyzosa.

Powoli zamknęły się jego oczy. Dreszcz za dreszczem wstrząsał nim. Schwycił się rękoma; zwałił się na ziemię. Jakiś Grek chciał go podtrzymać. „On umiera!“ zawołali Macedończycy. Dowódca Lamachos rzucił się do konia, aby przywołać Aleksandra. Niektórzy pobiegli po lekarzy. Kilku niewolników zajęło się trupem Liblitu.

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

NOCE MIĘDZY RZEKAMI.

Aleksander, nachylony nad balustradą placu igrzysk, oklaskiwał macedońskiego chłopca, jak ptak dobiegającego do celu z pochodnią w wysoko podniesionej ręce.

Piasek pryskał z pod stóp młodzieńca. Niemal poziomo układający się płomień pochodni zdawał się współdziałać ze zdobywczym pędem, i jak ziarna piasku z pod stóp biegacza, iskry strzelały z niej w noc. Tuż za Macedończykiem zdążyło dwóch Greków, dalej inni, których nie brano już pod uwagę w zapasach o pierwszeństwo.

Oblicza widzów były napół pograżone w nocy, rozwarte usta składały się już do okrzyku, którym miano powitać zwycięzcę. Trzy piędzi, jedna jeszcze, Macedończyk zwyciężył. Dysząc, jak umierający, upadł na kolana; pochodnia, gasnąc, opadła na ziemię; obiema rękoma objął

tyczkę, i podczas gdy Grecy, potykając się o jego ciało, równocześnie upadli, rozległ się ogłuszający okrzyk na cześć Macedończyka. Kłaskano w ręce, tupano o ziemię, rzucano kwiaty i wieńce na zwycięzcę, którego ciało pokrywała gruba skorupa kurzu.

Wtem w zgiełku przeciskał się do Aleksandra jakiś człowiek. Był to Lamachos. „Słuchaj mnie, Aleksandrze“, wołał przeraźliwym głosem. „W tej chwili umiera Hefajstion“.

Aleksander spojrzał na człowieka. Twarz jego zbieleła, jak kreda, a ramiona, już natężone do ruchu, opadły wzdłuż ciała, jak ołów.

Wokół stało się nieco ciszej.

Lamachos zrobił ruch, nawołujący do pośpiechu. Obiema rękoma schwycił się Aleksander za szyję, jakgdyby bronił się od grożącej mu pięści. Schwycił posłańca za ramię i pociągnął go. „Konia“, jęknął. Zdziwieni i zatrwożeni poszli za nim niektórzy.

Wskazując drogę, pędził Lamachos na swoim koniu, za nim Aleksander, niemal leżąc na szyi zwierzęcia. Wkrótce stanęli u celu. Krzycząc, rozstąpili się cisnący wokół widowni, gdy jeźdźcy, nie ostrzegając, skoczyli między nich.

Przeniesiono Hefajstiona do dużego podwójnego namiotu. Obok niego klęczał lekarz, nadsluchując, czy serce jeszcze bije.

Aleksander rzucił się doń. Drżącą ręką dotykał czoła, policzków, szyi omdlałego i przyciskał swe usta do umierających warg. Hefajstion poruszył się, wzniosł ramiona, kurczowo ciskając je do szyi, brzuch mu się nadymał, biodra trzęsły, kolana rozwarły. Odczuł obecność Aleksandra, ślepo szukał jego dłoni i chciał mówić. Wtem przez bezsilne ciało przebiegł nowy dreszcz febry, tak jak burza już wyrwane drzewo raz jeszcze chwytając z wściekłością i tocząc przed siebie.

Aleksander leżał bez ruchu, trzymając w swej ręce zimną, jak kamień ciężką rękę Hefajstiona. Powieki mu opadły, wpół zgięty tułów nie poruszał się. Mijała godzina za godziną. Lekarze oddalili się, za nimi obecni Macedończycy znikali jeden za drugim. Niesamowitym wydawał się im Aleksander w swej skamieniałości. Ostatni rozwiązał złoty sznur podniesionej zasłony namiotu, i pozostawiono go sam na sam z trupem.

Czy przeszłość była czemś rzeczywistym? Czy terażniejszość jest prawdą? Czemu nie porusza tem ciałem, czemu nie otwiera oczu Hefajstiona? Czy jest do pomyślenia, aby rysy mogły się tak zmienić? I to milczenie kryło tajemnicę, te niebieskawe wargi były pieczęcią nieosiągalnej tajemnicy. Czy nie drżały włosy? Było zimno, jak trawa stepowa nocą. Po szyi przebiegały niebieskie, marmurowo spokojne

żyły, otwarta pierś pozwalała spostrzegać piękno nagiego, smukłego ciała.

Kto lepiej od Aleksandra znać mógł oblicze śmierci? Ale zdawało się, że bezduszne istoty, co leżały na polach bitew, nic nie straciły poza przypadkowym znakiem radości lub bólu. Krew tryskała z ich czoł, albo ciała ich były pokrajane, albo członki poszarpane. Od ostatniej, krótkiej, sekundę trwającej chwili strachu wykrzywały im się usta, i starzec, jak i młodzieniec, chwycił palcami ziemię, której nie chciał jeszcze opuścić. A mimo to, ich ciała są ziemią, kształt ludzki zaciera się, nic stąd nawet nie zabrał z sobą, żyje wciąż w żyjących, pełną jest ilość głosów w nowej bitwie, nie brak żadnego.

Zauważył teraz Aleksander, iż jednego głosu zabrakło. Jego woła po raz pierwszy opuściła zamknięte domostwo, podążając do obcej siedziby duszy, aby zobaczyć, iż jest próżna, że nie może znowu powrócić i wyziębła leży w przestrzeni, patrzył na chwiejące się kręgi życia. I gdy teraz spojrział na Hefajstiona, uznał go za zmarłego. Wtedy poczuł, jeszcze nie z całą pewnością, jeszcze mętnie i z daleka, jak to jest ze śmiercią, jak to jest z człowiekiem i jak to jest z miłością człowieka do człowieka. Jakby najeżyły się pod nim trwałe podpory drogi; wszystkie pojęcia zostały obnażone, noc nie była już tą nocą, co przedtem, lecz przeznaczeniem, rozdwojeniem, kresem, przerażeniem. Sen nie był

już snem, lecz niedostatkiem, upadkiem, niemocą, wytrąceniem się. Ból pomnażał się poznaniem, świadomość nieodwołalności niweczyła uczucie mocy, powodzenia, powagi, wszystko.

Zgromadzeni przed namiotem w mroczną godzinę usłyszeli tak przeraźliwy jęk bólu, iż zdawało się, że powietrze wzdraga się, aby ponieść go dalej. Eumenes wpadł do namiotu, za nim inni.

W pewnem oddaleniu od trupa klęczał Aleksander z rozpostartemi, jak wahadła poruszającemi się w górę i na dół ramionami. Włosy tak opadły mu na twarz, iż widoczne były tylko otwarte usta. Suwał się na kolanach, kręcąc się przytem wokół siebie, wył, jak zwierzę, klaszcząc, bił ze zwątpienia ręką o rękę, a ciało jego wiło się z bólu tu i tam, jak ciało otrutego. Szaty były na nim porwane, skóra na piersi pokrwawiona, i gdy przybyli stali obezwładnieni przerażeniem, upadł zemdlony, uderzając czołem o krawędź śmiertelnego łoża.

Eumenes ukląkł przy Aleksandrze, ujął go pod ramiona i usiłował podnieść. Dwóch mu pomogło. Ponieśli nieprzytomnego na łożo. Eumenes wrócił i rozsunął wejście, aby wywietrzyć woń trupa i febry. Z zewnątrz stali Macedończycy, nieruchoma czarna masa, za nią wschód począł rozjaśniać się żółto.

Aleksander ocknął się z oszołomienia. Gestem odrazy odsuwał każdego, kto się doń zbli-

żył. Odmawiał jedzenia i picia. Nic nie mówił, nawet wzrok miał niemy. Nie poruszył się, gdy myto i ubierano trupa. Wieczorem dał do zrozumienia, że nikogo już nie chce oglądać; namiot zasłonięto. W miedzianym kaganku wygasły palące się zioła.

Aleksander podniósł się i zaczął chodzić. Oblicze zmarłego lśniło białością bielszą, niż kwiat mirtowy. Nie mógł tego znieść i przykrył je chustą. Godzinami trwało jego chodzenie tam i napowrót, choć w głębi piersi była cisza. Umysł jego pękał od mroków, od bezmyślności, od niepamięci. Czem dalej w noc, tem bardziej bał się trupa. Ale go nie opuszczał, musiał nabrać pewności, czy zmieniły się rysy. Ciągnęło go doń i znowu odrzucało od niego. Gdy się położył, aby odpocząć, znowu poderwał go obraz zgnitego oblicza. Wkońcu w środku nocy zawołał ludzi, aby wynieśli trupa. Dopiero w ich obecności, gdy obstawili go pochodniami, odważył się, aby z twarzy Hefajstiona zdjąć znowu chustę. Z napół do czoła podniesionemi rękoma odwrócił się.

Obcem mu było to, co zobaczył. Ale i w stosunku do samego siebie zdjęło go nagle to samo uczucie obcości. Z rąk jednego z ludzi wziął pochodnię i w pomieszaniu i w roztargnieniu oświecał nią wkoło. „Wszystkie ognie mają być pogaszone“, powiedział, „nawet święte ognie Persów. Zabronione są muzyka i taniec i zaba-

wa. Mury Opisu mają być zrównane z ziemią. Przez trzy dni nie wolno grzebać zmarłych, a gdyby jaka kobieta szalała, uduście ją. Niech będzie w Azji cisza i mrok“.

Rano namiot jego był zamknięty. Napróżno przychodzili rzezańcy, niewolnicy, cześnicy, kucharze i pisarze. Napróżno skarżyli się głośno magowie, że shańbiono ich świątynie, napróżno czekali posłańcy, dowódcy, posłowie. Czas innym szedł krokiem. Buntownicy pełnili swe ciemne zadanie. Słuchali ich, kogo tylko nie opanowała febra, zabawa, rozkosz, wino. Gdy Macedończyk mówił o Aleksandrze, była w tem powstrzymywana moc nienawiści, żywiona nie z głębi; rodziło ją ciemne, mistyczne pożądanie. Nienawidzili go, jak konieczność, nienawidzili go z zamkniętymi oczami, nienawidzili go tak długo, póki go nie zobaczyli. Trupio spokojny obóz zupełnie odchodził od rozumu. Poco to wszystko? Czy ów człowiek był dla Aleksandra tak drogocennym? i od kiedy? Toczono zuchwałe rozmowy, ale nie wiadano, że wszystkie ich myśli i czyny były jak wiatr lub igraszka, bo zachowywaliby się przyzwoiciej.

Zatrwożeni mieszkańcy Opisu szykowali się, aby powędrować gdziekolwiek indziej, do Babilonu z wojskami, gdyż nie mogli pozostać na środku równiny w pozbawionem murów mieście. Arcykapłan Rammans stał przed swą świątynią, i z pięścią zaciśniętą w kierunku

obozu Aleksandra, wołał w proroczym natchnieniu: „Dzień będzie mu jękiem, noc płaczem, rok żałobą!“.

Na trzeci dzień wpadli gwardziści na doskonały pomysł. Wybrali najmłodszego paza, aby posłać go do namiotu Aleksandra. Chłopiec był w najwdzięczniejszym wieku i zdumiewająco piękny. Wszystko w nim było w najwyższym stopniu doskonałe, smukłe ciało, wyniosła szyja, wdzięczna i niewinna twarz o dużych oczach; tylko głos miał brzydki i skrzekliwy, i dlatego rysy jego powlekała jakaś osobliwa zwierzęca melancholja, tak że kto spojrzał na chłopca, ujmowało go to i usposabiało łagodnie. Dowódcy łudzili się nadzieją, że jego widok wzruszy Aleksandra, że chłopiec ukaże mu się, jako ucieleśniona i ożywiona prośba całego wojska. Nakazali mu milczenie; niemo przystąpić miał do Aleksandra i błagalnie podnieść ręce. Ubrawszy jego głowę o czarnych kędziorach w bluszcz, fiołki i wiele wstążek, samowolnie odsłoniли wejście do namiotu, i melancholijny chłopiec, drżąc, wszedł do środka.

Aleksander leżał na łożu, z twarzą głęboko pochyloną w ramionach. Gdy posłyszał szmer kroków, zerwał się.

Paż nie poruszył się, tylko wyciągnięte ręce drżały. Aleksander nie widział jego urody. Ale patrzył nań, jakby chciał pytać: kto jesteś? poco przychodzisz? jak znalazłeś do mnie dro-

gę? Walczył z jakimś postanowieniem, niepewnym krokiem przeszedł obok chłopca do wyjścia i rozsunał zasłony.

Macedończycy chcieli powitać go okrzykiem, ale jego niechętny ruch ręką nakazał im milczenie. Wygląd jego wzbudzał w nich przerażenie. Włosy miał gładko przycięte, piękne brunatne loki nie spadały mu już na ramiona, skutkiem czego głowa nabrała jakiegoś wyrazu barbarzyńskiego, posępnego i martwego. Uważnie przebiegł wzrokiem po zgromadzonych, i wszyscy zauważyli, że zmieniły się jego oczy. Wciąż były śmiałe, ale zimne. Zniknął żar, stały się szkliste, wygasło stale w nich lśniące marzenie.

Ledwo rozpoczął rozmawiać z Perdikkasem, rozebrzmiała gdzieś w dali trąbka wojskowa. Były to teraz dopiero wyruszające zastępy Meleagra. Aleksander wzdrygnął się w sobie, i dłuższy czas minął, zanim znowu zaczął dawać polecenia. Perdikkas, na miejsce Hefajstiona ustanowiony dowódcą zastępów szlacheńskich, następnego rana miał podążyć do Babilonu z ciałem Hefajstiona. Tam odbędą się uroczystości pogrzebowe. Pozostałe wojska pod wodzą Seleukkosa i Ptolomeosa wyruszą w ciągu następnych dwóch dni i oczekiwać będą na niego, na Aleksandra, pod miastem Kis nad Eufratem.

Potem mówił z Eumenesem. Z niewielu zaufanymi ma opuścić obóz i przejść Tyger. Brzmiało to tajemniczo. Eumenes milczał. Jego mądrość, zamknięta w milczeniu, chroniła go od niewczesnych pytań.

W niewiele godzin później wybrani byli gotowi: sam Eumenes, trzech dowódców zastępów gwardyjskich i pięciu kapitanów z dwiema setkami wypróbowanych Macedończyków. Milcząc, oczekiwali przy swych koniach i juczych zwierzętach, póki nie nadszedł Aleksander. Gdy zaszło słońce, byli już daleko od obozu.

Rzekę przeszli w bród. Dostali się do krainy górzystej, porosłej oliwkami, nie tak bujnymi, nie tak srebrzystymi i zielono ulścionymi, jak na greckich wybrzeżach, lecz karłowatymi i mizernymi. W dali wynurzały się okolice z drzewami migdałowemi pokrytymi jeszcze różowem i białem kwieciem i bezgraniczne przestrzenie trawy, po których uganiały dzikie konie, jak chmury ptactwa. Jechali pobojuwiskiem, na którym były rozrzucone wypłowiałe kości ludzi i zwierząt.

W nocy Aleksander nie mógł sypiać. Milczący i zamyślony siedział przed namiotem. W upalnym żarze południowego postoju niektórzy żołnierze, dręczeni nudą, zabawiali się niekiedy pokryjomu w przepiórkę. Wielu przejmowała troska o to, dokąd prowadzi dro-

ga. Razu jednego jeden z kapitanów opowiadał legendę o królu perskim Kaithosrawie, jak zmęczony życiem i tronem, opuścił miasto i kraj i z niewielu zaufanymi powędrował w góry, aby stamtąd dążyć do nieba. Szli wciąż wyżej, niknęły drzewa i trawy, zaczął padać śnieg. Dzień i noc padał śnieg, jeden po drugim padali tu, umierając, grzebali się sami, lub porywała ich lawina. Wkońcu pozostał tylko sam król, ale nikt nie wie, czy dotarł do bram niebieskich.

Podczas opowiadania nadszedł Aleksander i przysłuchiwał się uważnie. A że mniemali, iż to na dobre im wyjdzie, więc opowiadał i drugi. Dwudziestu dzielnych bohaterów błdziło kiedyś w ciemnościach. Wtem przyszedł derwisz, zaprowadził ich do miasta, mówiąc, iż w mieście tem śmierć jest nieznaną. Tylko od czasu do czasu nocą ponad murami i dachami rozlegał się głos, wywołujący nazwisko jednego z mężczyzn; ów musiał wtedy iść za głosem i żegnać się na zawsze. Dwudziestu bohaterów, zanim weszli do miasta, postanowiło, że żaden z nich nie usłucha głosu, choćby wołał ich głośno. Pełni byli przytem otuchy, sądząc, iż nic łatwiejszego, niż uniknąć owej niesamowitej mocy. Ledwo jednak przybyli do miasta, zaraz pierwszej nocy jeden z nich został wezwany. Przejęło go to przeraźliwie, nie mógł się oprzeć, nie powstrzymały go prośby ani zaklęcia. Po-

szedł i już nie wrócił. Następnej nocy to samo się stało z drugim, potem z trzecim i tak aż do ostatniego. Ów jednak zebrał w sobie wszystkie siły ducha, oparł się wołaniu i nie poszedł, łańcuchem przywiązał się do swego łoża, a gdy rano przyszli niewolnicy, zastali ku swemu przerażeniu zamiast ludzkiej postaci szkielet przykuty do łoża.

Gdy opowiadający skończył, powstał Aleksander i oddalił się.

Równina pławiła się w całej krasie kończącego się lata. Aż po brzuchy grzęzły konie w kwieciu. Pewnego dnia kwiatami usiana przestrzeń lśniła złocisto-żółto, przez noc, jak zaczarowana, żółtość przemieniła się w szkarłatną czerwień i znowu przez noc, gdy inne rozwinęły się pączki, stała się ciemno-promienistym błękitem. Ale przyszedł dzień, gdy pozostała tylko szmaragdowa zieleń trawy a na niej olśniewające migotanie rosy porannej; wkroczyli na rozległe pole ruin przed tysiącami lat zaginionego miasta.

Były tam zburzone mury, wysokie bramy, z poutraćanemi obłękami, przez które widać było pole gruzów, tak puste i okropne, jakgdyby Tytami porazili je głazami. Pnące się rośliny porastały złomy, na zapadłych schodach i sterzających słupach dojrzewała asyryjska cytryna, bluszcz wspinał się po rozwalonych ścianach świątyń, a pośrodku umarłego świata spokojnie

rozpościerał się basen wodny. Różnorodne ptactwo roilo się po spokojnym stawie i uganiało po sitowiu.

Rozbito tu obóz.

Był to jeszcze czas palących południowych wiatrów. Ledwo stanęły namioty, przez pozbawioną drzew równinę przeciągnęło technienie ogniste, jakby z paszczy jakiegoś smoka. Na zenicie nieba ścigały chmury w jeden krąg, który się poruszał i kręcił wokół siebie, jak olbrzymie koło. Po jego brzegach tryskały setki fiołkowo lśniących błyskawic. W głębi horyzontu ze wszystkich stron podnosiły się równocześnie chmury i w jednej chwili wyrosły w groźny wir.

Aleksander, wyszedłszy z namiotu, zobaczył wyciągnięte ciała żołdaków i między nimi trupki drobnego ptactwa, chmarami opadłe z powietrza. Zamyślonym krokiem podążył na pole ruin. Zapadła noc. W bagnistym basenie wodnym rechotały żaby, w wysokich trawach przebiegał wiatr wieczorny sennym poszumem. W obozie zapłonęły ognie, a z oddali dochodziły jęki bawołów, dźwięczne wołania szakali, chrapliwe okrzyki dzików i ostrzegawcze gwizdy antylop. Nad tem wszystkim łagodnie płonęły gwiazdy.

Z zapadłych chodników i z rozwalonych bram patrzyły cienie dawno zaginionych rodów. Aleksander słyszał bieg czasu; płynął

z wieczności w wieczność, jak ciemne wino spływa z jednej czary do drugiej i tylko krople jego lśnią w słońcu.

Nów księżyc opadał w parne powietrze zachodu; był podobny do płonącej źrenicy czarnego oka, którego magiczny wzrok czuł Aleksander na sobie. Było to oko samotności. Co przyгнаło go tutaj? Co działo się w nim? Cemu świat jest tak bliski, rzeczy tak wyraźne? Czyż niema innych mroków, niż te, innego nieba gwieździstego, zimniejszego, jaśniejszego? Dawniej odczuwał jakiś żywotny związek między sobą a Bogiem, między głębią i wysokością, teraz czuł się sam, opuszczony, obciążony odpowiedzialnością. Dawniej swój własny byt odczuwał ledwo tak, jak orzeł wnika w siebie w szumie lotu. Teraz widział się sam pełzającym krok za krokiem, i lękał się nowej istoty, która się obudziła w jego piersi.

Bezpodstawny smutek chwycił go za serce. Na jakimś pagórku położył się na chwilę na krótki sen, o świcie powrócił do obozu i sam pozostawał w namiocie, dopóki znowu nie zapadł wieczór. Gdy tylko zapłonęły nocne ognie, wędrował znowu na równinę. Nikt nie śmiał ofiarować mu się na towarzysza, lub choćby śledzić go z oddali.

Przyroda co noc ukazywała nowe oblicze, za każdym razem zdawało mu się, że w jej spo-

kojnych lub wzburzonych rysach mógłby odczytać to, co nim samym porusza. Czuł się opuszczonym przez wszystkie ludzkie istoty. Szukał jakiegoś Boga i nie znajdował żadnego, ani Boga Greków w jego wspaniałości, ani Ahuramazdy, trzymającego pierścień czasów, ani promiennego Mitry, ani groźnego majestatu Belmarduka, ani żadnego z demonów, zamieszkujących drzewa, wody, głązy, wiatry i ziemię, ani wysokiej istoty, czczonej przez Indusów i tak ściśle obejmującej wszechświat, że żaden kaprys nie wymknie się jej uwadze. Śledził drogę spadającej gwiazdy i unosił się, aby schwycić rękę, ciskając ją w przestrzeń. Albo może owo sklepienie było tylko majakiem, do którego zdawał się być przyczepionym świecący punkt? Kto darzył świadomością i kto obdzierał ze świadomości w obłędnej ochocie? Kto mógł wszelakie stworzenie w każdej dowolnej chwili rozdeptać w proch, igrając bezmyślnie, bez trudu i bez wyboru?

Godzina gromadziła się za godziną, póki nie powstał dzień i pysznie nie zapaliło się słońce, aby toczyć się łukiem od rana do wieczora. Co począć, jeśli sen nie skrępuje członków? Nad światem rozpościerał się grobowy spokój.

Aleksander musiał spojrzeć wstecz. Uczucie to było dlań nowem i zdumiewajacem. Uczucie przeszłości było mu dotychczas niezna-

nem. Zamknął oczy, aby się go pozbyć, aby znowu gwałtownie się weśnić w pieniające morze, w bezgraniczne działanie, ale napróżno, fale nie poruszały się, wokół był spokój, jego własne serce biło mdło i powoli, krew była zimna, oko jasne, skończyło się marzenie, opuścił go olbrzymi obłok, w którym kroczył tak bosko i który przesłaniał mu widok niewidzialnego łańcucha przyczyn i skutków. Dalej iść musiał z ciężkiem brzemieniem, jak wszyscy inni śmiertelnicy. Ale czemuż ono było, czemuż było to brzemie?

Macedończycy polowali na lisy i dzikie osły i strzelali ptactwo; albo leżeli nad wodnym basenem wśród ruin i wycinali z trzciny dziewięciotonowe fletnie. Posępnie odpoczywając, słuchali głosów nocy, a gdy w powietrzu rozległ się jaki okrzyk, myśleli przestraszeni o ptaku Asterji, rozumiejącym mowę ludzką. Sen mieli niespokojny, jak chore dzieci. Trwożnie tłumaczyli sobie nawzajem swe sny. Stracili wszelką nadzieję w tej samotności natury, obozwładniało ich mijanie beczynnych godzin. Stali się bladzi, włóczyli się wokół ze spuszczo-nemi głowami albo leniwie kładli się w trawie, pewni, że stoi przed nimi osobliwa śmierć.

Wreszcie zdobył się Eumenes, aby mówić z Aleksandrem.

Był jasny wieczór księżycowy. Aleksander

nie opuścił jeszcze namiotu. Leżał na łożu; obok niego stała srebrna czara z pokrajanym melonem, i od czasu do czasu brał kawałek do ust, aby wyssać zeń sok. Błękitną wstęgą słało się księżycowe światło u wejścia do namiotu. Uroczyście brzmiały kroki i nawoływania straży. Wychylający się cień, pozdrowienie słabym głosem, i Eumenes stanął przed Aleksandrem, który — zaskoczony — niechętnie podniósł głowę.

Powoli, długo rozciągając zgłoski słów, zapytał Eumenes: „Jak długo jeszcze, Aleksandrze?“.

Aleksander nie odpowiadał.

Eumenes, którego ostra, podłużna twarz była wciąż naprężona wewnętrzną czujnością, mówił dalej: „Jeśli zapomniałeś o wszystkich, którzy cię kochają, to pamiętaj chociaż o tych, którzy cię nienawidzą“.

Aleksander powstał, podszedł do Eumenesa, obie ręce położył na jego ramionach i zapytał: „Gdzie jestem, przyjacielu? dokąd przyszedłem?“.

„Jesteśmy między rzekami“, odpowiedział Eumenes nieco zatrwożony.

Aleksander kiwnął głową i roześmiał się boleśnie. W przyciętych włosach czoło jego wydawało się podwójnie wielkiem i pokryły je głębokie bruzdy, gdy mówił: „Muszę mieć pewność, Eumenesie“.

„Pewność?”.

„Ile czasu upłynęło? Wyciągnij twój miecz i zobacz, czy zardzewiał”.

Eumenes wyszedł. Słowa utknęły mu w gardle. Aleksander stał tam w zamyśleniu. Jak śpiący, gdy usiłuje przeczuwać mordercę, który stoi nad jego łóżem z podniesionym nożem, tak niespokojną i pełną głuchego poruszenia była jego dusza.

Kazał przyprowadzić konia i pojechał w księżycową noc. W oddali rozbrzmiewały cudowne głosy, cichy śpiew i terczenie; często dzwięczało, jakgdyby ludzie pod ziemią wołali o pomoc. Niebo zaciągnęło się teraz chmurami. Tu i ówdzie, jakby rozwierała się rana, z której wypływało światło niewidzialnego księżyca; ognie obozowe zniknęły, przygniatającą była samotność.

Nagle poczuł, że koń, którego pozostawił samemu sobie, coraz się wzdryga. Wydał z siebie ostro brzmiące rżenie i wyciągniętym kłusem pognał w ciemność. Nic nie pomogły wołania ani cugle. Podkowy cięły trawę, jak kosa. Zwarłszy kolanami żebra zwierzęcia, głową i górną połową ciała pochylony, z oczami spokojnie utkwionymi w nocy, siedział Aleksander nieporuszony. Szał pozbawionego rozumu zwierzęcia zdawał mu się dobrze uzasadnionym. Chciało ono przywieść utracone godziny, cofnąć wstecz chwilę, bezpożytecznie opadłe

w morze wieczności. Bolesne, w daleką przestrzeń brzmiące rzenie rumaka, szalona radość jego biegu, wstrzymywały oddech Aleksandra, pobudzały mu duszę, napełniały go oszukańczem zadowoleniem czynu, radosną tęsknotą za pędem, i gdy na brzuchu zwierzęcia dojrzał lśniąca pianę, która wydostawała się z pyska, nachylił się i ustami dotknął końskiego ciemienia. Ognie obozowe wychyliły się z równiny; w obozie podniesiono krzyki, gdyż obawiano się, że Aleksander spadł z dzikiego zwierzęcia, i ze snu przestraszeni żołdacy biegli w ciemność ze swemi oszczepami. Na ich widok koń Aleksandra gwałtownie skręcił młynka. Raz jeszcze zarżał boleśnie, głosem rozdzierającym serce, potem padł.

Do jego łędźwi przyczepił się na łokieć długi skorpion.

Aleksander kazał niezwłocznie zwinąć obóz. Jego iskrzące oko głucho pobudzało wszystkich do pośpiechu. Przed wschodem słońca rozpoczął się pochód na południe.

Do Babilonu!

Sama nazwa wprawiała żołdaków w radość. Mówiono między nimi, że nic nie wie o ziemskiej szczęśliwości ten, kto nic nie wie o Babilonie. Tam życie, radość, upojenie i zapomnienie. Bliskość Babilonu była dla ludzi równie niebezpieczna, jak góra magnesowa dla

okrętów. W godzinach odpoczynku śpieszyli na kraj obozu, aby wypatrywać w kierunku południa, czy nie widać już wieży albo blanków bajecznego miasta. Często podczas jazdy nachylali się do siebie dwaj przyjaciele, rozumiejąc się w milczeniu, a z nastaniem dnia mówili, śmiejąc się, zamiast powitania: Do Babilonu.

ROZDZIAŁ ÓSMY.

CHALDEJCZYCY.

W złoto lśniący dzień ciągnęli przez bramy wielkiego muru medyjskiego, który od północy zamykał kraj babiloński, ale zaczął się już rozpadać. Wychylała się teraz wieś za wsią w spokoju dobrobytu i pokoju. Kanały przecinały równinę we wszelkich kierunkach, w mlecznym błękitie nieba, na jego spokojnem zwierciadle, lśniące i wąskie, ginęły w oddali. Czarne i niebronione wznosiły się nad brzegami maszyny do czerpania wody, pola porastały zboża o wysokich źdźbłach, w gajach palmowych kobiety i dzieci zbierały daktyle.

Pod koniec piątego dnia zobaczyli wody Eufratu, spokojnie, bezgłośnie, zielono płynące przez równinę, i domy Kisu, małego nieopatrzonego murami miasteczka, a łukiem wkoło i wzdłuż brzegu obozowało wielkie wojsko.

Uprzedzony przez posłańca o przybyciu Aleksandra, na jego spotkanie pociągnął Pto-

meos. Wielu żołdaków przyłączyło się ochoczo. Ledwo do utrzymania była ich niecierpliwość, aby dostać się do Babilonu. O niczem innem nie mówili, nie śnili i nie roili. Wielu naprzód posłało swych niewolników, aby dostać wiadomość o mieszkaniach, niektórzy pokryjomu nocą zbiegli do Babilonu.

Ptolomeos oznajmił, że Chaldejczycy kazali mu powiedzieć, aby ostrzegł Aleksandra przed pochodem do Babilonu. Niech Aleksander uніка tego miasta, nie czeka go tam nic dobrego.

Aleksander zastanowił się. Posępnym wzrokiem patrzył w dal. Palcami prawej ręki bawił się końską grzywą. „Chaldejczycy nadal pragnęliby używać dochodów ze świątyni Bela, i moja obecność jest im nie na rękę“, odpowiedział w końcu. „Od sześciu lat ociągają się z rozpoczęciem odbudowy, podstępnie obchodzą moje rozkazy, i nawet nie ruszono gruzów, bo nie chcą wydawać pieniędzy. Oto prawdziwy powód ich ostrzeżenia. Gardzę takimi prorokami“.

Po przybyciu do obozu, nieoglądając się na późną godzinę wieczorną, postanowił Aleksander przyjąć poselstwo Kartagińczyków. Może obawiał się bezsenności, albo duszę chciał oszołomić zewnętrznym przepychem. Tuż przed północą do wielkiego namiotu przyjeżdżący przybyli zdumieni posłowie. Aleksander, w ubiorze wschodnich krajów, w tiarze, w sza-

cie i pasie pokrytemi drogiemi kamieniami i perlami, siedział wśród kręgu pochodni. Jego nieruchoma, pokryta maską twarz panowała nad zgromadzonymi. Najstarszy z posłów wystąpił naprzód, skrzyżował na piersiach ramiona, przykląkł i pochylił się ciałem, póki czołem nie dotknął dywanu. Jego towarzysze ze wstydu zamknęli oczy.

Wtem rozległ się drwiący śmiech.

Wszystkich zdjęło przerażenie. Kartagińczyk napół się podniósł. Aleksander zerwał się z siedzenia.

„Kto to się śmiał?“ zapytał ochryplym głosem.

Nie było odpowiedzi. Lekki wiatr ciągnął otwartemi drzwiami, przebiegał paleniskami pochodni i z każdego z nich zrzucał na ziemię bezlik iskier, jak małe ogniste kwiaty.

Powoli zeszedł Aleksander po stopniach estrady. Świdrującym wzrokiem spojrzał najpierw na prawo, potem na lewo. Straże opuściły oszczepy, posłowie cofali się trwożnie. Wygląd miał straszny. Usta pokryła mu piana. Oddychał szybko i głośno, jak pies szukający wody.

„Kto to się śmiał?“ jeszcze raz zapytał szeptem; oczy przewróciły mu się konwulsyjnie.

Poruszyły się w tyle rzędy szlachetnych Macedończyków i drżąc, błądy na twarzy, jak

trędownaty, na wąskie przejście wystąpił Arideos.

Niezdolny zapanować nad wzburzonym oddechem, wpatrywał się weń Aleksander. „Dlaczego?“ cicho wkońcu zapytał, „dlaczego śmiałeś się?“.

Ardeos usiłował uciec mu spojrzeniem. Potem odpowiedział, drżąc na ciele: „Śmiałem się, gdyż ty, Aleksandrze, Helleńczyku, uczniu Akademji, człowieku jak my wszyscy, pozwalasz, aby modlono się do ciebie, jak do azjatyckiego bałwana“.

Aleksander postąpił krok naprzód, schwycił Arideosa za włosy, przechylił jego głowę w tył tak mocno, jakby chciał wyrwać mu ją z ramion, i gwałtownie uderzył nim trzy razy o słup namiotu.

Schłostany pomału się wyprostował. Wyglądał jak trup. Jego oczy mieniły się płowem. Malowała się w nich nie tylko nienawiść, wstyd lub ból, ale niezmierzona, niezapomniana trwoga.

Spokojnie rozmówił się Aleksander z wyłęcznionymi posłami, podziękował im za podarki i wkrótce potem opuścił namiot.

Nazajutrz rano przybył do obozu Apollodor, wojskowy dowódca Babilonu, i zaprowadzono go do Aleksandra. Po zdaniu raportu o stanie wojsk, z rozmiłowaną w sobie rozwlekłością opowiadał, że słyszał o przepowiedniach

Chaldejczyków; prosił swego brata, wróżbitę Peitagorasa, aby pokryjomu przyjrzał się ofierze, mającej ukazać los Aleksandra. Peitagoras uczynił to, ale wątroba zwierzęcia ofiarnego nie dała znaków.

Aleksander milczał. Człowiek ten nie podobał mu się. Miał w sobie coś skrytego, coś niezręcznie obłudnego. Z gorzkim niedowierzaniem przyglądał mu się Aleksander, jakby chciał powiedzieć: pocóż twa przesadna troska? jakiej-to oczekujesz nagrody? Rozkazał, aby przywołano Peitagorasa. Wróżbita przyszedł, blady, jak nieczyste sumienie. Pod pytaniami kręcił się tu i tam, wkońcu zeznał, że wątroba zwierzęcia była bez głowy. „Dlaczego zataiłeś to?” zapytał Aleksander. Nie wierzył ofierze, odpowiedział wróżbita. „Ale o śmierci Hefajstiona wiedziałeś naprzód“, wmieszał się gorliwie Apollodor, pragnąc za wszelką cenę grać dalej rolę troskliwego przyjaciela Aleksandra.

Teraz uniósł się Aleksander. „Złóż zaraz ofiarę!” rozkazał.

Peitagoras wybrał młodego dzikiego osła. Dwuch niewolników zaciągnęło opierające się zwierzę do ceglanego ołtarza. Zręcznem uderzeniem topora wróżbita zabił zwierzę i rozciął mu brzuch. Towarzysze Apollodora z ciekawością zbliżyli się, gdy wybuchnął płomień zmieszany z dymem i, trzeszcząc, napoczął żółci. Podczas gdy Peitagoras przyglądał się trzewiom i ledwo

śmiały wskazać czarną wątrobę, Apollodor z gwardzistą Lizymachosem stali nieco na boku, szepcząc ze sobą. „Czy pogodziliście się już?“ mówił Aleksander z posępnie ściągniętymi brwiami. „I cóż postanowiliście? jakaż uśmiecha się wam prowincja? czy Babilon jest dla was za mały? Potargujcie się, może dorzucę jeszcze Egipt. Popatrzcie, że ogień dusi się i niknie, zły znak, nieprawdaż? Ale z bogami, których wy uznajecie i obawiacie się, odważę się jeszcze zmierzyć“. Roztrącił nogą kupę jelit, tak że krew opryskała twarze stojących obok.

Wtem drogą między namiotami przybiegł cześnik Jollas. „Chaldejczycy idą!“ zawołał.

Aleksander zrobił gwałtowny ruch ręką i gniewnie wstrząsnął głową. „Niech przyjdą“, powiedział, „jutro pociągną wojska do Babilonu“.

Odpowiedziały mu okrzyki radosne znajdujących się w pobliżu żołnierzy. Wieść rozszerzyła się z szybkością wiatru.

Pomiędzy królewskimi namiotami wynurzył się zastęp zadziwiających postaci. Siedmiu starych mężczyzn z długimi brodami. Jechali rzędem na białych osłach, ufarbowanych henną, o czerwonych ogonach i czerwonych uszach. Byli ubrani w bawełniane szaty spodnie i białe szaty wierzchnie. Na twarzach mieli kamienną powagę. Wyraz ich oczu podobny był wyrazowi oczu ludzkich, które miesiącami przeżywały

w ciemności; były to oczy niepatrzące. Oliwkowa skóra twarzy, szyi i rąk była sucha, zmarszczona, skórzana. Byli do siebie podobni tak uderzająco, napół śmiesznie, napół groźnie, jakby byli nie braćmi, lecz siedmiorakim cieniem jednego, kiedyś żyjącego mężczyzny.

Była to starszyzna Chaldejczyków z Borsippy.

Słońce ciężko i upalnie padało na trawę, na czerwonawy piasek ulicy, odbijało się w wodzie kanałów, w szklistych skrzydłach owadów, spływało poruszone przez umykające cienie liści palmowych, po białych, czerwonych i niebieskich nakryciach namiotów.

Chaldejczycy zesunęli się ze swych zwierząt i zbliżyli się pieszo. Nawet ich niedosłyszalny chód miał w sobie coś z cienia. Tuż koło Aleksandra równocześnie rzucili się na ziemię, całym ciałem i z wyciągniętymi rękoma. Wtem jeden z nich powstał, i gdy mówił, nie ożywiły się jego żółtawe źrenice. „Wielka Psia Gwiazda była tej nocy zakryta. Zawróć, Aleksandrze“.

Drugi z nich powstał i mówił: „Niech rozewrze się zasłona, niech wokół mnie znowu będzie jasno, przychodzę jako poseł Pański, jako poseł potężnego Pana. Zawróć, Aleksandrze“.

„Azja jest wielka“, powiedział trzeci. „Poloż twą głowę gdziekolwiek bądź, pij wodę z czy-“

stych naczyń, nie wstępuj na drogę, którą wędruje się w mrok“.

Aleksander zamknął oczy, jakgdyby ciężar myśli gwałtownie ściągnął mu powieki. Nie śmiał niedowierzać tajemniczym istotom Chaldejczyków, aczkolwiek czuł się okłamanym i oszukanym, aczkolwiek począł niedowierzać wszystkiemu, wszystkim twarzom ludzkim. Zdawało mu się, że stoi w burzliwej chmurze, nie mogąc się poruszać, aby nie przeszkadzać gromom. Wstrząs za wstrząsem przechodził mu po karku. Przez krótką chwilę zastanowienia, pomyślał o powrocie i że już nie mógł zawrócić. Ci, których przywiódł, pchali go naprzód, nie ich nie powstrzyma, ich wola ma siłę prądu wodnego. Zdawało mu się jednak niemożliwym, aby miał zejść na pachołka okoliczności, choć toczyły się wypadki, choć potężnymi być mogły, aby miał tu i ówdzie błąkać się między przypadkiem a sprzyjaniem chwili, aby miał już na cieniu swym mierzyć niebezpieczeństwo, ważyć stawkę i wygraną, i zamiast być panem nad rzeczami, w pospolitej obawie poddawać się ich biegowi.

Niechętnie wyprostował się i rozkazał, aby Chaldejczyków uwięziono.

Żołnierze, bardzo przerażeni, nie śmieli wykonać rozkazu. Powtórzył swe słowa. Żołdacy okrążyli siedmiu kapłanów. Jakiś szczególnie osobliwy uśmiech zadrgał na twarzy naj-

starszego; żaden z nich nie okazał sprzeciwu albo trwogi.

Wieczorem Aleksander włożył ubiór macedoński, nacisnął purpurowy kołpak i szeroki daszek nisko opuścił na twarz; chciał przejść przez obóz niezauważony. Wziął ze sobą swego ulubionego psa Peritę, charta hinduskiego.

Większość namiotów już zwinięto. Od powyrywanych kołów wzburzono ziemię, piasek zesypano na kupy, na których leżał popiół ognisk kuchennych. Ziemia była pokryta pestkami daktylowemi, kośćmi, resztkami jadła i porzuconemi cackami. Wieczór był łagodny. W czarnobłękitnej wysokości białawe i na zachodzie złoto-żółte chmury przeciągały powoli, jak pozbawione steru czółna.

Opieszale kroczył Aleksander między grupami porozkładanych żołnierzy. Niektórzy grali w kości, inni w gry miejskie, inni zaś śpiewali. Wielu siedziało przy jedzeniu z wielkich trójnożnych kotłów, w których pływały olbrzymie kawały gotowanego mięsa. Jakiś tłusty obżarciuch trzymał między kolanami kosz wypełniony sardelami i obiema rękami pakował ryby do ust. Zapraszał swych przyjaciół, aby jedli razem z nim, ale nie mieli ochoty, bo obawiali się bogini syryjskiej, która jedzących sardele nawiedza zniszczeniem wątroby.

W jednym z oddziałów tesalijskich powstała kłótnia. Krzycząc i z gołemi mieczami cisnęli

się do siebie. Aleksander nie wkroczył jak zwykle, aby zaprowadzić ład i sprawiedliwość, niezważając przeszedł obok nich, przeszedł wśród wycia swarzących się kobiet. Azjatki i dziewczki greckie siedziały na ziemi, oczekując na kupców swych ciał. W ciemniejszych miejscach, w cieniu krzaków widać było obejmujące się pary.

Naraz wokół Aleksandra ucichło. Wokół na gołej ziemi leżeli uśpieni. Nie mężczyźni i nie żołnierze; pozostawione dzieci po zmarłych weteranach. Że to była jeszcze wczesna noc, niektóre z matek siedziały obok zasypiających. Co myśleć mogły? jakie oblicze ukazywać im mogła przyszłość, jaką nadzieją żywić się mogły ich serca?

Leżały tam setkami, porozkładane na słomie i sianie, od niemowląt aż do wieku, gdy sny nocne są już oświetlone promieniem rozumu. Powietrze zdawało się poruszać od ich niewinnych oddechów. W Aleksandrze zatliło wspomnienie i stało się jaśniejsze, niż myśl, która je poruszyła.

Usiadł na wywróconym pniu drzewnym, zawołał Peritę i głaskał psa po jedwabistej sierści. Myślał o Indusie Kondanyu, który raz — jak to pamiętał — ciągnął w płomiennej czerwieni wieczornej, aby błagać o opiekę nad dziećmi tych, co zginęli w pustyni. Jeszcze słyszał słowa: *środa jest samotność!* i wstrząsa-

jąc głową, myślał: Gorzką, gorzką jest samotność. Czemuż więc nie było prawdy w błogosławionym blasku tego oblicza?

O tej samej godzinie zmarł w Babilonie Kondanyo, znużony widokiem ludzkich zajęć, syty i przesycony życiem niedoskonałem, zmarł dobrowolną, przez samego siebie wybraną śmiercią na stosie.

Gdy Aleksander powrócił do obozu, jasnego od pochodni i ogni, przystanął u wielkiego namiotu, nasłuchując rozbrzmiewającego zeń gwaru. Wszedł do środka. Około pięćdziesięciu przyjaciół zebrało się przy uczcie. Widok zebranych razem miał w sobie dla Aleksandra coś rozmarzającego; ogarniało go uczucie, że nie powtórzy się to już nigdy i nigdzie na kręgu ziemskim; a jednak wydawało mu się, że jego dusza przeżyła już coś równie pełnego męki, jak teraz, może w swej wędrówce w jakimś dawniejszem wcieleniu.

Gdy biesiadnicy zauważyli Aleksandra, zapanało dręczące milczenie. Jego zamyślony wyraz, jego świdrujące spojrzenie, drganie szkarłatnych warg na bladej twarzy, zgasiły ich beztroskę. Wyraźniej, niż kiedykolwiek, odczuli moc, jaką miał nad nimi, upokorzenie, w jakie wprowadzała ich sama jego obecność, cudowność, nawet przeraźliwość jego osoby.

Zajął miejsce na jednym łożu, pozdrowił ich przymuszonym uśmiechem i zażądał coś do

picia. Wokół niego skupili się pochlebcy i ga-
duły i piękni chłopcy. Dwóch darmozjadów-li-
teratów wiodło spór, ile będzie żył lat, dwieście
czy trzysta. Pił wiele, zaczął mówić, ale jego sło-
wa były martwe. Prosił Eumenesa, aby poszedł
do Chaldejczyków, uwięzionych w namiocie bez
dachu. Kazał im powiedzieć, aby tej nocy uwa-
żali na bieg i wygląd gwiazd i nie zapomnieli
żadnego znaku, przychylnego dla Aleksandra.
A więc o gwiazdy opierasz swą pewnośc? zda-
wało się pytać poważne oko Eumenesa.

Chaldejczycy w milczeniu siedzieli na dy-
wanie swego namiotu. Ze złożonemi rękami,
bez żadnego poruszenia duchowego na swych
żółtych twarzach, spoglądali bezbarwnie bądź
to przed siebie, bądź też w górę na niebo. Noc
była chłodna i stawało się zimno, zgiełk obo-
zowy wygasł. Z każdą nową zmianą straży noc-
nej, inny z nich występował na środek. Stał
tam drąg palmowy, zegar wodny szedł, ścieka-
jąc. Po niebie przeciągały chmury, jak długie
czarne płaszcze. Gwiazda królewska lśniła
ciemno czerwona, jak kropla krwi.

Ale Chaldejczycy umieli czytać na firma-
mencie inne jeszcze rzeczy, niż stawanie się
i wewnętrzne znaczenie małych zdarzeń ludz-
kich. Widzieli tam w górze żarzące się światy,
widzieli podwójnie naciągnięty łuk drogi mlecz-
nej, wyobrażenie Eufratu i Tygru, więcej, niż
białą smugę obłoków, którą spostrzegało oko.

Śledzili ruch za ruchem, i ożywiało się umarłe, olbrzymiało znikome. W pewne noce mogli wyzwolić się z krępujących więzów doczesności, nie opuszczając ziemi, odrzucić maskę przesądów, i serca ich, przepełnione światowym spokojem gwiazdzistej przestrzeni, nie obawiały się już niższych demonów, którym chętnie służyli w Babilonie.

Rano dali Aleksandrowi wieść, że nie powinien iść do Babilonu, a conajmniej powinien czekać, aż skończy się miesiąc Ululu. Gdyby jednak chciał działać na przekór gwiazdom, niech przy wkraczaniu patrzy na wschód, niech idzie bramą zachodnią i niech pomodli się w domu lśniącej góry, w świątyni bogini Guli.

W godzinę po wschodzie słońca nie stał już żaden z namiotów, oprócz królewskiego. W stu miejscach naraz odezwały się sygnały trąbek. Ziemia drżała pod ruchem mas ludzkich i zwierzęcych. Niezmierzona chmura drobnego szarego pyłu ciągnęła się wzdłuż całej drogi do Babilonu. Przednie oddziały zniknęły już drobne, jak chmury owadów, w bladym błękitie widnokręgu. Kanały parowały.

Tylko zastęp konnych gwardzistów, mający dzienną służbę, czekał jeszcze na rozkaz wyruszenia, i dopiero późno popołudniu nadeszło pożądane zlecenie. Wszystkie ramiona gorliwie chwyciły się pracy. Zwinięto sukna, wyciągnię-

to koły, załadowano ławki, krzesła, łoża, poduszki, dywany. Aleksander dosiadł konia, obok jechali Lizymachos, Leonnatos i Seleukkos, za nim Peitagoras i drugi wróżbita, potem żołdacy, a w końcu na swych farbowanych osłach, wciąż starannie strzeżeni, siedmiu Chaldejczyków.

Aleksander zawrócił z drogi, którą pociągnęło wojsko i udał się w kierunku Eufratu. Niektórzy myśleli, że chce zapolować tam w stepie, wyciągnęli szyje i wypatrywali umykającej zwierzyny.

Pełna spokoju płynęła olbrzymia rzeka wśród płaskich brzegów. Ciemno zielona, ledwo sfalowana woda była podobna do dobrze wyciągniętego, równego sukna. Rzadko zabulgotał wir, rzadko ryba skoczyła do góry. Krajobraz miał w sobie coś wzniosłego, pokojem oddychał świat.

Aleksander zatrzymał konia i, przysłoniwszy oczy prawą ręką, spoglądał na nieskończoną równinę poza rzeką. Na kraju nieba widać było wielbłądy, wyglądające w tępe oświetleniu, jak grzbiety dalekich gór. Była to jakaś kupiecka karawana.

Wzdłuż brzegu panowało bezgłośnie milczenie. Niebo zachmurzyło się, ziemia straciła bujny wygląd, stało się chłodno i ponuro. Daleko w wodzie rosła wysoka trzcina, poruszana przez dzikie kaczki. Z nastaniem zmierzchu przybyli do ubogiej wsi. Aleksander rozkazał

dostarczyć znajdujące się tu tratwy i wraz ze swymi ludźmi przeprawił się przez rzekę, aby zdążać dalej prawym jej brzegiem.

Teraz Peitagoras rozpoznawał wszystko. Znał ten krajobraz, trzy lata mieszkał w Babilonie, wiedział, dokąd prowadzi ta droga. Długo walczył ze sobą, czy ma mówić, zwyciężył w nim wreszcie pęd lepszej świadomości, skierował konia w pobliże Aleksandra i powiedział: „Według rady Chaldeczyków, chcesz wejść do miasta od zachodu. Ale przed nami, Aleksandrze, olbrzymie bagna. Nie prowadzi przez nie żadna droga, nie widać tu żadnego statku, ani ludzkiego osiedla. Cały zachód miasta jest otoczony bagnami“.

Aleksander wzdrygnął się. Z oczyma lśnjącymi, jak u dzikiego zwierzęcia, spoglądał na nieszczęsnego ostrzegacza. „Troszcz się o swoje oszukańcze zajęcie“, odparł. „Precz kłamliwy bajczarzu, albo każę ci język wyrwać z gardła, abys nie mógł już wywoływać nim losu, gdybyś chciał to uprawiać“.

Wszyscy wiedzieli, że Aleksander drżał, że głos jego dusił się od zagadkowego bólu, że szeroko otwarte oczy posyłały spojrzenia, które zdawały się przerażać jakimś obrazem powietrznym i cofały się z powrotem w głąb duszy, i sami poczęli bać się, jak Peitagoras, jadący na swem miejscu z trzęsącymi się kolanami.

Pochód zatrzymał się. Usłyszano rozciągly krzyk. Oglądano się, szeptano, pytano; konie nadstawiały uszu i stały się niespokojne.

Jeden z Chaldeczyków obrócił się ku zachodowi i wskazał na słońce, które — zachodząc — stało między niebem a ziemią. Widok był uderzający; tarcza słoneczna była tak wysoka, jak czołowa ściana jakiegoś pałacu; była barwy płowo-czerwonej, jak wypalona glina; tak była okrażona oparami, iż zdawało się, że tonie i wypływa z nich; na jej brzegach migotały małe płomyki, zapalając, trzepocące się tam jak chusty czarne obłoki.

Trwożnie i nieśmiało spoglądali żołdacy na Aleksandra. Oczy jego nieruchomo spoczywały na kuli słonecznej, i dopiero gdy rozwarła się ziemia, jak paszcza, aby pochłonać słońce, rozedrgały jego usta jakimś pożądającym bytu, okropnym śmiechem. W omroczonem sercu postanowił śmierć tych Chaldeczyków, którzy stanęli w świetle przyszłości, chcąc je zagasić.

Ledwo zapadł mrok, zaczęło padać. Do wygody życia obozowego przyzwyczajeni żołdacy, troszczyli się, gdzie spędzą noc. Mrok przemienił się w bezgwiezdna ciemność. Jednostajnie brzmiał tępy chód koni, zmieszany z przypadkowym szczękiem mieczy. Rzeka szemrała nieprzerwanym cichym śpiewem.

Coraz silniej padał deszcz. Konie męczyły się na przemokłej ziemi. Wtedy oddalił się od

rzeki; chcąc mieć miasto na wschodzie, trzeba było ciągnąć dużym łukiem na zachód.

Rozległo się wycie, które o tej godzinie, w tem usposobieniu napełniło wszystkich przerażeniem. Był to lew bagienny, żerujący w trzcinie. Niektóre konie stawały dęba i trwożnie wietrzyły. Aleksander dał znak, aby się zatrzymano. Nie wzięto żadnych kołów, i przestraszonych zwierząt, które siłą musiano powstrzymywać, aby nie pobiegły w noc, nie można było przywiązać. Peitagoras przeczuwał bagna w bezpośredniej bliskości. Trzydziestu najodważniejszych zgromadziło się, aby pójść dalej i mieczami naciąć trzciny. Niezadługo powrócili obladowani, chodziło teraz o to, aby rozniecić ogień, gdyż wycie stawało się coraz groźniejsze.

Trzcina była mokra i nie chciała się palić. Wznosił się z niej duszny dym. Nieprzerwanie rozlegało się przeraźliwe, trwożne rżenie koni, odpowiadało majestatyczne wycie dzikich zwierząt.

Rozstawiono strażę. Większość żołdaków, zawiniętych w dery, usiłowało zasnąć. Wielu jednak leżało z otwartymi oczami, tajemniczo poruszonych. Ciemno śledzili osobliwą i pełną znaczenia noc, która jakgdyby zdradzała ich wzruszonym zmysłem to, co się w naturze kłębi i gotuje. Widzieli, jak Aleksander krąży wokół rozpalonego ognia. Postać w hełmie wielką wyrastała w czarnych ramach nocy. Perły dżdżu

padały czerwone i bezgłośne w krąg ognia. Zawołał trzech ludzi ze straży i dał im jakiś rozkaz. Wzdrygali się, drżeli, milczeli, oczami biegali po sobie. Ale jeszcze słowo Aleksandra, jeszcze jeden ruch, i poszli, aby go usłuchać.

Wkrótce potem na jednym krańcu obozu powstał zgiełk. Seleukkos i Leonnatos, bladzi jak kreda, biegli do Aleksandra. Co chcieli mu powiedzieć, utkwilo im w gardłach na jego widok. On śmiał się.

Obudził się ranek, nurzając czoło w żółtawo lśniącej wodzie bagien. Wtem, stokrotny, więcej niż stokrotny okrzyk radosny, głęboko brzmiący, daleko się rozlegający: Babilon! Babilon! i znowu: Babilon! Babilon!

Jeszcze nieznaczące w szarem świetle, ale ujmujące już samą oczywistością, zobaczyli mury utęsknionego miasta.

Chaldejczycy nie oglądali już ojczyzny. Po mokrej ziemi z ciał ich płynęła krew; „siedmioro ich, siedmioro ich“.

Ranna mgła podnosiła się. Aleksander patrzył. Zobaczył latające nad murami miasta mnóstwo kruków. Nadleciały do bagien i naraz poczęły ze sobą walczyć. Po krótkiej walce dziesięć albo dwanaście spadło martwych do rozpryskującej się wody, pozostałe z dzikiem krakaniem poleciały dalej.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

ARIDEOS.

W Babilonie świętowano przesilenie słoneczne. Niezliczone mnóstwo ludzi wyległo na ulice. Z ogrodów okolonych niskimi murami, rozlegały się krzykliwe głosy, niczem pijanych kobiet nocą. Na wyniosłym wzgórzu wschodniego kanału stali żołdacy baktryjscy przed olbrzymiemi glinianemi kadziami z winem.

W miejscu, gdzie wschodni kanał wypływa z Eufratu i dużym łukiem kieruje się do rozległego pola ruin świątyni Belmarduka, na opustoszałym tarasie ogrodowym rozbił obóz niewielki oddział Macedończyków, trzymający straż przy ciele Hefajstiona.

Trumna stała w półnamiocie, u którego otwartego boku stało pięciu żołnierzy. Wsparci o szable, patrzyli tęskno i posępnie w czerwony płomień, rozpościerający się po ulicach i domach. Hałas nocnego obrządku świątecznego

głucho dochodził aż do ich uszu; od czasu do czasu odrywał się tam jakiś przeciągły okrzyk i, przebrzmiewając, ginał znowu w ogólnym zgiełku. Widzieć nic nie mogli, bo spadziść kanału zupełnie zasłaniała widok. Tylko ku północy spostrzegali na wierzchołku jakiejś góry rozrzutnie oświetlone tarasy i ogrody królewskiego pałacu, zamieszkałego przez Roksanę.

Niechętnie leżeli wokół lub stali inni Macedończycy. Ci, którzy na tę noc byli zwolnieni od straży, szukali sposobności, aby dostać się do miasta. Kiprzy nie mieli nic do roboty. Łańcuch służby jeszcze ciężiej się rozwłóczył, gdy żądze uskrzydliło wino.

Wokół posadzone półkřęgiem stały wysokie cyprysy. Niektórzy żołnierze wspinali się po pniach, czepiali się ich i zawisali wysoko, niewygodnie i męcząco, wpatrując się w niedaleki kraj swych marzeń.

Młody tetrarcha Charippos, mianowany przez Perdikkasa dowódcą straży, samotnie chodził po wale tam i z powrotem. Był może jedynym, którego myśli nie ulatywały do rozkośzy Babilonu, wypełniała go tylko pycha.

Syn Macedończyka i Frygijki, szczęśliwym przypadkiem dostał się do konnych zastępów szlachetnych. Odtąd nie miał spokoju. Myśl o sławie i odznaczeniu zrywała go ze snu. Był na usługi każdemu, kto mógł go potrzebować, przypochlebiał się w górę i na dół, przy każdej

sposobności starał się docisnąć w pobliże gwardzistów, i dawniej człowiek niewinny i dobroduszny, był teraz zżarty w całej istocie i trawiony ogniem zaszczytów. Starsi ludzie pogardzali nim, młodzi żartowali zeń, dla wyżej postawionych był pożytecznym narzędziem.

Poraz setny rozpoczął Charripos swą jednostajną wędrówkę. Buty dzwięcznie kłapały o ceglany bruk wybrzeża, a pellijski płaszcz trzepotał na wietrze wieczornym. Czasami przystawał, nadśluuchiwał, wstrząsał głową, mówił i gestykulował przed siebie. Potem wpatrywał się w łożysko kanału; zrzadka tylko i powoli pluskała woda o murowaną ścianę brzegu albo o niskie schody, do których przybijały łodzie.

„Charipposie! Charipposie!“ zawołał go jakiś głos.

Młody tetrarcha szybko odwrócił się w kierunku, skąd go wołano.

Bez tchu śpieszył doń jakiś Grek. Zdejmując hełm i rękawem ubrania wycierając czoło, mówił, iż przynosi rozkaz Perdikkasa. Charippos ma niezwłocznie pójść do domu namiestnika nad kanałem Pikudu. Dowództwo straży winien oddać kapitanowi Agenorowi. „Śpiesz się tylko, tetrarcho“, mówił Grek, „poprowadzę cię, Babilon jest wielki“.

„Co za znak masz od Perdikkasa?“ ociągając się, badał Charippos.

„Znak? a to po co?” odparł Grek, rozciągając ramiona w obie strony z nabożnem zniecierpliwieniem. „Perdikkas był bardzo podniecony. Chodzi o samego Aleksandra. Jest to okoliczność, w której tylko tobie chce zaufać”.

Błyszczące obrazy wyrastały przed Chariposem. Widział się u boku Aleksandra, niemniej czczony i lubiany, niż Hefajstion, którego biedne zwłoki leżą tu w trumnie. Zawołał parobka od koni, ale Grek, powstrzymując, położył mu rękę na ramieniu.

„Nie potrzebujemy koni”, powiedział, „przeszkadzałyby nam, ulice są przepełnione. Poprowadzę cię tajemną drogą”.

Charippos, podszedłszy do namiotu, porywczy rozmówił się z Agenorem. Potem podążył za Grekiem, nie bacząc, że droga ta prowadzi na śmierć.

Niedaleko odeszli obaj w kierunku Eufratu, gdy od ruin świątyni Marduka wynurzyła się gromada kobiet. Z głośnym krzykiem zdążyły do obozu. Ciemnoskórzy niewolnicy babilońscy nieśli smolne pochodnie.

Z płonącym wzrokiem zerwali się żołdacy ze swych rozstrojonych dumań. Z pragnieniem wpatrywali się w obce kobiety, wchodzące tu w krótkich tunikach, z włosami rozpuszczonemi na ramionach.

Stary Agenor zastąpił pierwszym, podnosząc rękę. „Poświęcone miejscel” zawołał,

„precz stąd!“ Chuda, do Menady podobna Babilonka rzuciła się nań, rękami opasała jego ramiona, udami ścisnęła mu kolana, wyjąc lubieżnie, jak opętana.

Wśród pozostałych kobiet powstał bezładny wrzask. Nawet niewolnicy podnieśli swe złe brzmiące głosy, a jeden z nich tak nieostroźnie poruszał wokół pochodnią, że jedna z zasłon namiotu zajęła się płomieniem. Kilku żołnierzy, schwytawszy rozszalałe kobiety, wydało radosny okrzyk. Bojaźliwsi patrzyli jeszcze osłupieni, dowódcy rot usiłowali opanować zgiełk, ale wkrótce mieli przed sobą tylko dziki obraz opilstwa i rozpasanej swawoli, tak że ujęci tem, bezwolnie wciągnięci, jak tchnieniem ognia poruszeni, stracili opamiętanie. Nad naczyniami z winem nachylały się kobiety, wysoko nad głowami wznosząc dzbany. Inne zrzuciły szaty i zupełnie nagie biegały w koło w udanej ucieczce przed swawolnymi prześladowcami. Oszalamiające były ich osobliwe wołania, ich gruchania, gdy czuły się złapane, ich srebrzysty, ptaszęcy śpiew, gdy się wyślizgnęły, ich szalony śpiew w objęciach. Jedna z nich zanurzyła w winie całą pełnię swych długich, granatowo-czarnych włosów, i gdy poważnym krokiem, jak senne marzenie, uchylając się i zbaczając, wymykała się każdemu objęciu, czerwone wino opadało kroplami na jej biodra i uda. Dwóch żołdaków zdążyło za nią, czołgali się na kolanach, aby zli-

zywać wino z jej chłodnych członków. Wtem skoczył na nią olbrzymio zbudowany Macedończyk, schwycił ją, wziął na ramiona i uniósł stamtąd, mokremi jej włosami wlokąc po twarzach i ramionach innych.

Niektórzy tańczyli. Wykręcali członkami, jakgdyby chcieli wyrwać je z przegubów, potem padali i rozkładali się lubieżnie. Wszystkiemu temu wtórowała osobliwie usypiająca muzyka. Zdawało się, jakgdyby z fletni, przytłumione i łagodne, wychodziły tony harfy; przeraźliwe tony żałosne mieszały się z tonami wzdychającymi, czarująco łączyły się z niemi spokojniejsze dźwięki. Był to wprost głos łagodnej, melancholijnej nocy jesiennej, trzymającej Babilon w swych objęciach.

Wtem jedna z kobiet, wbrew woli i tylko napozór grająca rolę szalonej, opuściła krąg wszetecznego zgiełku, nie rzuciwszy nawet okiem na rozwalone na ziemi ciała.

Była to Drypetis.

Twarz miała zasłoniętą aż po oczy. Szlachetny jej chód miał ociężałość, właściwą tylko kobietom bardzo starych rodów. Na to pochodzenie wskazywała również widoczna słabowość dziewczęcą przecudnego ciała i sfinksowa postawa i pochylenie głowy na delikatnej, wyniosłej szyi.

Prawie wszystkie pochodnie pogasły. Szła w kierunku namiotu z ciałem Hefajstiona. Zo-

stał przez strażę nagle opuszczony. Wiedziała o tem, było to wszakże jej pieczołowicie obliczone dzieło, przecież ona sama kazała odprawić pysznego Charipposa, którego jedynie obawiała się.

Staneła wzdychając. Cała jej istota, przez burzę wojny i niedoli wytracona z głębokiego rozmarzenia jej królewskiej samotności, była pozbawiona gruntu, prawa i spokoju. Nie miała żadnego oparcia o przeszłość, nie żyła już terazniejszością, niczego nie oczekiwała od przyszłości. Po śmierci Hefajstiona zrozumiała, że kochała go do takiej miary, iż jedzenie i picie, sen i czuwanie, potrzeby ciała nie były dla niej niczem więcej, niż cieniem cienia. Bywały dni i noce, oboje ledwo rozróżniane jej zmysłami, gdy w prochu leżała przed groźną Isztarą i do krwi siekła sobie skórę, i inne, gdy przy kapłańskim śpiewie ofiarnym zanurzała swe członki w grobie pełnym purpurowych maków, znajdującym się w świątyni boga zaklęć.

Chciała choć trupem posiąść ciało Hefajstiona, dla którego za życia nie była niczem, nawet nie niewolnicą, na którą się spogląda, aby ją w nocnej godzinie zawlec na łożę, nawet nie tyle, co przelotnie błyszczący kamień, który bierze się do ręki, aby go zaraz odrzucić, nawet nie tyle, co różowy obłoczek, w którym w godzinie wieczornej zatapia się syte ziemi oko, była mu niczem, niczem. Chciała go zobaczyć,

przyjrzyć mu się, tak długo jak będzie mogła, nieprzestraszona maską śmierci, chciała klęczeć przed domostwem, w którym bytowała jasna dusza, chciała pochować ukochane zwłoki w mieście umarłych Uruk, aby nie popadły w ogień i nie zostały wykluczone z nieba Zaratustry; potem chciała umrzeć sama.

Przyszli niewolnicy, którzy oczekiwali rozłożeni na ziemi za grajkami.

Tymczasem Charippos ochoczo wędrował u boku Greka przez ulice i bramy, przez mosty i odległe place. Poseł zdązał swoją drogą, nie oglądając się, w wielkim pośpiechu. Przechodzili obok zamkniętych świątyń, przed którymi stały olbrzymie ołtarze na lwich łapach. Szli szerokimi ulicami, tak prosto biegnącemi, jakgdyby wytknięto je według linji. Blask latarni, sztucznych ogni, pochodni i wolno płonących ognisk odbijał się wspaniale i fantastycznie na glinianej polewie wszystkich murów ceglanych. Widzieli wznoszące się wieże, płonące nieokreślonym czerwonym światłem, jak z mgły zbudowane, pełne osobliwych ozdób, wysoko strzeliste. Przechodzili obok pałaców, z których nie przedostawał się żaden głos; jak śpiące stały olbrzymie budowle na rozległych tarasach, stamtąd spoglądały na nich lwy o ludzkich głowach i wspinające się węże brązowe, obdarzone tak cudownem życiem, iż wzbudzały strach,

że się poruszają. Wynurzały się posągi z czarnego kamienia; wznosiły się z głuchym majestatem, ucieleśniały pranoc, z której wydobywały się stworzenia w bezgłośnej walce, oczy miały z kości słoniowej ze złotymi gwiazdami, a w skamieniałym uśmiechu ich ust chytrze drzemał mrok śmierci. Przechodzili obok ogrodów wiszących, rozpościerających się rozległe we wspaniałości swych palm, krzewów wawrzynowych i złożonych kolumn; wiało od nich tajemniczym tchnieniem, a od czasu do czasu przymilnie nucił słowik.

Z bijącym sercem przeżywał Charippos to miasto. Zapominał sam siebie, i gdy przechodzili przez jeden z olbrzymich mostów, z powstrzymanym oddechem przystanął w milczeniu i klasnął w ręce. „Wspaniała rzeka!” zawołał i, oczarowany, spoglądał w mrok płynących wód, na niezliczone łodzie i czółna z niebieskimi, zielonemi lub czerwonymi latarniami. I raz jeszcze wybuchnął, z prostodusznym podziwem wznosząc ręce: „O, wielki Babilonie!”

Obrócił się, aby podążyć dalej za swym przewodnikiem, ale ów zniknął.

Pobiegł kilka kroków w kierunku, w którym Grek musiał się udać, zdawało mu się, iż tu lub ówdzie spostrzeża białą kite hełmu, ale było to złudzeniem. „Eho!” wołał, złożywszy ręce. Ku swemu utrapieniu pomiarkował, iż nawet nie znał nazwiska posłańca. Obok stali lu-

dzie, Babilończycy i Persowie, którzy zauważyli jego niespokojne zachowanie. Podszedł do nich i zapytał, czy nie widzieli tak a tak wyglądającego człowieka. Nie zrozumieli go i potrzásali głową w próżny, a jednak dostojny sposób. Za trzymywał innych, dowiadując się o pałac satrapy, nikt nie dawał mu odpowiedzi, nikt nie chciał go zrozumieć. Pogardzali wzburzonym cudzoziemcem.

Charipposa zdjęło straszliwe podejrzenie, że został oszukany, myśl, która obezwładniała jego członki i osłupiała wzrok. O co chodziło? Czyż miałby możliwych nieprzyjaciół?

Usiłował teraz odnaleźć drogę powrotną. Nie znał nawet nazwy placu, na którym znajdował się powierzony mu oddział. W bramie mostowej stała straż macedońska. Znał jej dowódcę, pewnego Euktemona, słynnego z twarzy pokrytej bliznami. Nie śmiał zbliżyć się doń, z obawy, by się nie zdradził. Z pochyloną głową szybko przemknął obok, oddając hasło zmienionym głosem.

Ale dokąd? We wszystkie strony biegły nieukończone ulice, wiele było pustych i ciemnych. Charippos ściślej owinał się płaszczem, głębiej nasunął hełm na czoło, tak że tylna blacha stromo odstawała od karku, i na los szczęścia rzucił się w pierwszą ciemną ulicę.

Zniekształcone psy biegały wokół, płacząc, jak szakale. Coraz rzadziej spotykał ludzi. Bruk

drżał pod jego krokiem. Domy zdawały się wymarłe. Zatrwożony błdził dalej i dalej. Dotarł do jakiegoś cyprysowego gaju. W mroku zdawały się poruszać białawe postacie i, jak mgła, przyczepiać się do długich wierzchołków. Mrużąc modlitwę, chciał prędko przejść obok, gdy zdjął go drżeniem odgłos wielu kroków i hałas wielu głosów. Obawiał się pościgu, bo zdawał sobie sprawę, iż to, co uczynił, było przestępstwem. Wkraczając w cień drzew, wyraźnie słyszał głosy zbliżających się.

Byli to greccy kapitanowie. Zachowywali się głośno, niemal burzliwie. Mówili o śmierci Indusa Kondanya; widzieli go, jak wstępował na stos i jak obejmowały go ognie. Jeden z nich przystanął, i podkreślając pełne znaczenie swego mniemania, mówił, iż ze wszystkich śmiertelników conajwyżej jeden Sokrates zginął tak piękną i wzniosłą śmiercią. Ale Sokratesa zniewolono do śmierci, wtrącił ktoś drugi o głębokim melodyjnym głosie, a Kondanyo dobrowolnie wyrzekł się życia.

Minęli go. W znacznem oddaleniu Charippos słyszał ich śmiech, i rozrzewnił się; mniemał, iż jego usta nigdy się już nie uśmiechną. Duch pychy uleciał mu z piersi i ogarnęło go pełne cieniów zasmucenie. Przeszkadzało mu to pójść dalej w drogę, zatrzymując go w mrokach gaju. Bez wyraźnych myśli, całkowicie zatopiony w utrapieniu, szedł w głąb ciemności, której

przestał się obawiać i która była tak gęsta, iż często ramieniem lub ręką uderzał o pień drzewa. Postanowił położyć się tu i oczekiwać dnia, gdy nagle wstąpił w światłość, pośrodku której małe jezioro odbijało łagodny i słaby blask nocnego nieba. Jak we śnie widoczną była na wodzie wyspa z małą świątynią.

Jak zniewolony, podszedł Charippos do brzegu wody, w której pływały święte ryby. Niektóre wynurzały się z głębi i prześlizgiwały się, lśniąc srebrzyście, jakgdyby za ich łuskami ukryto czarodziejskie światło. Poczuły obecność obcego.

Podczas, gdy zakłopotany i bezradny patrzył Charippos na powierzchnię wodną, posłyszał obok siebie oddech śpiącego. Przestraszył się i chciał cofnąć się do gaju, ale jego bystre oczy zauważyły, iż leżący był ubrany po macedońsku. Zadziwiło go to; nachylił się i potrząsnął ramieniem śpiącego. Człowiek ów zerwał się.

„Co tu robisz?“ pytał Charippos, który — stojąc naprzeciw kogoś jednego — odzyskał swą pewność. Gdy obudzony roztworzył oczy i zaskoczony patrzył wokół siebie, z pewną surowością mówił on dalej: „Skąd tu przychodzisz? Kto jesteś?“

„Czego krzyczysz i ciskasz się, jakbyś całą Azję miał w kieszeni?“ brzmiała niezmieszana odpowiedź. „Jestem Arideos, brat Aleksandra“.

Charippos odskoczył w tył, jak uderzony ciosem. Brat Aleksandra! Zdjęło go przerażenie, bliskie grozy. Upadł na kolana, powiedział swe nazwisko, urywkami opowiedział przeżycia tej nocy i nie zataił swej winy. Błagał o ratunek, prosił, aby Arideos przemówił za nim u Perdikkasa, gdyż musiało się zdarzyć coś złego.

Arideos odwrócił głowę i milczał. Słowa te były dla jego uszu muzyką, na jedną chwilę oddalały odeń uczucie niemocy i opuszczenia. Oczywiście, mógł znaleźć towarzyszy, towarzyszy do kubka i zabawy, ale jego marzycielska dusza, której obce były jałowe uciechy, szukała przyjaźni najlepszych. I tak w samotności jego wyobraźnia słaniała się w widokach mocy i sławy, to znowu w widokach pogńębienia.

„Nie bój się Perdikkasa“, pocieszał skruszonego tetrarchę. „Gdy robisz się małym, tylko wtedy Perdikkas wydaje ci się wielkim. Jestto wprawdzie pora, w której wszyscy, jak psy, żyją w strachu przed sobą. W jakiejś brudnej żądzę pograżyły się wszystkie umysły. Brzydę się tem, Charipposie, brzydę się z głębi serca. Jest we mnie olbrzymia siła, która czyni mnie równym najwyższemu królowi, choć jestem tylko żebrakiem. Teraz jednak zaszło tak daleko, że najpodlejszy swą splugawioną ręką zgasić może boską iskrę w piersi najszlachetniejszego. Perdikkas! Kto to jest Perdikkas? Nędzny mózg żołdacki, wynoszący się zły duch.

Jego moc to siła przypadku, żart losu. A inni! Ach, brak mi słów“.

Charippos zrobił wielkie oczy, choć w duszy swej nie dawał miejsca zdumieniu. Był szczęśliwy, że ów człowiek zwierza mu się tak nieoględnie.

„Co to za miasto ten Babilon!“ nieprzerwanie mówił dalej Arideos, „jak bogate, jak wielkie, jak ożywione, jak cudowne pod każdym względem! Jest ono jak zwierz, jak olbrzymi zwierz, nocą iskrzą się jego oczy, drży jego grzbiet. Jestem tu dopiero od rana i już widziałem umierającego boga. Byłem przy tem, jak wstępował na stos, ów zagadkowy Indus, widziałem, jak świeciła jego dusza. Zdawało się, iż całą ziemię trzyma w swych rękach i, śmiejąc się, pozwala jej spłonąć wraz z sobą. Wydał mi się większym, niż Aleksander. Gdy mówię Aleksander, to czujesz, jakgdyby z ust moich wybiegał grom, czy nie tak, Charipposie? I dlaczego? Cóż zrobił Aleksander tak olbrzymiego? Pokonał słabszych, przepędził niezdolnych książąt, wykorzystał pychę pysznych, zatrwożył bezsilnych, za wielkie pieniądze pobudował miasta, nie szczędził krwi swoich, bo nie zważał na życie. Ale czy uczynił ludzi lepszymi albo mądrzejszymi? czy choć raz jeden jedną jedyną duszę podniósł i pokrzepił? czy poprowadził zmęczonego, przywrócił mowę niememu, rozweselił smutnego? Nie. Skoro wreszcie przypadek

będzie działał mądrzej i bardziej przewidująco i nie będzie szedł już ślepym torem, wówczas zdarzy się coś, co wprawi was w zdumienie, Macedończycy“.

Teraz Charippos poczuł się zaskoczonym. Zdawało mu się, że jest kapłanem, na którego oczach oplwano ołtarz, przed którym się właśnie modlił. W pobliżu Arideosa czuł się niewyraźnie. Przygnębiony rozejrzał się wkoło siebie i powiedział: „Zaczyna się dzień, już muszę iść“.

„Dobrze“, odparł Arideos, „chodźmy, zaprowadzę cię. Ale musisz iść wolno, bo czuję się nieco zmęczony. Wyczerpuje człowieka to łagodne, słodkie powietrze babilońskie. Gdzie jest twój oddział?“.

Obaj podnieśli się. Charippos zastanowił się. „Jest tam kanał... w kierunku południa“, jękał się zmieszany, „a na północ widać wielki pałac. W każdym razie jest to daleko stąd“.

Szli mrokiem gaju. Woń miło pachnących ziół wypełniała powietrze, panowało cudowne milczenie. Gdy wydostali się na ulicę, była już pogrążoną w łagodnem żarzeniu się zorzy porannej. Wierzchołki drzew poruszały się bez szmeru i zdawały się być aż do wnętrza przepojone purpurowem światłem. Wiał świeży, wilgotny wiatr, a na dużej wysokości nad płaskimi dachami przeciągały szaro-niebieskie obłoki. Nikogo nie było widać. Głośno krzy-

cząc, klucz żórawi ciągnął nad rozbudzonym gajem.

Z zadziwieniem przyglądał się Charippos postaci Arideosa, który wzdętymi nozdrzami głęboko wdychał w siebie ranne powietrze. Na marnej i porwanej zbroi macedońskiej miał on wspaniały płaszcz szafranowy, haftowany w palmy i ze złotym krajem, jedyny dar jego nieśczęśliwej matki. Czarny włos spadał po obu stronach twarzy wąskimi smugami. Na głowie miał kołpak barani.

Pewien czas szli obok siebie, nic nie mówiąc. Nagle odezwał się Arideos z sobie właściwą dziecięcą otwartością: „Podobasz mi się, Charipposie. Masz w swej istocie coś skromnego i prawego. Dobrze mi z tem, gdyż w swem życiu doznałem tylko obłudy i fałszu. Naprzykład ludzie, którzy ze mną przybyli do Azji, wszyscy mnie opuścili, bo nie mogłem ich zaraz zapłacić. A byłem im dobrym panem, możesz mi wierzyć. Bądź mi przyjacielem, Charipposie, zostaniemy przyjaciółmi“.

Słowa te przyjął Charippos z chwiejnym uczuciem. Nie był przygotowany na tak bezpośrednie oddanie się, i zmniejszało to jego ufność. Nieśmiało podał rękę wyciągającej się na przeciw niemu ręce Arideosa.

Obok przejeżdżały wozy, naładowane warzywem, mięsem i owocami, głucho dudniły

o kamienne płyty bruku, a kanałami prześlizgiwały się spokojnie małe statki ze zbożem.

„Poznaję teraz drogę!“ zawołał nagle rozradowany Charippos. „Od tego to mostu musimy pójść na lewo, obok obelisku, szedłem tędy wczoraj“.

Arideos w zamyśleniu patrzył w ziemię. „Jesteś u celu“, powiedział, wzdychając, „mój cel jeszcze daleki“.

Przemijające ale straszne przeczucie wstrząsnęło Charipposem. Zaczął iść prędzej, tak że Arideos ledwo mógł mu nadążyć. Dotarli do lasku oliwnego i tu Arideos zatrzymał się. Jego poczucie dostojności zostało urażone pośpiechem, jaki przynależy tylko niewolnikom. Położył się u stóp jakiegoś zielonawego pieńka i krzyknął na Charipposa, że przyjdzie za małą chwilę. Kusiło go, aby tu pozostać i marzyć, coś, co często napadało go chorobliwie i czemu nie umiał się przeciwstawić. Poruszały nim dręczące myśli i wstrząsały jego sercem.

Z kieszeni płaszcza wyjął pełną garść daktyli i nieco ciasta i począł jeść. Ale każdy kęs był mu wstrętnym. Zdawało mu się, że wszystkie przeszkody, na jakie natrafiała jego wola, wznosiły się murem i trzymały go w więzieniu. Odrzucił owoce i ciasto i splecionemi rękoma objąwszy się za kolana, ze zwątpieniem patrzył przed siebie. Było mu tak zawsze ze sobą samym: spazm duszy; nadmiar dążenia do nie-

znanego, nieosiągalnego, bezkształtnego celu; walka z własnymi marzeniami, bezbrzeżny smutek. Rozum odmawiał mu wtedy wszelkiej pomocy, wyobraźnia wszelkiej pociechy.

Charippos, schodząc po zboczu wybrzeża, zauważył wkrótce namioty swego oddziału. Ale co za widok przedstawił się jego oczom! Nie był to już obóz pokojowy, lecz zgiełk. Żołdacy przewalali się przez siebie, już zdala słychać było ich krzyki. Krzyczeli, wymachując rękami, a twarze ich były blade.

Skoro zobaczyli Charipposa, siedmiu czy ośmiu pobiegło naprzeciw niego.

Stała się niesłychana zbrodnia. Skradziono ciało Hefajstiona.

Z krzykiem upadł Charippos na ziemię.

Kapitan Agenor klęknął obok niego i potrząsał go za ramiona. Inni burzyli się i krzyczeli, jak przedtem. Świadomość winy dusiła ich i przygniatała. Stwierdzenie ich zdrożności na tem miejscu, zaniedbania przez nich obowiązku groziło im wszystkim śmiercią. Jedyńą ich nadzieją był Charippos. Wyśledzić zbrodniarzy? gdzie? kto to był? w której części niezmiernego miasta zatrzymał się? Zamieszanie stało się coraz większe.

Nagle rozebrzmiał ostry głos, i sto ust szepotało, bełkotało zatrwajające imię Perdikkasa.

Podtrzymywany przez Agenora, Charippos podniósł się powoli. Z twarzy jego znikł jaki-

kolwiek znak życia. Oderwał się od Agenora i z gorącym okrzykiem rzucił się do nóg Perdikkasowi, obejmując go za kolana.

Gwardzista zaczerwienił się i zapytał, co się stało. Podszedł Agenor i chciał mówić. Ale nie mógł, bo słowa bez głosu więzły mu w gardle. Jego wyciągnięta ręka wskazywała znieważony namiot zmarłego. Jednym rzutem, jednym skokiem był tam Perdikkas. Żołdacy patrzyli na ziemię, gdzie leżały potłuczone dzbany i porwane wieńce. Namiot, którego zasłona wejściowa była spalona, jakby spoglądał swem próżnem okiem na milczących.

Perdikkas opanował się prędko. Krótkimi pytaniami wycisnął z najbliższych stojących to, co chciał wiedzieć. Wobec Aleksandra on sam był odpowiedzialny. Pociągało to za sobą nieprzewidziane następstwa, skoro Aleksander dowie się o tem, co się tu zdarzyło. Z gwałtownym wysiłkiem Perdikkas zbierał w sobie całą przytomność umysłu, do jakiej był zdolny. Jego żółtawa twarz zmarszczyła się, białe brwi na nieładnem czole zjeżyły się jak chmury, i gdy cofał się wśród oczekujących w milczeniu żołdaków, już postanowił.

„Charipposie!” zawołał metalicznie brzmiącym głosem.

Charippos zatoczył się w środek naprędcy utworzonego koła. Dreszcz po dreszczu wstrząsał jego młodzieńczo piękną twarzą.

„Żołnierz, który opuści swój posterunek, musi umrzeć“, powiedział Perdikkas. „Gdy zrobi to dowódca, winien umrzeć trzykrotnie. Nie odwołując się do innych głosów, skazuję cię, tetrarcho, na śmierć. Izeosie! Eutiosie! Anytosie! czynicie waszą powinność!“.

Charippos tak silnie drżał dotąd w ramionach i nogach, iż wyglądało, jakby znowu miał upaść. Skoro wszakże dowiedział się o wyroku, właściwy mu spokój powrócił. Rysy jego woskowo białej twarzy skamieniały, niebieskie oczy nabrały ciemnego, stalowego blasku, zdawały się być wypełnione zmrożonem marzeniem jego niegdyś tak gwałtownej pychy. Zobaczył i zrozumiał, iż nie pozostało mu nic innego, niż umrzeć jako mężczyzna. Bohaterskim ruchem skrzyżował ręce na piersiach, gdy przystąpili doń trzej Macedończycy z wyciągniętymi mieczami. Odruchowo cofnął się o krok wstecz, odruchowo roześmiał się, poczem poczuł w piersi obłędny ból, w brzuchu coś tak zimnego, jak woda, i jęcząc, opadł na ziemię. Jeszcze chwila ciężkiej śmiertelnej trwogi, i było już po nim.

Perdikkas podszedł do oblanego krwią trupa i dał znak żołnierzom, aby zgromadzili się najbliżej niego. Stłumionym głosem zaczął mówić. Mówił, że właściwie oni wszyscy zasłużyli na utratę życia, i że istnieje jedyny tylko środek ratunku: niezłomne milczenie o zdarzeniach

nocy i ranka. Wezwał ich do uroczystej przysięgi, i żołdacy, oszołomieni radością, że wydostali się z tego tak tanim kosztem, podnieśli ręce. Sądzili, iż otrzymali od Perdikkasa znak łaski i miłości, gdyż jego opanowana, zimna istota nie dała im poznać, że działał jako winny między winnymi.

Perdikkas mówił dalej, że poszukiwania zrabowanych zwłok mają być zaraz wszczęte i prowadzone w tajemnicy. Potem rozkazał ciało Charipposa rozebrać, umyć, namaścić i tymczasowo złożyć je do otwartej trumny Hefajstiona. Wieczorem trumna, zamknięta w przygotowanym złotym sarkofagu, będzie przeniesiona do świątyni Serapisa.

Żołnierzom zimno przebiegło po plecach. Wydało im się to okropnem, gdy przedstawili sobie, że nieznacznym Charippos po śmierci dostanie się do wspianiałego domu, który będzie uczczonym i uświęconym żałobą Aleksandra. Ale od posłuszeństwa zależało ich życie, każdy rozumiał, iż chwila wahania mogłaby wszystko zburzyć, i głęboko w swych piersiach raz jeszcze utwierdzili w sobie postanowienie spżowego milczenia.

Gdy kilku żołdaków zabierało trupa, do gęsto zwartego koła wcisnął się jakiś mężczyzna, którego obecności nie zauważono w ogólnem poruszeniu. Pierwsi, którzy poznali w nim obcego, przytrzymali go. Był to Arideos. Pytał o Cha-

ripposa, nie odpowiedziano mu. Żołdacy usiłowali zatrzymać go w tyle, gdyż krew skazanego spływała jeszcze po ziemi, gdzie leżał.

Arideos przeczuwał coś złego. Chciał się im wyrwać. Wtem do zmieszanej grupy przyszedł Perdikkas. Z poważną miną zwrócił się do Arideosa i ostro powiedział: „Szukasz Charipposa? Zginął właśnie śmiercią zdrajcy. Ciało jego leży w wodzie kanału“.

Oczy Arideosa rozszerzyły się i straciły swój blask. Złożył ręce i głowa opadła mu na pierś. Zdawało mu się, jakoby los zwałił znowu w gruzy most, który wiódł do spełnienia jego marzeń. Nietyle nawet sam wypadek ranił jego serce, ile złośliwość, z jaką wybrał sobie godzinę. Niema dla mnie szczęścia, snuło mu się po głowie. Jak chłopię, stał wobec Perdikkasa i żołdaków, nie czuł ich niespokojnych, pogardliwych spojrzeń, nie śmiał pytać, ani patrzeć na nich. Żałował nie Charipposa, lecz przyjaciela, którego los odmówił mu raz na zawsze.

Perdikkas zauważył nagłą zmianę w wyrazie twarzy Arideosa. Osobliwe, iż coś w tych rysach uderzająco przypomniało mu nagle Aleksandra. Uśmiechał się ponuro.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.

DEMON PRZYBRANY W DIADEM.

Raptownie zaczął się w kraju babilońskim zimny, dżdżysty czas. Za nieskończonemi płachtami chmur skryło się słońce, tylko przy zachodzie czerwieniło pas, oddzielający niebo od ziemi. Olbrzymie chmury dzikich kaczek ciągnęły na północ, łagodna zieleń Eufratu zmieniła się na barwę brudno żółtą, kanały przepełniły się po tamy, a wojska, obozujące latem na trawiastych obszarach w górze rzeki, ściągnięto do miasta.

Aleksander dzień i noc w niewiele małych łódek błakał się po bagnach i nocował na ich pustych wybrzeżach. Często pieszo docierał do murów i rozwlekłym głosem sygnałowym wołał na strażę blankowe. Z miasta przychodziły poselstwa za poselstwami; szukali go architekci, budowniczy okrętów, posłowie, dowódcy; unikał każdego słowa, każdej twarzy. Jego samego

zdumiewało to bałamucenie się, nieszczęsne ociąganie, podobne do poruszeń kogoś zbłąkanego w mrokach. Jeździł tu i ówdzie, z bagien na kanały, z kanałów na bagna. Coraz uciążliwszem było obozowanie i rozstawianie namiotów na rozmokłej ziemi, z małej liczby jego towarzyszy niektórzy zachorowali i zmarli ciężką śmiercią, z uszami pełnemi burzliwego zgiełku, podczas gdy deszcz moczył ich ciepłe jeszcze członki.

W taką burzliwą noc, gdy deszcz jak biczami siekł w ściany namiotu, Aleksander miał sen. Śniło mu się, że nagi siedział na tronie, gdy przyleciały cztery młode orły i uniosły go wysoko w górę i daleko w niezmierzoną przestrzeń. I nagle wszędzie pełno było orłów, zlatywały z nieba, wzlatywały z ziemskich przepaści, i każdy z nich trzymał w szponach odciętą krwawiącą głowę ludzką. Ich błyszczące oczy wydawały się jak miliony iskier, zbliżały się, jak przerażająca czarna chmura, i naraz szumiała jakaś istota, zupełnie niewidzialna aż po przeraźliwie otwartą paszczę. Aleksander czuł, że schwycono jego ciało i rzucono na piasek, dokuczający mu niczem ukłócia igieł, na drodze zaś stał człowiek, w milczeniu i spokoju piłujący pień sykomorowy na szerokie deski. Z jakiejś niepojętej przyczyny wygląd tego człowieka był tak odrażający, że Aleksander wybuchnął długim krzykiem, przez który obudził się

nietylko on sam, ale i wszyscy ludzie w sąsiednich namiotach. Wpadli doń. Okryty potem, drżąc, siedział prosto i zgaszonymi oczami wpatrywał się przed siebie.

Gdy w godzinie wieczornej przebywał na wodzie, podjechała doń łódź z frygijskim kapitanem i jego niewolnikiem. Przybywał on z królewskiego pałacu w Babilonie, wioząc kilka wierszy, napisanych ręką Roksany; jedno pytanie, jeden nieśmiały wyrzut. Aleksander przeczytał. W głębokiem zamyśleniu spoglądał na niezmarszczoną powierzchnię wodną.

Myślał o przeszłości, która zdawała się odległa o tysiąc lat. Skały sogdjańskie, zanurzone w pełnem legend chmurnem niebie baktryjskiem; szumiące odwieczne lasy nad nieznane-
mi rzekami; Roksana w baśniowym stroju, obraz ze złocistego księżyca jej gór, tak piękny, jak natura, która go stworzyła i zdawała się drżeć z zawiści i zazdrości udzielonego życia tej postaci z ciała i kości. Zdobył ją, jak wszystko wówczas zdobywał i przygarniał do siebie: kraje i morza i nieznana przyszłość. Miłosny sen! szczęście czterdziestodniowe, sen czterdziestu nocy! Zapomniał swych zamiarów, oczekującego nań wojska, twarzy i nazwisk swych przyjaciół. Świat stał się ogrodem, u którego bram cichły burze i los przechodził mimo.

O północy Aleksander z towarzyszami pociągnął przez bramę Isztary przybraną we lwy

ulicą procesyjną i otworzył się przed nim płonący światłami pałac królów Babilonu.

W niewiele dni później powrócił Meleager ze swej wyprawy przeciw Kosejczykom. W dwóch bitwach powstańczy lud zniszczył doszczętnie. Stracił przytem tylko sześciuset ludzi, ale jemu samemu odcięto lewą rękę. Radośnie zdązał zwycięzca do Babilonu, oczekując na uznanie swego pana. Rzecz wszakże osobliwa, Aleksander wzdragał się przed oglądaniem go i rozmową z nim. I nietylko to, posłał mu upokarzający rozkaz, aby zawiózł gromadę skazańców na wyspę Rosalę na Perskiem morzu.

Meleagra ogarnęła rozpacz i chciał się zabić. Jego przyjaciele zgromadzili się na naradę; jeżeli taka jest nagroda najwierniejszych, to posępną jest przyszłość. Perdikkas raz jeszcze ofiarował się mówić z Aleksandrem. Napróżno ostrzegał Eumenes. „Przed Meleagrem stoi cień Hefajstiona“, mówił znawca dusz. Perdikkas jednak poszedł.

Gdy wypowiedział swą prośbę, przestraszył go wybuch najdzikszego gniewu. „Czy już zapomnieliście słuchać?“ krzyczał Aleksander. „Czy rozkazy moje wydawał jakiś szaleniec, że każdy może przychodzić po to, aby je odwołać? Czy spełnione usługi nagradzać mam według waszych wskazówek, czy według własnego mego uznania?“.

Perdikkas zamilkł. Nazewnątrz szumiała poranna burza, wicher wył na dachu wzdłuż wyciągniętej sali. W blasku błyskawic świeciły złocisto żółte postacie na błękitnem tle ściany i żarzyły się drogie kamienie, zdobiące rzeźby na drzwiach.

Naraz twarz Aleksandra osłupiała. Podniósł się; powłóczyście spojrzenie rozgorzałych oczu było powstrzymywane czemś niezrozumiałem. Wśród wielu oblicz zobaczył jedno, które zdawało mu się jego własnem, tylko obrzydliwie i odrażająco wykrzywionem. Tak, to było jego własne czoło, ale opuściła je już ożywiająca moc czynu; jego własne oczy, ale zmęczone rojeniami; jego własne usta, ale wyciągnięte od wahania zgnuśnialego czucia.

Febrycznym ruchem schwycił Aleksander za ramię jednego ze stojących obok niego pięknych chłopców. „Kto to jest?“ zapytał, ale w tejże chwili poznał go. Był to Arideos. Drżącą ręką otarł Aleksander swe czoło, pokryte potem, i jak zgnębiony opadł z powrotem na siedzisko.

Co to było?

Gdy załatwił konieczne sprawy, kazał wywołać imię Arideosa. Ów jednak opuścił już salę. Perdikkas ofiarował się przesłać mu zlecenie; przydzielił mu mieszkanie w starym pałacu w przeciwnej stronie miasta.

„Podjąłem go z ulicy“, mówił Perdikkas; „trzeba mieć nad nim pieczę, ostatecznie jest przecież synem Filipa. Cierpi na bezładne przywidzenia, nocą krzyczy przez sen, bywa posepny, to znów nadmiernie wesoły i bardzo dobrze gra na fletni. Nikt nie może dojść z nim do ładu“.

„Syn Filipa“, powtórzył Aleksander, potakując ruchem głowy ze złym uśmiechem i zamykając oczy. „Gdy lew dzieli łoże z małpą“, mówił dalej, „wówczas powstaje błąd natury. Trzeba mu dać pieniędzy, ile potrzebuje, i niewolników, ilu zażąda. Zapłacę dział jego krwi; nie może być zbyt droгим, nawet gdyby każda jej kropla miała kosztować satrapję“.

Aleksander opuścił salę bocznem wyjściem. Na schodach, tarasach, w halach, salach, podworcach i przedsionkach panował niesłychany pośpiech, ścisk, pytania, wołania, przyjścia i wyjścia. Byli tu kapitanowie, posłowie, posłańcy, proszący i popierający prośby; przechadzały się tu i tam, śmiejąc się, kosztownie wystrojone dziewczyny, możni Babilończycy czekali z niewyczerpaną cierpliwością, aż będą mogli pomówić z dozorcą pałacowym, niewolnicy biegali tu i ówdzie, eunuchy o czarnych twarzach zgasłym wzrokiem czepiali się ścian, chmarami siedzieli w kuczki wróżbici, znawcy znaków i uczeni w snach i przepowiadali z lotu jaskółek, bocianów, dzikich gęsi, z płomieni i dymu pochodni,

z zębów liści drzewnych, z promieni diamentów, z figur geometrycznych, z żyłek marmuru, z rys popękanych murów, ze wznoszenia i opadania jesiennej mgły, z biegu i kształtu chmur, z tonów, wydawanych przez miedziany dzban od wiatrem poruszanego skórzanego biczyska, i z prawie niewidocznych cieni, jakie sny pozostawiają na twarzach.

Aleksander wszedł do okrągłej komnaty i ze złożonego stołu hebanowego, zastawionego flaszками z maściami, pudełkami wypełnionymi pachnącymi pudrami, chalcedonowemi szkatułkami i wazami z farbowanego szkła, wziął metalowe zwierciadło. Długo przypatrywał się swym rysom w niepewnem świetle. Wreszcie wzrok jego skierował się odruchowo na ponuro lśniące miedziane okucie odrzwi.

O Boże, pomieszany modlił się przed siebie, daj mi jasność. Daj mi wiedzieć, dlaczego mam stać się innym. Oddaj mi to, co straciłem. Jakżeż jest ze mną, wielki Ojczy, dokąd wypełniła się moja miara? Bądź mi przyjazny, a ofiaruję ci tyle, ile nie ofiarował ci jeszcze żaden ze śmiertelnych. Bo któż mógłby mi tu czego odmówić? Zechcesz ludzi, ofiaruję ci ludzi, sto, dziesięć tysięcy, sto tysięcy, ile zażadasz. Zlituj się nademną, wysoki panie na niebiosach.

Dni płynęły, płynęły... Aleksander nie zaznał wypoczynku. Zdawało się, że poganiamy a równocześnie wstrzymuje go obiema pię-

ściami, jak powstrzymuje się ogniście dzikiego rumaka: z pochyloną szyją, z nabrzmiałemi żyłami w skroniach, z otwartemi, wyschniętymi ustami, z mokrym od potu włosem, z powiekami szeroko rozwartemi i ze wzrokiem z odpowiadającą najwyższemu niebezpieczeństwu pewnością przykutym wprost do bliskiego zwierzęcia.

Podczas jednej uczty, którą wydawał możny Babilończyk Nidintubel, otrzymał Aleksander wieść, iż do Babilonu przywieziono posąg Hefajstiona, wykonany przez jednego z samijskich rzeźbiarzy. Aleksander pił wiele. Kazał natychmiast dostawić posąg.

Rozkaz spełniono. Na wozie ciągnionym przez woły przywieziono wyjęty już z drewnianego opakowania, jeszcze tylko w wełnę i niegarbowaną skórę owinięty marmur, który ostrożnie przeniosło do sali biesiadnej dwudziestu etjopskich niewolników.

Wśród milczenia gości zbliżył się Aleksander do bezkształtnej masy, za którą winien był spoczywać obraz Hefajstiona. Kilku dowódców pośpieszyło, aby mieczami rozciąć osłonę. Aleksander powstrzymał ich. Drżał. Sposepniałym wzrokiem przebiegał po wielkiem zgromadzeniu, po wielu znajomych sobie twarzach, w których malował się wyraz obłudnej pokory, i żałował tego, co zrobił. Obawiał się wynurzenia się marmurowej twarzy. Zdawało mu się, że

wydobywa duszę z krainy cieniów, i obawiał się, że będzie przez nią widziany. Bał się.

Wtem z górnego końca stołu rozległ się nagły i ostry głos: „Uwieńcz go jeszcze diademem, Aleksandrze, jak wówczas w Suzie! Czemu się ociągasz? Co należało się żywemu, będzie sprawiedliwym i dla zmarłego“.

Bezgłośna cisza, jaka nastąpiła potem, była tem dokuczliwszą, że Aleksander stał, jakgdyby nic nie słyszał. Nie wiedział, czyj to był głos, i nie chciał wiedzieć. Owinięty marmur kazał znowu zabrać, wrócił na swoje miejsce przy stole i pozostał pośepnym i zatopionym w sobie.

Ciało jego przybrało nieco na tuszy, zwłaszcza szyja uderzająco mu zgrubiała. Ciemno pożądlive spojrzenie pozostało to samo, dopóki siedział lub leżał; przy najmniejszym wszakże ruchu, gdy chodził, przy każdym słowie, które mówił, płonęło zarem z długorzęsych oczu, których białka lśniły błękitem silniejszym, niż turkusy. W górnym rzędzie zębów powstała luka; przed kilkoma dniami wyleciał mu nagle jeden z przednich zębów. Gdy mówił, było to widoczne i działało tem niesamowiciej, że pozostałe zęby były bardzo piękne.

Nocą przyszły kobiety. Wchodziły bojaźliwie, ich niewinne spojrzenia i ruchy trzymały na wodzy każdą chęć zbliżenia się do nich, oczy miały spuszczone, usta surowo zamknięte. Wydoskonalily tak sztukę uwodzenia do najwyż-

szego napięcia. Powoli zmieniały się ich postawy, czerwieniły się policzki, otwierały się pożądlive usta, oczy rozbłyskały chorobliwym ogniem, rozpuszczały włosy, zrzucały z siebie szaty, z podstępem wyrachowaniem jedną po drugiej, wówczas znikł wszelki wstyd i wśród zgiełku muzyki wszystkich porywały swą rozkoszą.

Aleksander obojętnie przyglądał się przez chwilę wrzawie. Wkońcu podniósł się i poszedł. U bram czekały kryte lektyki. Deszcz był ulewny.

Bezgłośnie położył się Aleksander i wpatrywał się w latarnię rogową, zwisającą pośrodku lektyki. Różowo-brunatne światło oblewało srebrem tkane okrycia i poduszki, tak, że migotały niespokojnie, jak ruchoma woda w świetle księżyca. Przysłuchiwał się szmerowi i pluskaniu deszczu. Czuł się tak samotnym, jakgdyby znajdował się wśród morza, w głębi morza. Serce miał ściśnięte. Głowa go bolała, usta paliły. Z wytężeniem nasłuchiwał ludzkich głosów z zewnątrz. Słyszać było tylko jednostajny głos rzezańca, wyprzedzającego tragarzy i niewolników. Długotrwały dreszcz przebiegł jego ciałem; od ciemienia przez kark i po lędźwiach zbiegł aż do stóp, jak lodowato zimny olej.

Na ruinach świątyni Marduka pracowało wyżej dwunastu tysięcy ludzi: niewolnicy, jeń-

cy i wyzwolenicy, Syryjczycy, Baktryjczycy, Egipcjanie i Hebrajczycy, nad usunięciem piasku, połamanych cegieł, płyt glinianych i alabastrowych, bloków bazaltowych i granitowych, zmurszałych belek cedrowych i wygrzebanych naczyń. Olbrzymia chmura pyłu rozpościerała się nad placem, wielkim, jak greckie miasto.

Dwa razy przychodzili do Aleksandra posłowie od Hebrajczyków. Błagali o swój święty dzień uroczysty, o sabbat; w dzień ten chcieli być wolni od pańszczyźnianej roboty. Prastaremi pismami udowadniali, że nawet ich Bóg, którego uważali za najpotężniejszego ze wszystkich bogów, odpoczywał w sabbat, gdy w sześć dni stworzył świat.

Twierdzenie to wywołało głośną wesołość wśród obecnych filozofów greckich. Ale Chaldejczycy ujeli się za wyszydzonymi. Nie przeczyli Bogu Judejczyków, przeczyli tylko jego wszechmocy. Uważali go za boga, podległego wielkim bogom babilońskim.

Napróżno prosili Hebrajczycy.

Przyszli po raz trzeci. Przysłali swych najgodniejszych mężczyzn. Aleksander wysłuchał ich spokojnie, a gdy skończyli, powiedział ponuro: „Jeśli tak silnie wierzycie w tego Boga i jego prawa, zwróćcie się do niego, a nie do mnie. Może być, iż będzie on silniejszy odemnie“.

Na to wystąpił najstarszy z nich i, ku prze-
rażeniu wszystkich obecnych, pogardliwie splu-
nął na podnózek tronu. Zerwał z siebie szaty
i przeklął Aleksandra i jego ród.

Został rzucony na pożarcie lwom w królew-
skim pałacu. Pozostałych zakuto w kajdany
i uwięziono w żelaznych klatkach, znajdujących
się przy bramie Beltis w pobliżu wielkiej hali.
Przykucnięci w nieczystości i plugastwie, dzień
i noc spędzali na żarliwych modłach, z twarza-
mi obróconemi na zachód, w kierunku Jerozo-
limy, małego miasta syryjskiego, gdzie znajdo-
wała się ich święta świątynia.

W następny sabbat wszyscy Hebrajczycy
wzbraniałi się od roboty. Dozorcy siekli ich bi-
czami i knutami, szczuto ich dzikimi psami
baktryjskimi; lidyjscy żołdacy skierowali na
nich nastawione oszczepy; wszystko napróżno.
Pozwalali się bić, uderzać, gryźć i kłuć, i żaden
krzyk skargi nie wydobył się z gęsto skupionych
zastępów. Zawiadomiony o tem namiestnik
Stamenes ukazał się na placu, ale rozruch
wziósł jeszcze i objął więcej ludzi, żołdaków,
kramarzy, marynarzy i masę próżniaczej gawie-
dzi. Stamenes posłał po Aleksandra, który był
przy bramie słonecznej, gdzie miano zburzyć
część muru miejskiego, z którego cegła miała
być zużyta na budowę stosu na uroczystość po-
grzebu Hefajstiona. Aleksander przybył.

Dzień był jasny. Wiał zimny, wilgotny wiatr. Ziemia była pokryta zwiedłymi liśćmi, pod którymi leżało wiele pstro lśniących piór pawich. Aleksander spoglądał wokół na przepętnione ludźmi pole ruin. Tuż koło niego, między dwoma rozwalonemi, od dymu dawniejszego pożaru zczerniałemi murami leżeli zabici i ranni. Pokąsani przez psy, jęcząc, przewalali się w szerokich kałużach krwi. Jakiś młodzian, z otwartemi ustami, ale bez krzyku, jak opętany, biegał w kółko. W obu rękach niósł swą poszarpaną odzież. Inny, któremu krew ściekała po twarzy, zagrzewał swych braci, aby mężnie cierpieli.

Namiestnik od dołu spostrzegł Aleksandra i skierował swego muła na wzgórze. Aleksander odwrócił się od niego z pełną odrazą. Ów Stamenes był kiedyś smukłym, wysokim i mocnym. Teraz ciało jego nabrzmiało i zniekształciło się, tak że nie mógł ani chodzić, ani jeździć konno. Twarz jego stała się białą bryłą mięsa, w której bezradnie tonęły oczy i usta, skórę pokrywały wrzody, z uszu i nosa ciekła ropa. Tak odmienił go Babilon.

Cienkim głosem zapytał, co teraz robić i, śmiejąc się, wyciągnął nagą, maczugowatą tłuścą, w szerokie złote pierścienie ubraną rękę. Aleksander milczał ponuro, ale nagle silnie drgnął całym ciałem. Z szarą jak popiół twarzą osłupiał. Z drżącej ręki wypadły cugle.

Spostrzegł Arideosa gdy wśród zastępu żołdaków atakował bezbronnych Judejczyków. Wyciągnął miecz i z ust jego wychodził bezustanny okrzyk, którym sam siebie zagrzewał się do czynu. Jego twarz, cała jego osoba była strawiona bezmyślną namiętnością. Ruszał się, jak dziecko, gdy upojone uczuciem okrucieństwa, wtyka kij w mrowisko. Tak samo było z nim. Arideos pragnął się zahartować widokiem krwi. Troskliwie podzielił właściwości, jakie prowadzą do wielkich czynów; chciał wzmocnić chwiejną wolę, zabić łagodne głosy duszy i nie zważać na ból, jaki mu to sprawia.

Aleksandrowi zdawało się znowu, że w tej chudej twarzy z nawpół otwartymi, o brakujących zębach ustami, widzi sam siebie w nierozumnem wykrzywieniu, jakgdyby cień pożyczył sobie rysów jego zewnętrznej istoty, aby wieść jakąś tajemniczą, żalosalną grę.

Z nagłym pośpiechem rozkazał zakończyć rzeź i przyznać Hebrajczykom ich święto.

Wróciwszy do pałacu, wysłał ludzi, aby sprowadzono Arideosa. Dopiero pod wieczór odnaleziono go w dzielnicy Suzańskiej pomiędzy sforą napółwygłodniałych psów, których — niczem łagodny pasterz — karmił chlebem pszennym. Powiedziano mu, że Aleksander chce z nim mówić. Usłuchał skwapliwie. Niewolnicy nakłonili go, aby siadł na przypadkowo pasącego się w pobliżu osła, żeby prędzej dostał się

do pałacu. Niebawem jechał tam na grzbiecie szarego zwierzęcia, niewzruszony, z kurczowym uśmiechem na ustach.

Dręczony nieznośną męką, błakał się Aleksander po komnatach pałacu. Wyczerpany umysł nie był już w stanie ujmować rzeczywistości w całej pełni, tak że wszystkie te hale, dziedzińce, korytarze, krużganki i sklepienia ukazywały mu się, jak nierozsądne sny. Tylko sennym umysłem przyjmując to wszystko za prawdę, wszedł do komnaty, gdzie była złota palma i winna latorośl ze złota, której grona były zrobione z cudnych szmaragdów i indyjskich karbunkulów, żółtymi schodami zeszedł na dół do innej komnaty z krzesłami, łóżami i stołami ze szczerego złota, ujrzał malowidła ścienne, jak rzeczywiste życie: postać kobiety z potrójną koroną i sługę ze srebrnym kielichem i parami galopujących jeźdźców, z sokołami w garści, uciekających przed uskrzydłonemi gryfami, i boską postać, wznoszącą się z półksiężycą, jak z legowiska. Wszedł do sali, której ściany były pokryte cudownemi napisami; królowie przeszłości objawiali następnemu światu swe czyny i dzieła: na swój czas rzeczy pełne sławy i niezwykłości, teraz przebrzmiały i bez znaczenia. Oczami pełnemi bólu od takiego dawnego snu, mijał posągi z hebanu, srebra i czarnego bazaltu, bogato zdobione pilastry i łukowate fryzy, kolumny cedrowe, wykładane

złotemi łuskami, bronzowe drzwi, obracające się na zawiasach o grubości ud męskich, bogate dywany, pokryte postaciami mistycznych zwierząt, wspaniałe tkaniny i hafty, stoły ofiarne ze złota i kości słoniowej. Marznąc, przeszedł przez wielką halę biblioteczną, lodowem tchnieniem wiało nań czarodziejstwo i mądrość ducha, zagrzebanego tu w grobowcach.

Nadeszła noc. Aleksander przyszedł na dziedziniec przed mieszkaniami kobiecemi. Pożądał twarzy ludzkiej, chciał spojrzeć w oczy ludzkie, chciał odpocząć, zapomnieć i nie myśleć. Rzezańcy rzucili się plackiem. Młode niewolnice niosły pochodnie. Podniosły się ciężkie kotary, ponuro błysło światło na purpurowych ścianach. jeszcze kilka kroków, i stanął przed Roksaną.

Była niewysłowienie piękna.

Smukła, o długich nogach, ruchy jej miały w sobie coś nieokreślonego, sennie melancholijnego, jak ruchy szlachetnych zwierząt w niewoli. Włosy, czerwono-żółte jak żółtko jajowe, przysypane złotym pyłem, miała uczesane w jeden węzeł, na grecki sposób, głowę okalał pasek skórzanym, ozdobiony w deseń. Miała duże, szarobłękitne, szeroko otwarte oczy, malowało się w nich smutne oczekiwanie w długiej samotności. Nosiła łańcuch ze stu siedemdziesięciu pięciu różnobarwnych drogich kamieni, przysłany jej przez Olimpias na podarek ślubny. Z ramion

aż do złotych wstążkami w kostkach przybranych nóg, po nieskończeniu pięknej tkaninie jej szaty, siedemnastoma długimi sznurami zwiisały olbrzymie, różowo lśniące perły, wyłowione w Bahramie.

W postaci jej było coś tak powściągliwego i spłoszonego, jak u kobiety, stojącej nago przed zgromadzeniem ze świadomością zupełnie przyćmioną od wstydu. Cudowne, białe jak alabaster czoło drżało.

Niegdyś wśród ludzi swego narodu uchodziła za bóstwo śmiechu. Artysta grecki, żyjący na wygnaniu w Baktrze, zrobił posąg, w którym Roksana, z wysoko wzniesioną głową, obciążoną kiściami winogron, z wyrazem zadowolonej beztroski w swych rysach, została uczczona jako genjusz radości. Sposepniało teraz jej płaczem zgaszone serce. Nie była stworzona na to, aby wieść życie za murami, zdala od lasów i gór, bez lata i słońca. Czuła się osamotnioną i przybitą, walczyła z dzikimi zachciankami, i wszystko, co stać się w niej mogło dobrem i jasnym, było złem i ponurem.

Aleksander zawiódł ją na łożo. Co się stało? Nigdy nie widziała go takim. Na jego niebieskawo białej twarzy malował się taki smutek, że po raz pierwszy poczuła go naraz bliskim sobie, jako mężczyznę i człowieka. Rozumiała, że on mówić nie chce, a gdy poczuła jego spojrzenie, tak żądne życia, tak mocne, tak ostre, tak pło-

mienne i tak mroczne, że usta, które mu podała, ze strachu bezwolnie się zamknęły, wiedziała, że w duszy jego dzieje się coś przeraźliwego, i oddała mu się, zapominając o własnem swem cierpieniu. Nigdy tak nie odczuła wielkości jego istoty, jak w tej godzinie jego słabości. I teraz niedocieczony wyrok z góry zrządził, że gdy ich nagie ciała spoiły się ze sobą, obie ich dusze objął płomień życia, i że w łonie miłującej kobiety począł się płód i wydostał się w przestrzeń istot żyjących, co we wszystkie poprzednie godziny zwykłej rozkoszy zmysłowej było nieporuszonem i pozostało nicością.

Czysto świecił księżyc na stalowo błękitnem niebie, gdy Aleksander znów samotny kroczył murowanym krużgankiem pałacu w stronę wiszących ogrodów. Czarne bloki budowli na prawo zdawały się pogrążone we śnie. Na lewo w głębi lśniły wody królewskiego kanału. Zwolna mury pozostawały na prawo i na ich miejsce wystąpił las ciemnych cyprysów. Na jednym skřęcie drogi cały Babilon leżał u stóp Aleksandra. W zielonawem świetle błyszcząły wody, w dali migotały światła, poruszały się w górę i na dół, jakby niesione wiatrem, jakby prowadzone niewidzialnemi rękami. W ogrodach i na kawałkach pól paliły się ognie żołnierskie, czerwono-żółte, jak włosy Roksany w mroku jej komnaty. Aleksander patrzył na niezliczone dachy, z których tu i ówdzie wyrastały wieże

gwiaździarskie. Zobaczył świątynię spokojnie spoczywającą w świetlistej mgłę księżycą; mieszkali tam bogowie, Amu i Nebo, Isztar i Ea, Szamasz i Dibara, Anahita i Cyrpanitu, Astarte i Moloch: bogowie w walce z bogami, a przy nich bez tchu czatujące narody, napół wierzące i wahające się.

Skoczyła ropucha. Mimo chłód nocy, Aleksander miał ochotę na kąpiel. Skierował się do kwater parkowych, spadających aż do brzegu Eufratu. Dwadzieścia olbrzymich ścian kamiennych unosiło ten las pinij, cedrów, palm, granatów, cyprysów, akacyj, warzynów, wiązków, oliwek i topoli. Otwartemi, szerokimi łóżyskami przewodów spływała zielono pieniąca woda z tarasu na taras. Potężne marmurowe i alabastrowe stopnie, zawile wiodące w głąb, błyszcząły, lśniąc w księżycu. Ze srebrnych rur studziennych spokojnie płynęła woda do podpartych przez lwy kamiennych basenów. Barwne mury porastało wino i bluszcz, zewsząd dochodziły przymilne głosy ptaków, zapach drobnego rumianku przy najlżejszym powiewie wiatru napełniał powietrze słodyczą. Czarownie wyglądały słupy, podpierające mury, ruchliwość żwawych światła i mistycznych cieni ożywiała wszystkie martwe przedmioty.

Aleksander zeszedł jasnym tarasem, za wierchołkami cedrów wynurzyła się fasada pałacu; zdawała się wyższą, niż była naprawdę,

a wieloczłonowe mury ze złożonemi blankami i wieżyczkami były podobne do lśniącej ściany lodowca wysoko w górach Armenji.

Pośrodku, w najgłębszej ciszy, okrążony w koło gęstemi zaroślami wawrzynów, znajdował się basen wodny. Po jego zwierciadle pływało pięć łabędzi, fantastycznie milczących. Na wąskim zakręcie stawu wznosiło się krzesło trońowe z czarnego marmuru, obok, niby strażę, dwa młode modrzewie. Aleksander rozbierał się. Zdjął opończę wojskową i ubiór, rozwiązał rzemień obuwia i wszystko to razem z mieczem złożył na marmurowej ławie. Wreszcie zdjął diadem i również tam go położył na główicy miecza. Zupełnie nagi, powoli kroczył po białych płytach, i powoli, nie bez dreszczu od zimna, wszedł w wodę.

Zdawało się, jakoby żywioł tylko niechętnie ustępował przed jego ciałem, zdawało się, jakoby się burzył. Słabe fale, jakie się podniosły, lśniły w promieniach księżyca, jak owe srebrne hafty w lektyce, gdy oddalał się z uczty u Babilończyka.

Łabędzie bezszelestnie rozbiegły się dalekimi łukami. Będziecie żyły, przebiegło Aleksandrowi przez głowę. Będiesz żyła, mówił do wody. Niebo będzie wyrastało sklepieniem, setki, tysiące lat. Księżyc zawsze będzie nachylał swe oblicze, drzewa będą rozwijać swe konary i narastać, słój za słojem, po milion razy

będzie się stawał dzień i noc, i zwierzę i człowiek i trawa i kamień i powietrze i ogień, wszystko jest obdarzone życiem, tylko ja sam, ja mam umrzeć?

Woda sięgała mu już do piersi. Znowu odrosłe bujne kędziory były mokre. Z dołu, od miasta dochodził śpiew, głuchy i ciężki, odległy i smutny, jak pieśń Linosa, którą Grecy opłakują miniony rozkwit lata. To Babilon mówił we śnie. Wystrzelił czerwony płomień, pokrył dolną, brudną lśniąca część nieba i zabarwił górne wierzchołki topoli. Może był to wybuch pożaru w dzielnicy kupieckiej, może zabawiali się żołnierze zapalaniem źródeł smoły ziemnej, może jakiś drugi Kondanyo szykował sobie tam łożę z płomieni, aby umrzeć.

Znowu rozległ się śpiew, daleki i pusty. Luna zbladła. Wy wszyscy, którzy śpiewacie, będziecie żyli, myślał Aleksander. Podniósł rękę, nabrał pełną garść wody i dał jej spłynąć, tak że lśniła w świetle księżyca, jak łańcuch klejnotów. Zrozumiał, iż było niemożliwem utrzymać według własnej woli to niewyjaśnione, co nazywa się życiem, jak niemożliwem jest, aby jego palce utrzymały wodę. Żadnej już pełnej pociechy możliwości; może zanim nadejdzie lato, nie będzie już tego serca. I poco wyruszał, zdobywał państwa, mordował ludzi, zakładał miasta, ustanawiał prawa, zrzucał z tronów

króli, tracił przyjaciół, znieważał bogów, poco czuwał nocami, układał plany, poco sława, poco bogactwa, poco piękno, poco nienawiść i poco miłość, dlaczego śmiał się i dlaczego płakał, jeśli to wszystko było tak, jak właśnie było?

W tej tajemniczej chwili rozpływał mu się świat, za którym dążył, jak Iksjonowi żyjący kształt w jego ramionach. A jednak z czarnej przepaści braku celu i myśli, jak diament promieniowała świadomość potęgi i siły samego nagiego bytu i każde tchnienie było rękojmą terażniejszości i pomostem w przyszłość.

Prąd wiatru zrzucił na wodę suche liście, między niemi i duży liść palmowy, który wyglądał, jak oderwane skrzydło sępa. Nagle nadbiegli niewolnicy z wysoko wzniesionemi pochodniami. Dozorca ogrodów zauważył kąpiącego się i, ostrożnie podpełznawszy, poznał Aleksandra. Wychodził właśnie z wody, gdy niewolnicy wyszli z zarośli. Stanęli obezwładnieni strachem: na marmurowem krześle tronowem siedział człowiek, który narzucił ubranie Aleksandra na swoje własne i królewski diadem miał na skroni.

Nawet Aleksander krzyknął przeraźliwie. Jak wrosły stał przed stopniami kamiennego krzesła.

Ten, kogo zobaczył, był to Arideos, Arideos z diademem na głowie. Usta jego ożywiał ma-

rzycielski, radosny uśmiech, podczas gdy w jego oczach malował się straszny, zwierzęcy smutek. Otworzyły się usta z brakującymi zębami i Arideos powiedział: „I ja jestem Aleksandrem“.

ROZDZIAŁ JEDENASTY.

ROZMOWA.

Arideos napróżno czekał w pałacu na Aleksandra. Gdy zapadła noc, opuścił przepyszną komnatę, do której zawiedli go niewolnicy, błakał się przez chwilę wkoło, nie znajdując wyjścia, i w końcu dostał się do ogrodów. Wydało mu się, że wędruje po błogo pachnącym obłoku; w najcudowniejszy sposób zatracił pamięć samego siebie, i niepokój jego istoty ustąpił miejsca błogiemu spokojowi. Czuł się panem pałacu, do niego należały ogrody, przed nim korzył się Babilon. Tak zupełnie zapomniał o rzeczywistości, że już obmyślał rozkazy, jakie po powrocie do pałacu wyda. Przenikało go oszałamiające poczucie królewskości, gdy tak kroczył wałem, spoglądając na Eufrat i widząc tysiące robotników, pracujących nad rozszerzeniem łożyska rzeki. Przesuwano tam wózki z piaskiem, palono cegłę, topiono asfalt, rżnięto

deski, żarzono i kuto żelazo, trzeszczały tam ognie, cieśle śpiewali pod uderzenia siekier, dozorca wołał w noc przez swe tuby. Poszedł dalej między ogrodzenia i zarośla, alejami drzew i zdobnemi drogami, krok jego stawał się coraz lżejszy, ruchy coraz bardziej książęce. Przypadek zawiódł go nad brzeg wodnego basenu, gdzie kąpał się Aleksander i przed siedzisko kamienne, na którem leżały królewskie szaty i diadem. Śmiejąc się, umocował sobie diadem na czole i narzucił na ramiona purpurowy płaszcz, bez trwogi, bez zdziwienia. Usadowił się na stolcu tronowym. Cały jego organizm przenikał głęboki, harmonijny spokój, z błogiem uczuciem wsłuchiwał się sam w siebie. Gdy Aleksander stanął przed nim nagi, najpierw go nie poznał, opamiętały go dopiero migoczące pochodnie niewolników i ich przerażone miny.

Tylko śmierć mogła okupić tę zbrodnię. Ale Aleksander nie śmiał wygłosić takiego wyroku. Starał się zatrzeć nieszczęśnie wieszczące zdarzenie i obrócić je w żart, chciał odjąć mu pozór powagi i wydał rozkaz, aby Arideosa wychłostano, jak niewolnika. Wykonawców kary wprawił Arideos w zdumienie bohaterstwem, z jakim zniósł ból. Gdy skórę rozrywały mu uderzenia bicia, z jego mocno zaciśniętych warg nie wyszedł ani jeden głos i wyraz jego oczu nie okazywał strachu; malowało się w nich

obłądne uduchowanie. Perdikkas, który nadszedł, kazał ukończyć chłostę. W jego współczuciu dla bękartu Filipa Macedońskiego tkwiła ostatnia iskra przywiązania do poprzedniego władcy.

Nadeszła wiosna; wszystko stało w kwieciu. Ogrody pokryły się czerwonymi makami, po murach pięły się niebieskie powoje. Kobiety nosiły do przedsionków świątynnych naczynia miedziane z różami. Codzień świętowano. Żołnierze chcieli wyzyskać radosny czas, jaki dawał im jeszcze Babilon, gdyż po uroczystości pogrzebu Hefajstiona wojska miały wyruszyć. Niechętnie oddawali się snowi, wyczerpani hulanką szli na wojskowe ćwiczenia. W milczeniu drżeli przed oczekującymi ich niedostatkami wojennego pochodu i poddali się raczej zadowoleniu, niż trosce, gdy rozeszła się wieść, że Aleksander zachorował, przeziębivszy się w nocnej kąpieli.

W dzień uroczystości pogrzebowej na ulicach w okolicy bramy słonecznej obozowały gęste tłumy ludzkie. Wielu od ubiegłej nocy dostało się w pobliże po blankach i dachach. Wysoko nawodnione wiosennymi wodami kanały roiły się wszelkiego rodzaju statkami. Poważny szmer niezliczonych głosów brzmiał, jakgdyby przeciągniętą od jednego końca horyzontu na drugi metalową struną potraçał wiatr potężną ręką. Klejnoty mężczyzn i kobiet lśniły w za-

chodzącem słońcu, metalowe hełmy żołdaków wyglądały jak kryształ, a ich łuskowe pancerze migotały srebrem i złotem.

W oddali rozległ się pomruk zdziwienia, przeszedł bliżej i zabrzmiał, jak śpiew, gdy zbliżył się wóz z ciałem. Miał cztery dyszle, przy każdym po cztery jarzma, ciągnęło go sześćdziesiąt cztery mułów, każdy przybrany w złocony wieniec, u lic każdego złoty dzwonek i na szyi łańcuch z półszlachetnych kamieni. Na stopniach wozu przy katafalku stały złote lwy, majestatycznym ruchem głowy oglądając się na trumnę. Sklepiony baldachim wznosił się na srebrnych kolumnach, między niemi wisiała złota sieć z nici grubej na palec.

Na przedzie pochodu jechał Perdikkas. Na twarzy jego malowała się posępna pogoda. Nie obawiał się już odkrycia swego czynu. Wiedział, że opary babilońskich rozkoszy pogrążyły zmysły współwinnych żołdaków w szaleństwo, w którym zapomnieli o całym przeszłym życiu; z djabelskim wyrachowaniem wyznaczył im kwaterę wokół gaju świątynnego straszliwej Astarte. Zdarzenia stały się podobne do snów; kości są kośćmi; któż umiałby nazwać imieniem spalone ciało?

Ale kłamstwo wobec swego pana paliło go ogniem. To, czego dokonał, ukazywało mu stosunki tego świata w jałowym odosobnieniu, niszczyło jego ducha, zatwardniało mu serce.

Fanfary oznajmiły o przybyciu Aleksandra. Z błyskiem pierwszej gwiazdy na przyciemniałem niebie miano wyrzucić ogień z pochodni. Ale wciąż jeszcze po szarobłękitnem sklepieniu płynęły różowe obłoki i jakby niewidzialnemi rękoma były unoszone do góry, aby rozprószyć się w różowym świetle. W oddali rozlegał się groźny ryk zwierząt, przeznaczonych na krwawą ofiarę; niekiedy wyły chórem, co brzmiało jak przyływ morza.

Wbrew radzie lekarzy Aleksander opuścił pałac. Było mu nieco zimno, i zażądał cieplejszego płaszcza. Potem poszedł ku bramie wejściowej do gigantycznego stosu.

Podbudowa z cegieł zawierała trzydzieści dwie komory, wypełnione pachnącemi ziołami, kadzidłem ofiarnem, drzewem sandałowem, drzewem granatu lub aloesem, wszystko łatwopalnemi materiałami. Na tej platformie do wysokości stu pięćdziesięciu łokci wznosiło się pięć kwadratami ustawionych pięter, zmniejszających się tarasami, zbudowanych z pni palmowych. Każde piętro było przybrane rzeźbami i okryte jasno pstremi draperjami. Na dole ustawiono dwieście czterdzieści złożonych dziołów okrętowych, po sześćdziesiąt z każdej strony, na ich burtach na każdej klęczał łucznik i stał opancerzony jeździec, ze szczerego srebra, na pięć łokci wysoki. Przerwy były okryte wóchatemi zasłonami purpurowemi. Drugie piętro

było ozdobione bardzo wysokimi złotymi pochodniami, na ich trzonkach wisiały złote wieńce, a na miejscu ognia opuszczał się złoty orzeł z rozpostartymi skrzydłami naprzeciw smoka, obejmującego trzonek. Trzecie piętro było zawieszone wyszywanymi tkaninami, przedstawiającymi sceny myśliwskie, na czwartym wyobrażono walkę centaurów, na piątym ukazywała się pięćdziesiąt razy powtarzająca się grupa: lew w walce z bykiem.

Gdy trumnę z ciałem wniesiono do wnętrza budowli, Aleksander kazał sobie podać pochodnię i wszedł do środka. Okrążyło go gwałtowne milczenie. Z góry przez otwory między belkami przedostawało się czerwone światło słoneczne. Skierował się do drewnianych schodów, wiodących w górę, wtem spostrzegł postać męską prosto opartą o słup. Przygniatające uczucie niemożności ujścia, jak tuman owładnęło Aleksandrem, gdy poznał Arideosa.

„Wybacz moją obecność, Aleksandrze“, wyszeptał Arideos, „ale mnie dobrze jest w grobach. Lubię umarłych“.

Aleksander minął go, nic nie odpowiadając. Wstąpił na kilka stopni, potem odwrócił się. „Czy zagoiły się już rany, które dostałeś od baba?“ zapytał.

Arideos westchnął. „Rany te są ranami ciała, łatwiej je znieść, niż twoje, Aleksandrze“, odpowiedział.

Aleksander wytrzeszczył na niego oczy.

„Znam twoją mękę, Aleksandrze“, mówił dalej Arideos stłumionym głosem.

Znowu odwrócił się Aleksander, znowu wstał na kilka stopni, znowu się odwrócił. Arideos szedł za nim.

„Jak tu samotnie“, mówił Arideos, wciąż jeszcze nieśmiało i pokornie. „Wszystko wokół poświęcone jest śmierci. Cudowne jest życie“.

Aleksander spojrzał w tę twarz, równocześnie chłopięcą i starczą, w te chude a jednak rozlane rysy, w te oczy, napół łagodne i czułe, napół zachwycone i ekstatyczne, i zdawało mu się, że widzi małą smutku, małą dostojności, małą mądrości. Coś ścisnęło mu serce.

„Już dawno ciągnęło mnie, aby porozmawiać z tobą“, zaczął znowu Arideos i dźwięk jego głosu był kobieco przymilny. „Jechałem przez morze, nie bałem się żadnego upokorzenia, nie zniechęciła mnie nędza, dusza moja pragnęła ciebie. Znieważyłeś mnie, zbiłeś, poniżyłeś, i jestem mężczyzną“.

„Jesteś wymowny“, szydził Aleksander, „jesteś wymowniejszy, niż gaduła biesiadny. Nic nie znaczą miecze naprzeciw twego języka“.

„Znam twoją mękę, Aleksandrze; nie znam twej winy, ale znam twoją mękę“.

Stali na drugiej platformie, pokrytej macedońską bronią. Szeleszczący wiatr poruszył płomieniem pochodni, którą niósł Aleksander.

„Ogień wzniesiesz swoją pochodnią“, mówił Arideos żalonym tonem, „czego dotkniesz, musi obrócić się w popiół. Żywi są tobie niczem, a czym są dla ciebie umarli? Tysiące naszego ludu zginęło, i nikt nie wie, gdzie spoczywają. Pocóż taka wystawność dla jednego jedyne go człowieka? Co zależy ci na nim? co zależy ci na kimś jednym? Czy chcesz wzruszyć swe niepa miętające serce? O usta, mówcie prawdę! nawet gdyby za to miała was zamknąć śmierć“.

Gniew burzył się w Aleksandrze, ale jak nigdy przedtem obezwładniał mu rękę. „Czemu się mnie czepiasz, czemu idziesz za mną, ci śniesz się do mnie?“ złościł się.

Wstąpili na czwarte schody.

„Wysoko budują ci, którzy boją się ziemi. Znam twoją mękę, Aleksandrze. Znam twój azjatycki ból“.

„Ty skurwisynu, synu podagrycznej kurwy!“.

„Jesteś zdradzony, Aleksandrze“.

„Byłbym zdradzony? któż mógł mnie zdradzić?“.

„Tak, któż mógł ciebie zdradzić? Któż ciebie nie zdradził!“.

„Precz stąd, precz!“ krzyknął Aleksander.

„O, Aleksandrze, najpotężniejszy człowieku na ziemi!“.

„Przypochlebiasz się teraz?“.

„Najbardziej opuszczony człowieku, Ale-

ksandrze. Żadne serce nie bije dla ciebie, wszyscy drżą tylko przed tobą. Samotny stoisz naprzeciw mroków. Znam twoją mękę“.

„Precz! precz! precz!“ krzyczał Aleksander, nie panując nad sobą.

„Czemu, mój bracie, diadem zerwałeś mi z włosów? Czemu kazałeś mnie bić do krwi? Poznaj mnie. Przyjrzyj mi się. Tęsknisz za mną. Tęsknisz za człowiekiem. Spójrz na mnie, i ja jestem Aleksandrem“.

Stali na ostatnim tarasie budowli. Ustawione tu były olbrzymie syreny, a w ich próżnych wnętrzach ukryto śpiewaków, którzy śpiewali teraz pieśń żałobną. Dźwięczne, jasne, rozwlekłe tony, jakby gdzieś daleko na równinie bito w spiżowe dzwony. Potem wezbrały, głosy stały się głębsze, połączyły się w chór, znowu płynęły oddzielnie, jakgdyby każdy z nich beznadziejnie błądził, dążąc do celu, znowu brzmiały wspólnie, rozerwały się znowu w żalosnym krzyku, aby wkońcu odnaleźć cały ból, jaki oblicze śmierci sprawia żyjącym. Babilończycy na wałach i murach nakryli swe głowy.

Po środku do żelaznej klamry na stryku przywiązano orła. Z błyszczącym okiem i rozpostartymi skrzydłami zerwał się ptak i, dokąd pozwalały wieży, podleciał w stronę Arideosa, który wydał radosny okrzyk. Aleksander, nieprzytomny z wściekłości, machnął pochodnią i rzucił ją w twarz człowieka. Upadła niżej

i Arideos zniknął, jak pochłonięty przez ziemię. Z głębi dochodził tępy śmiech.

Nad wieżą schodową świątyni Rammana zaiskrzyła się pierwsza gwiazda, jak ze snu zbudzone oko.

Aleksander z pomieszaniem umysłem spoglądał w dal. Ciało jego zewnątrz i wewnątrz okrywał lodowaty chłód, twarz miał spłowiałą. Ogromna prawda, nieskłamana samoodczuwalność życia przenikała i wstrząsała jego umysłem, jak nigdy przedtem żadne inne doznanie. Równocześnie zdawało mu się, jakgdyby dusza jego trzymana była więzami ciała i z domostwa swego wyrывała się na wolność, jak ów tam orzeł, szamoczący się na swym stryku i bez nadzieinie tłukący skrzydłami.

Zszedł na dół i rozkazał zapalić ogień. Śpiwacy opuścili brzuchy Syren, i wkrótce potem uderzył w górę przez wszystkie pięć pięter prosty jak lanca, wąski słup ognia. Suche belki trzeszczały, we wszystkich rogach olbrzymiej budowli skrzypiało, warczało, wrzało, chrootało, często brzmiało jakgdyby głosami pijaków, często jakby dziecięcemi wołaniami o pomoc. Wyżej ogień wrzał. Złote dzioby okrętowe powyginały się, wioślarze i pancerni ze srebra pospadali jak umarli, zapłonęły poskręcane draperje, morze iskier, niczem fantastyczny, ruchomy haft, trysnęło w powietrze, świecąc w mroku nocnym, biegnąc aż pod ciemnołą-

kitne niebo. Niezliczone wokół twarze zdawały się oblane krwią, oczy lśniły wilgotno i czerwono.

Perdikkasa zawołano do Aleksandra. Poszedł ołowianym krokiem. Charippos płonie, kołatało się mu po mózgu, Charippos płonie. Błysło w nim przecucie przyszłości, gdy będzie trzeba tylko miecza w twardej jak głaz pięści, aby wszystko pokonać, co stanie przeszkodą na drodze kłamstwa.

Aleksander ukrył twarz w dłoniach. Nie przypominał już sobie, poco kazał przywołać Perdikkasa.

Wtem z płomieni rozległ się przeraźliwy okrzyk. Wszyscy spojrzeli w górę. To był orzeł. Ogień przeżarł jego więzy i oto z ohydny wrzaskiem wznosił się w przestworza, obezwładniony dwoma językami płomieni.

Krag żołdaków, ofiarników i straży cofnął się od wciąż wzrastającego żaru. Ceglany fundament rozpalił się do białości; ze spalonych w jego wnętrzu ziół wznosiły się dymy o oszałamiającym zapachu. Płonące smugi przecinały powietrze; masa tryskających na wsze strony, jak z jakiegoś wulkanu buchających iskier oślepiła oczy. Trzeszcząc łamały się belki. Stopiony metal ze skwirczącym szumem spływał przez płomienie. Wyraźnie oddzielało się ciemno płynące złoto od alabastrowo białego srebra, ciężko padający ołów od brunatnożółtych potoków

stopionych zbroi. Syreny zachwiały się. Słysząc było rozwlekłe żałosne głosy, rozżarzone powietrze wtargnęło, brzmiało, przez otwory. Ogniste płatki unosiły się na firmamencie jak płonące ptaki. Byki, których coraz nowe stada pędzono na śmierć ofiarną, ryczały posępnie. Ich nieustannie płynąca krew, gdy wlał się w nią spływający metal, kipiała purpurowymi chmurami. Na wystygłą masę rzucali się Grecy, wierzący, iż — według ich mniemania — mieszanina krwi i złota ma moc czarodziejską.

Niebo było obrzeżone płomiennym pasem. Ciężkie chmury dymu pokrywały wypełnione ludźmi ulice, ostrza dzid żołnierskich świeciły, jak lampy.

Gnany niepokojem, raz jeszcze chciał Perdikkas dostać się do Aleksandra. Dowiedział się jednak, że Aleksander nie czekał na ucztę ofiarną, że nagle odniesiono go do pałacu. Macedończycy byli rozczarowani i przerażeni. Perdikkasa zasypywano pytaniami. Był głuchy. Z pod napół przymkniętych powiek, krzywym, ponurym wzrokiem spoglądał w ziemię, wykonując rękami ruchy, jakgdyby odganiał od siebie muchy.

Rozległ się huk. Dwa najwyższe płonące piętra runęły do wnętrza płomiennej przepaści. Ogniste polana spadały dokoła. Jakiś żołnierz w palącym się ubraniu, jak żywa pochodnia, biegał tam i z powrotem.

ROZDZIAŁ DWUNASTY.

PIERŚCIEN.

Aleksander spał. Twarz miał bladą. Bądź to zapadał głębiej w państwo snów i marzeń, bądź też wynurzał się znowu na granicę czuwania. Widok choćby najniesamowitszego obrazu byłby pociechą w porównaniu z tą ponurą męką. Otworzył oczy. Naokół stali przyjaciele. Zobaczył bezbarwne twarze, niewyraźne skutkiem przesłaniającej je mgły snu. Śledził zatrwożenie tych ludzi. Nigdy jeszcze nie zasnął przy uczcie. Głowa przy głowie stali skupieni i byli tak cisi, że słychać było gruchanie gołębi, siedzących na gzymsie otwartej arkady.

Jak w niezmiernej dali zobaczył Aleksander przechodzących krużgankiem niewolników; nieśli pieczone jagnięta, długie pręty, na których rzędem wisiały smażone szarańcze, garnki pełne wonnych rosółów, kiście świeżych daktyli i kosze, napelnione gruszkami, owocami gra-

natu i winogronami. W rękach mieli gałęzie, któremi odganiałi owady.

Mechanicznie schwycił się Aleksander za kark, na którym czuł ciężar. Chciał się podnieść, ale poczuł tak przeszywający ból, jakgdyby z całej siły wepchnięto mu dzidę w plecy.

Krzyknął głośno i długo. Przed jego oczami znowu była noc, nogami dotykał i suwał po ziemi. Eumenes jednym skokiem był przy nim, dwóch, trzech innych schwyciło go równocześnie, pod krużgankiem padli na kolana eunuchy i żałośnie bili się w piersi.

Nadszedł wieczór. Z ogrodów płynęło chłodne powietrze. Szara czajka krzyczała. Eumenes, Perdikkas i Seleukkos zawiedli Aleksandra do komnaty sypialnej, gdzie go rozebrali i ułożyli. Leżał i leżał i przewracał się. Odrzucał poduszki i żądał ich napowrót. Przywoływał strażę, lekarzy i, zrażony ich zatrwożonemi twarzami, wyganiał ich. Miał pragnienie wina, lecz gdy trzymał pełny puhar, odrzucało go i wylewał je na ziemię. Kazał przyjść pisarzowi i podyktował mu krwawy rozkaz przeciw wszystkim Chaldeczykom, a gdy przyłożył już podpis i pieczęć, porwał go. O północy wykapał się. Marznąć, wchodził do letniej wody, drząc, opuścił ją. Potem przy łożu jego siedział chłopiec, który miał czytać. Zamiast słuchać, wpatrywał się w twarz młodziana, i zdawało się, że widzi w niej drganie płomienia życia, że z mówiących

ust brzmi melodyjna pieśń życia. Położył rękę na głowie chłopca i pieszczotliwie, miłośnie grzebał palcami w kędziorach jego włosów. Prawą rękę przycisnął do piersi, a szeroko otwarte oczy miały wyraz bolesnego strachu. Zdawało mu się, że znajduje się w celi, której ściany powoli się zacieśniają, i nikt nie słyszy jego wołania, cały świat jest spokojny. Zerwał się, przeszedł wkoło, mruczał przed siebie, wyszedł na dziedziniec i zobaczył na niebie księżyc, którego zachodząca kwadra jak złota barka płynęła w spokoju świata.

I nastał dzień, jeden z tych, jakie bywają tylko tu nad Eufratem; z parnego nieba zwisały chmury, bardziej ocieężałe, niż ołów, ptactwo nie ważyło się latać ani śpiewać, drzewa nie poruszały żadnym listkiem, wszystkie wody były czarne, jak smoła, i gładkie, jak jedwab, między snem a czuwaniem, ciężko dysząc, leżeli ludzie w domach, w pełnem przeczuć oczekiwaniu na coś niesłychanego: nagle zawiał wicher od pustyń arabskich, przestwory wyły, drzewa łamały się, jak patyczki, rzeki i kanały pienily się, firmament zdawał się więc z bólu, natura do głębi została wstrząśnięta.

Przeszedł obok straży po płytach kamiennych. Nogi miał bose; miał na sobie nocne ubranie z błękitnego jedwabiu sogdjańskiego. Szedł jak we śnie. Zdawało się, że wzywał go jakiś głos i że nie wiedział, dokąd. Przyszedł do sali

zielonego węża, gdzie ustawiono posąg Hefajstiona. Stał pośrodku komnaty, czerwono owiany porannem światłem.

Nagie ciało marmurowe miało smukłość młodego drzewa. Prawa noga była nieco wzniesiona, a pięta dotykała tyłem odwróconej tarczy. Lewe ramię było założone na karku, a wywołane tem naprężenie piersi dawało przemagający wyraz spokojnej siły. W górę wzniesioną twarz przepełniała zadziwiająca radość podobna do tej, jaką odczuwa wędrowiec, gdy właśnie odnajdzie najlepszą drogę. Na ustach kładło się lekko zmysłowe rozmarzenie, coś jak głębokie zadowolenie z widoku rzeczy albo zachwyt nad zapachem kwiatów. Oczy miały zdumiewającą prawdę życia, porywającą moc wyobraźni.

Ale Aleksandrowi wydał się kłamstwem. Lękał się tego piękna, tego spokoju, tej radości. Kłamało promienne oko, bo zniszczy je czas. Kłamała krocząca noga, gdyż śmierć ją ubezwładni, kłamała nadzieją poruszana pierś, gdyż zgnije w grobie i strawi ją ogień, kłamało badawcze zamyślenie czoła, bo ono nie ma nic do powiedzenia, nie zna żadnego ratunku, nie zdoła otworzyć drzwi celi, nie ma żadnej pociechy, ukrytym jest przed niem początek, o końcu nie myśli. Nie piękność marmurową widział Aleksander przed sobą, lecz wykrzywiony dziwoląg.

Kazał zanieść się do ogrodów. Usiłował iść, lecz zataczając się, opadł na ręce lekarzy. Dano mu do picia sok sylfidzki i natarto pierś maściami. Później zaniesiono go do lasu platanowego, ale cień był za głęboki, za uroczystem milczenie, i Aleksandra gnało dalej. Z pomiędzy zarośla azalij wyszła gazela i przyglądała się wilgotnem okiem.

Aleksander ściągnął ze swego ciała nakrycie i zrzucił je na ziemię. Skórę miał wciąż mokrą. Przyłożono mu do skroni chustę unurzaną w zimnej wodzie i dla uspokojenia serca zrobiono mu okład z żółci cielecej i ptasiej. Słuchając jego porywczej niecierpliwości, przenoszono go z tarasu na taras, obok siedzib świętych węży, obok ołtarzy ofiarnych. Nadeszła noc. Cisnęli się zaklinacze demonów. Aleksander chciał złożyć ofiarę. Eumenes trzymał miednicę i zauważył, jak drżały ręce Aleksandra, gdy zanurzał je w wodzie. Upadł na kolana i skrył twarz w fałdach posłania. Łkał głośno.

Niechętny i zdziwiony odepchnął go Aleksander. Eumenes podniósł się. Jego niegdyś tak pewny wzrok był jak rozdwojony. Prosił, aby pozwolono mu oddalić się, i poszedł na dziedziniec pałacowy, gdzie mimo wieczornej godziny zebrali się dowódcy. Wiał duszny, burzliwy wiatr, wysoko unosząc pył. Od ulicy dochodziły śpiewy kapłanów. Ogień w kagankach smolnych płonął skośnie do ścian, a olbrzymie

skrzydlate byki pod bramą, których twarze ludzkie świeciły tajemną złośliwością, okalał wieńcem czarnego dymu.

Większość Macedończyków nie była w stanie rozmawiać. Niektórzy leżeli bez ruchu na marmurowych ławach, z pochylonemi twarzami. Dowódcy zastępów szlchetnych stali razem w milczeniu i patrzyli w niewieloma pochodniami oświetloną bramę dziedzińca. Od czasu do czasu posyłano do pałacu niewolnika, albo szedł sam jeden z kapitanów. Mówiono, że Aleksander śpi i że jadł z apetytem. W godzinę później wieści nie były już tak uspakajające. Pod murami pałacu gromadzili się żołdacy.

Wąskim krążankiem tam i napowrót chodzili Perdikkas z Eumenesem. Ich zatroskane słowa były jak robactwo wypełzające z podziemnych otworów, tak bojaźliwe, tak przezorne, tak zręczne, aby się nie zdradzić. „Gdyby przypadek zdarzył, że stanie się nieszczęście“, tak wyraził się Perdikkas, „kto miałby nosić diadem?“

„Roksana jest brzemienna“, mruknął Eumenes.

Perdikkas wzruszył ramionami. Jeszcze przed północą zdołał wciągnąć innych w swe obawy. Było koniecznem działać. Zgodzili się, aby prosić Aleksandra, żeby wyznaczył następcę. Trudne poselstwo powierzono Perdikkasowi, Eumenesowi i Seleukkosowi.

Z nadejściem rana kazali się oznajmić przez dowódcę straży. Ów poszedł; gdy powrócił, radził, aby zaczekali; Aleksander leżał wprawdzie z otwartymi oczami, ale nic nie widział i nic nie słyszał.

Poruszony Perdikkas chodził tam i napowrót. Eumenes z rękami założonemi na krzyż patrzył w ziemię. Wokół nich trzech wiało jadowitem wrogiem tchnieniem.

„Pójdę sam“, postanowił wkońcu Perdikkas, przystanąwszy nagle i oparłszy ręce o głowicę miecza. „To, co jest do powiedzenia, najlepiej powie jeden. Ty, Eumenesie, jesteś Grekiem, nasze stosunki są ci obce, Seleukkos wcale nie jest wymowny. Sam muszę pójść“.

Odrzucił głowę w tył, zadrżały mu policzki. Poszedł.

Eumenes powstrzymał obruszonego Seleukosa, aby nie szedł za Perdikkasem. „Nic nie pomoże“, zgrzytał, „o tej godzinie postanowiono nasz upadek. Perdikkas postawi nogę na trupie Aleksandra, aby zrobić miejsce dla siebie. Ale zapomina o tem, że gdzie stoi Aleksander, znowu jest miejsce na śmierć“.

Gdy Perdikkas wszedł do sypialni, Aleksander leżał na plecach z szeroko otwartymi oczami. Ostro odbijała się twarz od ciemno zwisających włosów. Usta zdawały się mówić niedosłyszalne słowa. Nie opuszczę cię, zdawał się mówić, nie puszczę cię; daj mi do dna wypić pu-

har, który napęłniłeś, gdyż cię nie puszcę; odkryj mi się, nienazwano istoto, nieznany Boże, nie puszcę cię.

Komnata była podobna do wnętrza sześcianu; łoże Aleksandra stało w okrągło zbudowanej niszy. Podłoga była okryta grubym na pięć palcy, krwisto czerwonym dywanem. Na wyłożonym kością słoniową stole marmurowym obok łoża stały naczynia z lekami, srebrny półmisek ze świeżemi figami i astragale do gry.

Perdikkas podszedł bliżej. Szmer kroków ginał w dywanie. „Ty wiesz, Aleksandrze“, zaczął powoli metalicznym głosem, „jak wszyscy cię kochamy, więcej niż ojca kochać mogą synowie. Ale troska o ciebie nie pozwala nam ufać sobie. Choć jednemu z naszych złych snów odbierz, Aleksandrze, pożywienie i siłę. Nie została ci udzielona wiekuistość, matka twoja urodziła się śmiertelną. Wszyscy, którzy drżą o twe życie, mówią przezemnie. Stoję tu w ich imieniu i pytam ciebie, kto ma rozkazywać po tobie“.

Zdawało się, że Aleksander nic nie słyszał, leżał dalej tak samo bez ruchu, jak przedtem. Na to Perdikkas nie był przygotowany. Bał się tego milczenia, jak ciemnej nocy w dolinach Hamona. Nie śmiał postąpić naprzód i nie śmiał wyjść z pokoju.

Wtem nagłym ruchem Aleksander zwrócił nań twarz i przyjrzał mu się zagadkowo płoną-

cym wzrokiem. Powoli ściągnął z wielkiego palca pierścień z pieczęcią i podał go Perdikkasowi daleko wyciągniętą ręką.

Wciąż drżąc, Perdikkas wziął pierścień. Było to więcej, niż oczekiwał. Czoło jego drżało, jak drży skóra tarczy, gdy przeszywa ją świszcząca strzała. Niemo przykląkł u łoża, aby ucałować kraj bisiorowego nakrycia, osłaniającego ciało Aleksandra, i niemo chciał się potem oddalić.

Aleksander przeszkodził mu. „Perdikkasie!” zawołał.

Zaskoczony Perdikkas zawrócił.

„Więc myślisz naprawdę, że umrę?” pytał Aleksander głosem pustym, chrapliwym, trwożnie przynaglonym.

Perdikkas zrobił ruch zaklinający.

„Pocóż więc wzięłeś pierścień?” pytał dalej Aleksander, unosząc się i potrząsając włosami, jak nadchodzący lew.

Perdikkas milczał.

„Mam trzydzieści dwa lata”, mówił dalej Aleksander, i twarz wykrzywiła mu się jak u Meduzy, „czyż to już czas umierać? Ile ty masz lat? sześćdziesiąt cztery, więc dwa razy tyle; czy myślisz o tem, aby umierać? Czy wieszycie już padlinę, wy, sępy macedońskie, czy nie idzie to wam dość prędko? Czy chcecie połamać krzesło, na którym ja siedzę? Zbudowałem wam dom i sporządziłem łożę, a teraz tracicie cierpliwość,

czekając, aż budowniczy odejdzie swoją drogą? Aleksander, Aleksander, najbardziej opuszczony człowiek na ziemi!“. Zadyszany, jęcząc, opadł z powrotem na łoże i twarz ukrył w dłoniach.

Perdikkas milczał.

Wtem podniosła się pierś Aleksandra, ciało wyprężyło się, jak gorący wiatr pustynny przysła febra. Perdikkas zawołał na strażę. Te przyprowadziły lekarzy, i w każdej twarzy, wyraźne aż do bezwstydu, malowało się oczekiwanie śmierci. Wszystko mówiło o śmierci. Wyprostowana kroczyła ona, królewska śmierć, halami i dziedzińcami pałacu, i daleko rozpościerający się ogon jej płaszcza bezgłośnie suwał się po marmurowych płytach. Widziano czarne ptaki, wypadające z łona ognistoczerwonych chmur, które bezradnie latały tam i napowrót, jak gdyby szukały dostępu. Czas się odwrócił, tak, stanął spokojnie, aby swych zmarłych raz jeszcze przeliczyć. Obraz słońca wydawał się skażony. Podnosiły się cienie wszystkich młodo umarłych, których los nie dopełnił się tak, jak pragnęły ich zdobywcze serca. Dzieci igrały niewinnie na ulicy, na której goniono mordercę. Welon ucisku i zmęczenia rozpościerał się nad krajami.

Pięć godzin leżał Aleksander bez przytomności. Gdy ocucił się, zerwał mokre chusty, któremi owiązano mu czoło. „Gdzie Perdikkas?“ zapytał natychmiast. Nikt nie widział Perdikka-

sa. Czyż byłby to tylko straszny sen? przemykało Aleksandrowi po głowie i oglądał swą rękę. Nie było już na niej pierścienia. „Gdzie jest Perdikkas?“ powtórzył trwożnie. Podniósł się, pobiegł do drzwi i wołał Perdikkasa. Pokojowy, pisarze i dozorczy przybiegli. Posłańcy opuścili pałac w wielkim pośpiechu. Tymczasem Aleksander kazał się ubrać. Służący ociągali się zdumieni. Chwycił za miecz, aby przebić nieposłusznych. Przynieśli perski ubiór, zażądał macedońskiego. Posłańcy wrócili z wieścią, że Perdikkasa nie można znaleźć. „Zdradzony! zdradzony!“ jęczał Aleksander. Umysł miał zamroczony. Rosnąca gorączka obezwładniała każdy ruch. Nagle doniesiono, że Perdikkas jest na uczcie u Larysejczyka Mediosa. „Do Mediosa! do Mediosa!“ bełkotał Aleksander. Chciał iść, po kilku krokach zachwiał się i o mało nie upadł. Położono go na łożu przenośnem i tak opuścił pałac.

Ów Medios przybył do Babilonu przed kilkoma dniami. Jego bogactwa, jego rozum i jego wesołość rychło uczyniły go ulubieńcem Macedończyków. Mieszkał w podobnym do pałacu domu kupieckim nad kanałem Gwieździstym. Zebrało się u niego bardzo liczne towarzystwo. Nie byli w najszcześniejszym usposobieniu. Godzinami czekali już na Perdikkasa, aby się dowiedzieć, co mówił z Aleksandrem i jak przy-

jęto jego prośbę. Eumenes i Seleukkos zaniepokoiili ich bardzo.

Był już wieczór, gdy przyszedł jakiś człowiek i zażądał rozmowy z Mediosem, gdy wprowadzono go do sali, oddał Larysejczykowi zapieczętowany list. Medios czytał, siedzący wokół z naprężeniem śledzili przebiegiwanie jego wzroku po wierszach. Widzieli że zbladł, przygryzł usta zębami, uderzył ręką w czoło, skrzył papyrus i rzucił go w ogień kaganka.

„Co to jest? co się stało? mów, Mediosie!“ wołały naraz wszystkie głosy. Mężczyźni pozrywali się, zmieszanie i obawa malowały się na ich twarzach.

Eumenes podszedł do Mediosa. „Czy Perdikkas pisał do ciebie?“ pytał spokojnie i poważnie, z takim wyrazem, jakgdyby wszystko, co się stało, było mu dawno znanem z przeczucia. Medios nie odpowiedział. Jego piękna twarz, w której dopatrywano szczególnego podobieństwa z wielkim Peryklosem, coraz więcej płowiała. Naraz wtargnęli wzburzeni niewolnicy, wołając: „Król idzie!“.

Goście cisnęli się do drzwi. W zamieszaniu rzucono puhary na ziemię i pogaszono pochodnie. Gdy Aleksandra wniesiono, wielu Macedończyków nie mogło zapanować nad wzruszeniem. Cisnęli się do ścian i przyciskali czoła do muru. Nieskończona, nieokreślona, samolubna trwoga ścisnęła im serca.

Medios, pozdrawiając, wyszedł naprzeciw Aleksandra. Wzniósł nieco ręce. Po pewnych drganiach ciała widziano, że Aleksander cierpi boleśnie. Twarz miał ołowiano szarą i od czasu do czasu okrywał ją hektyczny rumieniec. Oczy jego szukały w tłumie macedońskiej szlachty, biegały od twarzy do twarzy i nie znajdowały tej, którą chciały wypatrzyć.

„Gdzie jest Perdikkas?“ pytał stłumionym głosem.

Medios spuścił głowę, drżąc w rękach i nogach.

„Gdzie? gdzie?“ pilił Aleksander, podnosząc się z trudem.

Z płaczem upadł Medios na kolana i oparł głowę o kraj łoża. Zapanowało przeraźliwe milczenie.

„Mów, przeklęty!“ wybuchnął Aleksander i obiema rękoma schwycił Mediosa za włosy.

Medios podniósł się. Był woskowo żółty. „Perdikkas uciekł do Borsippy“, wyszeptał.

„Do Borsippy?“ Aleksander nachylił się skwapliwie, aby lepiej słyszeć.

„Poszedł do Chaldejczyków do Borsippy, mój Aleksandrze“, mówił Medios, z palcami na wargach i głucho patrząc przed siebie. „Oczekuje tam —“

I wszyscy wiedzieli, na co oczekuje Perdikkas za siedmiorakiemi murami Borsippy. Tylko Aleksander zdawał się jeszcze nie pojmować

tego. Zdziwiony i zamyślony potrząsnął głową. „Na co oczekuje?” zapytał. „Kiedy spodziewasz się, że powróci?”.

Teraz Eumenes i Demetrios i Seleukkos i Ismenias i jeszcze kilku zasłonili głowy. Wtedy z piersi Aleksandra wydobyło się długie, powolne, rozrywające serce Ach! a potem wybuchnął przeraźliwym śmiechem. Otrząsnął się prędko, ściągnął okrycia na kolana, usiłował kilkakrotnie mówić, ale bezskutecznie, wkońcu zawołał: „Do Borsippy! Dalej do Borsippy!”.

Powstało gnuśne, smutne poruszenie. Wyniesiono Aleksandra. Wszyscy wyszli za nim, zeszli z tarasu nad brzeg kanału, gdzie stały gotowe łodzie. Aleksandra przeniesiono do łodzi, za nim wkroczyli Medios, Eumenes i Peithon. Pozostali na brzegu zdjęli hełmy i zegnali odjeżdżających głębokiem milczeniem.

Noc była wygwieżdżona. Gwiazdy odbijały się w czarnej powierzchni kanału niemal tak jasno, jak jasno świeciły na niebie. Uderzeniami wiosł poruszana woda brzmiała melodyjnie. Mijali ciemne domy. Korony palm i pinij malowały się na jasno lśniącym niebie, jak ciemne opierzenie olbrzymich ptaków. Niekiedy blask pochodni, płonących w każdej łodzi, oblewał wychylające się na brzegu twarze purpurowym żarem. Z tej lub innej wieży rozlegało się wołanie dostrzegacza gwiazd, albo z jakiegoś szynku dochodziły krzyki i śmiechy dziewczek.

Z kanału Gwiazdzistego przepływało się do mniejszego, nazywanego Wodą Falbierzy, stamtąd długą częścią kanału Bobrów na rozległe jezioro, na którego południowym brzegu wynały się mury Borsippy.

Przybyli. Wioślarze zastukali do bramy. Odezwał się głos z góry. „Otworzyć! otworzyć!“ wołali towarzysze Aleksandra.

„Jest rozkaz, żeby bramy były zamknięte“, odpowiedział głos.

„Król jest tu! Sam Aleksander przybył do Borsippy!“ zawołali naraz Medios i Eumenes, gniewnie i groźnie.

Krótkie milczenie, poczem znowu głos: „Rozkaz wyszedł od Aleksandra, opieczętowany jego pierścieniem, aby bramy trzymać zamknięte“.

Aleksander zakrzyczał. W bezsilnym gniewie jego towarzysze wyciągnęli miecze. Niewolnicy i wioślarze bili drągami i wiosłami w spiżową, niezdobytą bramę. Spokojna noc rozbrzmiewała zgiełkiem. Bezradny Eumenes nakazał w końcu powrót. „Wszystka krew, jaka się przeleje, niech spadnie na Perdikkasa i Chaldejczyków!“ wołał, grożąc w górę nieszczęściem. „Może jutro zapłoną ognie, gdzie dziś kładziecie wasze głowy do snu“.

Wtem głos z góry odpowiedział pełno i ponuro: „Pojednanie wymaga siedmiokrotnego mordu“. Potem była znowu cisza.

Aleksander nie słyszał już tego. Bolała go skóra na całym ciele, jakby była spalona. Cicho jęcząc, przewracał się z boku na bok. Chciał ramię zanurzyć w wodzie, aby ochłonać, ale niezdolny był poruszyć się. Szklistemi, strasznie rozszerzonymi oczami patrzył na czarne odbicie murów w wodzie. Kolana ciążyły mu, jak żelazo. Gdy jechali z powrotem, zdawało mu się, że łódź płynie wśród gwiazd. Wszystko należy do mnie, myślał pomieszany od gorączki umysłem, do mnie niebo, do mnie powietrze, do mnie gwiazdy, do mnie Babilon, ja jestem panem. Ów rybak, który w ciszy nocy zarzuca tam sieci, jest moją własnością, odemnie wszystko ma swój bieg.

Miał palące pragnienie. Ale lekarze zabronili dawać mu wody; woda szkodzi na serce, mówili. Rzucił się i rękami trzepotał w powietrzu. Potem zaczął krzyczeć, było to wstrząsające do szpiku kości. „Mój pierścień! mój pierścień!“ znowu wciąż krzyczał. Z zapadłymi twarzami, niemi z trwogi, siedzieli wokół niego towarzysze. Ruchami naglili wioślarzy do pośpiechu. Wkrótce Aleksander nieco uspokoił się. Skórę miał tak gorącą, jak rozżarzony metal. Twarz często tak mu się ściągała, że był podobny do pradawnego człowieka. Oczy mu płonęły, na szyi i ramionach wystąpiły wrzody. „Nie umrzeć“, jęczał, „nie umrzeć“; piersi kipsiały mu trwogą. Palcami przegarniał mokre

włosy i zdawało mu się, że zbutwiałe odrywają się od czaszki, jak zwiędła trawa od ziemi. W głębi serca drżał przed nicością, w którą miał wstąpić, przed drogą w mrok, którą miał pójść bez towarzyszy. Obiema rękoma czepiał się poduszek, jakgdyby wyobrażały życie, z którego chciano go wyrwać. Wyciągał ręce do znajdujących się przy nim mężczyzn; nikt się nie ruszył. Trujące wyziewy napełniały powietrze.

Zobaczył się sam w czasie i przestrzeni. Było przed bitwą. Heroldzi wzywali. Jechał wzdłuż szeregów. Koń, który go unosił, był czarny z okrągłą białą gwiazdką na czole. Szedł lekko i żwawo. Miał na sobie nakrycie, którego końce spinała na piersi wspaniała agrafa, rząd zdobiły rozety. Słońce świeciło nad niwami. Na trawach lśniła rosa, okrzyki wojenne przerzywały powietrze, bronie szczekały dźwięcznie. Pożerająca zazdrość przepelniała go w stosunku do dawnego Aleksandra, który posiadał jeszcze życie i nie wiedział o tem, niedość przyciskał do siebie dzień, niedość kochał noc, nie pojmował mijania czasu, ani niepowtarzalności przeżytych godzin. Na morzu widział okręty; nagle miał przed sobą morze; były to okręty macedońskie, rozbite przez burzę, burza miała twarz, cały obszar świata gęstniał w jedną twarz.

Obok niego mówił głos. Był to Eumenes. Uroczyście zaklinał go Grek, aby wymienił na-

zwisko tego, kto ma panować po nim, o to samo błagali go Medios i Peithon. Przekornie zacisnął usta. Nienawiść przeciw tym żyjącym zapierała mu oddech. Było mu obojętne, co poczną bez niego. Niema nic, gdy ucieknie dusza ze zmarłego ciała. Czuł rozkład ciała, czuł milczenie śmierci; już gnił mu mózg w głowie, gnuśniało serce. Ból, strach i przerażenie wykrzywiały mu twarz. Chciał chwycić Eumenesa za ramiona. Eumenes cofnął się.

Łódź lądowała teraz przed pałacem od strony Eufratu. Długa aleja ciemnych cyprysów ciągnęła się po obu bokach stromych schodów. Szarzał ranek. W górze stały konie bogato przybrane w chwasty i kity. Ściany poruszały się, wypelzały z nich węże. Dwanaście lwów prowadzonych na łańcuchu, kroczyło majestatycznie.

„Dokąd wieziecie mnie? dokąd? dokąd?“ Aleksander podniósł się z łoża i patrzył w blade twarze. Na pobliskim brzegu zobaczył pochód hulaków, uwieńczonych kwiatami i gałęzmi. Biegli z bachanckim szumem, w zgiełku blaszanych grzechotek. Aleksandrowi zdawało się, że uciekają stąd na złamanie karku. Ich rozwiane szaty wyglądały na pograniczu światła pochodni i świtu, jak płomienie. Podniósł się na kolana i wołał niezrozumiałemi słowami. Groził im śmiercią, oni dalej śpieszyli. Zanim zdołali powstrzymać go przyjaciele — nie ważyli by się na to naprawdę, obawiali się zarażenia chorobą,

gdyby go dotknęli, — zerwał z głowy diadem, rzucił go za siebie, jednym skokiem był na brzegu i podążał za pijanym orszakiem. Oni śmieli się i coś za siebie wołali, nie poznając go. Aleksander biegł prędko, był zdumiony, że niosą go nogi, i nie chciał zatrzymać się z obawy, że wtedy wyczerpie się jego cudowna nowa siła życiowa. Medios i Eumenes i inni gonili go. Jak zbieg, starał się umknąć. Długo ginęli roześmiani hulacy w jakiejś bramie. Wynurzyły się ciemne postacie, chciały go zatrzymać, przemawiały, grożąc. Wystarczy, abym zerwał z głowy śmieszna ozdobę, przemykało Aleksandrowi po głowie, żebym był jak inni i żeby przebrzmiał mój głos.

W jakiejś hali zobaczył tancerkę. Obracała się powoli wokół siebie, na twarzy jej malowało się zwątpienie, bo dawała tylko obraz śmiertelnych wizyj, ale milczący widzowie śmiali się. Zaczęło padać.

Szło się osobiwie ponuremi ulicami, biegnącemi i wijącemi się na tyłach pałacu. Teraz widać było zatrwożony lud. Wynurzyły się bramy pałacu. Były otoczone zastępami wojsk. Lekarze dowódcom, dowódcy żołnierzom ponieśli wątpliwe i dwuznaczne wieści. Dowódca wojsk pałacowych kazał przed naporem zamknąć bramy. Na murach ukazały się zastępy szlachetnych, jakgdyby potrzebną była obrona przed oczekującymi z zewnątrz. Rozeszła się wieść, że

Aleksandra otruto. Mówiono, że kazał go otruć Perdikkas. Przypadkiem ukazał się Alketas, brat Perdikkasa. Schwyciła go gromada Macedończyków, zaczęli go badać, byliby go zamordowali, gdyby nie zjawił się Ptolomeos i nie powstrzymał ich niezbędnem kłamstwem; Aleksander jest w pałacu, mówił, śpi, hałas mu przeszkadza.

Stało się to o północy. W dwie godziny później wzburzone poruszenie podniosło się znowu, nie do wyjaśnienia, gdzie powstało i skąd czerpało soki. Wielu Macedończyków śpieszyło do domów po broń. Inni dobijali się do mostów na wodą zalanych rowach i gniewnie domagali się dostępu. Wyszedł Leonnatos, aby ich uspokoić. Był blady aż po wargi, twarz miał niewyspaną. Chciał mówić, ale go przekrzyczano. Potem jeden po drugim przyszli Apollodor, Stamenes i Seleukkos.

I wtem, naraz, był już dzień, rozległ się śpiżowy głos imieniem Aleksandra z wyrazem zdumienia i najwyższej trwogi. W swym szalonym biegu Aleksander dotarł aż do pałacu. Większość, którzy go widzieli, nie poznawała go, dopóki nie podniósł się ów głos. Do tego spostrzegli jeszcze biegnących za nim mężów: Mediosa, Peithona, Eumenesa, którzy z wyczerpania i strachu ledwo się trzymali na nogach. Najpierw rozstąpili się żołnierze szerokim łukiem. Aleksander stał w ściśle zamkniętem kole i iść

dalej nie mógł. Zataczał się i rękami chwycił powietrze. Twarz miał białą jak siarka. Oczy tak płonęły, iż zdawać się mogło, że w krótkim czasie spalą i strawią całe ciało. Rzucili się doń Macedończycy. Wyli zwierzęcemi krzykami.

Była to miłość i ból? czy nienawiść i wściekłość? Czy byli świadomi upokorzeń, jakich przez niego doznali? Czy myśleli o powycinanych przyjaciółach, o najlepszej krwi macedońskiej, którą on pochłoniął? czy o życiu pełnem fantastycznej wspaniałości i awanturniczej wielkości, jakie przed nimi otworzył? Czy sądzili, iż nadeszła chwila, w której mogą się zemścić, że zdradził ich na rzecz Azji? Czy znieść nie mogli, aby oglądać go w słabości, jego, Aleksandra, którego uważali za syna boskiego? Czy przezwyciężał ich strach przed jego końcem, czy gniew, że chce umrzeć, aby ich samych zostawić w Babilonie?

Nie byli już ludźmi. Rzucili się nań. Jedni obejmowali go ramionami, jakgdyby chcieli go ucałować. Ale tak go przyciskali do siebie, że brakło mu tchu. Upadali razem z nim. Inni, popychani przez dziko cisnących się z tyłu, deptali go po ciele, po piersiach. Wciąż coraz rozpętańsi, chwyтали go za ręce, za ramiona, za włosy, krwawił już setką ran, gdy żalosne wycie czyjeś, kto ocucił się z odurzenia, przywiodło ich do opamiętania.

Żapanowała śmiertelna cisza. Powoli roz-
stępowała się ciżba, otwierało się koło.

Leżał tam Aleksander. Leżał tam, leżał tam
pan świata, leżał tam...

ROZDZIAŁ TRZYNASTY.

BABILON.

Dżdżystym mrokiem ulicy Kruków, na samym zachodzie prawobrzeżnego miasta, szedł wolno Arideos i, przystanawszy spokojnie, po pewnem wahaniu, zwrócił się w stronę Eufratu.

Ani jeden dom nie był oświetlony, w żadnej bramie nie migotało światło. Zazwyczaj nawet w późną noc można było spotkać tu wielu ludzi, dziś nie było widać nikogo.

Po pewnej chwili usłyszał wrzawę głosów. Hałaśliwa gromada zbliżała się drugą stroną szerokiej ulicy. Byli to żołdacy beoccy, biegli jak pędzeni, buty kłapały o bruk, miecze szczękały w biegu o nagolenice.

„Ribton haniebnie zajeździł swego konia“, dysząc, rzekł jeden z nich.

„Kiedy to będzie?“ mówił drugi.

„Co teraz będzie!“ krzyczał trzeci.

I już minęli, jak wicher.

Arideos patrzył za nimi. Potrząsnął głową. Nie wierzył, że Aleksander umarł. Niedowierząc, przyjmował ogólne poruszenie ostatnich dni. Uważał wszystko za tajemniczy fortel. Może Aleksander chciał doświadczyć wierności swych przyjaciół i żołnierzy, albo poznać rozmiary ich żałoby.

A jednak, gdyby to było prawda! Arideos stanął, wszystkimi palcami chwytając się za długo zwisające włosy. Gdyby to była prawda! Wówczas mogłoby się zdarzyć, że najbardziej niewymawialne, najbardziej niewyśnione wcieliłoby się w słowo i kształt. Przed tym progiem myśli umilkły. Arideosem owładnął zagadkowy niepokój. W duszy jego walczyło zwątpienie z ufnością, rozwijały się chaotyczne wizje, ale rzecz szczególna, że widział się w sobie tylko jako prześladowany i upośledzony i że świadomość mocy i wielkości wciąż nosił w sercu, jako ranę.

Przeszedł przez most na Eufracie i ulicę Królewską. Przy wielkim obelisku Słonecznym napotkali go królewscy paziowie, około dwudziestu lub dwudziestu pięciu. Niemo, powoli, tępo, z odkrytymi głowami, jak widma, poszli dalej. Paręset kroków, i wynurzyły się mury pałacu. Arideos zobaczył tylko czarną ciżbę niezliczonych mężczyzn. Panowała zupełna ciemność, nie paliła się żadna pochodnia, ani żadne ognisko. Tylko na wschód na kanale migotało

parę wątych światła, w których lśnił mżący deszcz.

Beztrosko przeciskał się Arideos przez tłumy żołdaków. Ich ołowiany spokój miał w sobie coś ściskającego serce. Wielu oparło lance i głowy zwiesiło między ramiona. Wielu siedziało na ziemi, nie zważając na deszczową wilgoć.

Z wielkim trudem dostał się Arideos na pierwszy dziedziniec pałacowy. Tu stali kapitanowie macedońscy w niemem milczeniu. Hale, krużganki, komnaty i schody, wszystko przepełnione ludźmi, wszyscy nieruchomi i milczący. Zdarzenie tak podziało na ludzi, że umysł ich nie był w stanie pojąć je naraz; aby w całości je zrozumieć, musieli przywołać na pomoc myśli, przeczucia, wspomnienia i przytłumioną naturę zwierzęcą.

Długi czas nie mogąc się poruszyć naprzód ani wtył, wciśnięty w ciżbę, musiał Arideos wsłuchiwać się w straszliwe milczenie, drgające w powietrzu czemś w rodzaju świstu. Gorący oddech stojących za nim dotykał mu karku.

Przeświadczony czemś niepojętem, od tej chwili zaczął wierzyć w śmierć Aleksandra. Dziko śmiał się w duszy. Równocześnie duch jego wzniósł się, jak na skrzydłach, a upojenie wiarą w siebie wycisnęło mu z oczu łzy uszczęśliwienia.

Ale teraz dokąd? Komu się pokazać? przed kim wywnętrzyć? Milczeć! milczeć i czekać! On, który każdą cudzą zasługę kładł na karb przy-padku, losowi pozostawiał własne szczęście.

Nagle zdjął go przesądny strach przed myślą, że będzie oglądał zwłoki Aleksandra. Udało mu się dobrnąć do jakiegoś bocznego, kotarami zasłoniętego wyjścia i wyszedł na drewniane schody. Po cztery, z wyciągniętymi nogami, przeskakiwał ze stopni na stopnie i nagle znalazł się w wąskim przejściu, prowadzącym do bocznych dziedzińców i do ogrodów.

Był już dzień, ponury, dżdżysty dzień. Pod jakąś arkadą położył się zmęczony na ławce i zasnął. Gdy obudził się, rozpoczął nanowo swe bezcelowe, ale głębokiem wzruszeniem uskrzydłone błędzenie. W parku i w dziedzińcach, wszędzie pełno żołnierzy. Chciał powrócić do pałacu, ale odsunęły go strażę. Nie wpuszczano już nikogo. Oddział szlachetnych miał polecenie usunąć z dziedzińców wszystkich innych żołdaków. Dowódcy piechoty wystąpili przeciw szlachetnym i w obelżywych słowach wyrzucali im ich nadmierną wrogość. Zbrojni w tarcze okrągłe szykowali się do walki.

„Wszystka krew niech spadnie na Perdik-kasa!“ zawołał jakiś głos.

Rozbrzmiały wojenne pieśni. Nowo nadchodzące wojska były uzbrojone od stóp do głowy.

Napół przestraszony, napół rozogniony, nie wiedząc, gdzie się zwrócić, wędrował Arideos wzdłuż wysokiego brzegu kanału, znowu zawrócił i, nie spostrzegając tego, tą samą drogę przeszedł trzy, lub cztery razy. Oddział konnicy przegalopował obok. Przed świątynią Nergala stali moiżni młodzi Babilończycy i szeptali. Wyrwani ze swego pokojowego próżniactwa z napięciem śledzili niesamowite poruszenie w mieście. Domy były zamknięte i zatarasowane. Wóz, naładowany kobietami i dziećmi, ciągnięty przez woły z długimi rogami, zdążał w stronę Borsippy. Na przeciwległym brzegu kanału wynurzył się jakiś grecki żołnierz i wołał do kogoś, że w dzielnicy Suzańskiej wybuchł pożar, ogień podłożyli żołdacy chorasmijscy.

W gorączkowem rozmarzeniu dotarł Arideos do obszernego budynku, z którego wnętrza rozlegał się melancholijny śpiew głosów kobiecych; była to fabryka dywanów; niewolnice śpiewały przy tkaniu. Niżej w wodzie kobiety prały bieliznę.

Arideos oparł się o podstawę jakiegoś zwierzęcego posągu. Jakim czynem rozpocząć? rozmyślał. Za wielkim wydał mu się świat, za wiele było w nim dróg. Które z nich wybrać? Byłby zdolny poświęcić życie, ale kiedy, z jakiego powodu? Czy miał jechać przez miasto, aby dać się poznać? Nie miał żadnego przyjaciela, ani towarzysza, ani stronnika.

Zapadał wieczór. Wiatr morski oczyścił niebo i półksiężyc wystąpił z osłony przejrzystych mgieł. Rozlegał się hałas i krzyki. Blask pochodni zalewał ulice. To byli żołdacy, rozłożeni pod murami. Tuż koło Arideosa pognali pierwsi z nich. To go wzięło. Nie namyślając się, wcisnął się do zastępu, gnał z nimi dalej, wyciągnął miecz i razem z nimi wołał: „Precz z Perdikkasem! Śmierć szlachetnym!“.

Mały gruby człowiek ze spoconą wygoloną twarzą zapytał go, kim jest. „Jestem Arideos, syn Filipa, brat Aleksandra“, odpowiedział z błyszczącymi oczami.

Żołnierz osłupiał ze zdziwienia. „Syn Filipa!“ zawył. „Słuchajcie, towarzysze, słuchajcież, Jazonie! Ifrykatesie! Trazondasie! Słuchajcież, on jest synem Filipa, synem króla Filipa!“.

Powstała ogłuszająca wrzawa. Arideos odchodził od zmysłów. Dwadzieścia rąk chwyciło go, wznosiło do góry. Przy nieustannych radośnych okrzykach poniesiono go dalej. Nadeszli inni Macedończycy. Syn Filipa! Słowo to było nieodparte. Wielu usłyszało po raz pierwszy, że w wojsku, w Babilonie znajduje się syn Filipa. Nie pytali długo, zadowolnili się oczywistością, swem przeczuciem, radością innych. Byli zadowoleni, że mieli nazwisko. Zbrojni w srebrne tarcze wzięli Arideosa w środek. Wśród hałasu triumfalnego wycia postanowiono w nocy jeszcze uderzyć na pałac.

Arideos nic już nie był w stanie rozróżniać, żadnego głosu, ani twarzy. Zdawał sobie sprawę, że stało się z nim coś olbrzymiego. Drżał nie do opisania.

Powstał naprzód pracy ruch. Blask płomieni wstrząsnął nocą. Rozległ się huk podobny do gromu; z pościnanemi pniami drzewnemi uderzyła piechota do bram pałacu. Na mury wyszedł Perdikkas i chciał mówić. Zakrzyczano go, rykiem brzmiano przeciw niemu imieniem Arideosa. Przez rozwaloną bramę zbrojni w srebrne tarcze wtargnęli do pałacu. Zastępy szlachetnych stawily im opór, doszło do walki, popłynęła krew, słyhać było rżenia umierających. Perdikkas spostrzegł, że nie podoła przemocy i wydał rozkaz odwrotu. Zastępy szlachetnych opuściły pałac. Zbrojni w srebrne tarcze uderzyli do śmiertelnej komnaty Aleksandra, aby przynieść Arideosowi diadem. Zastąpił im drogę Seleukkos, rzucił się na nich z zastępem królewskich paziów, dając tem Perdikkasowi możność ucieczki. Wkrótce komnata, w której spoczywał Aleksander, była oblana krwią. U stóp kładły mu się trupy pięknych chłopiat, a promień słoneczny oświetlał jego wyciągniętą żółtą rękę.

Eumenes, który zgromadził koło siebie opamiętanych i umiarkowanych, wysłał w nocy posłów do pałacu. Zostali zabici przez rozwścieczonych wojaków ze srebrnemi tarczami. Per-

dikkas udał się do Borsippy, Ptolomeos z czterema tysiącami ludzi, którzy tylko jego chcieli słuchać, pociągnął pod bramę Isztary. Co godzina przychodziło na ulicach do zaciętych walk. Z więzień babilońskich pouciekali skazańcy, robotnicy przeznaczeni do prac państwowych odmówili posłuszeństwa, niezliczone chmary niewolników, których prowadziło ze sobą wojsko, zostały opanowane duchem buntu. Zdarzały się tajemnicze morderstwa, i najśmielszych ogarniała obawa przed haniebną śmiercią z ręki skrytobójcy. Wybuchaly nieprzyjaźnie, których złość była zaraźliwa, jak wścieklizna. Dopiero teraz zdawał się budzić Babilon z podstępne go snu; ze swych czeluści wyrzygał wyrzutków ludzkości: zbiegów, napiętnowanych przestępców, awanturników i łajdaków, zbiegłych niewolników, którzy okradli swych panów i to, co posiadli, w jedną noc stracili z żołdakami, ludzi, którzy nie mieli ojczyzny na zamieszkałej ziemi i których za garść pieniędzy można było kupić do każdego szelmostwa. W świątyni Astarty obchodzono sprośne uroczystości, i nad pozarzynanemi ofiarami ludzkiemi unosił się wstrętny czad. Kapłani ciągnęli ulicami i przepowiadali koniec świata.

Arideos nie znajdował snu ani spokoju. Często pożydał jednej godziny samotności, ale wciąż nowi ludzie przychodzili z wciąż nowemi wieściami. Ludzie, których imiona i twarze po-

znał dopiero przed niewielu dniami, zdawali mu się teraz obcy. Niedowierzał ich czynom i myślom, podejrzewał ich, gdy mówili i gdy milczeli, kusiło go, aby podsłuchać ich, gdy szepczą po kątach. Gdy jakiś Pers z trwożną czcią klęknął przed nim, miał ochotę przejść po jego ciele lub wykpić jego poważną minę. Mnóstwo zajęć odejmowało mu dech i zmysły. Ciężko mu było rozróżnić słowa przyjazne od wrogich. Z czuwającemi oczami śnił krwawe sny. Czas wyskoczył z toru, wzdychał sam do siebie, i bał się o swój umysł, gdy nadeszły wszystkie nieszczęsne poselstwa, bunt i zdrada i mordy i głuche wrzenie we wszystkich częściach świata, gdy spojrzał na ulicę i niespodziewanie u stóp swych zobaczył trupa. Cała ziemia zdawała się drżeć. Wszystkie serca rozpały się nienawiścią, strapieniem, troską i niezgodą. Gdy nocą wyszedł na taras, całe niebo było purpurowo czerwone od łun pożarnych. Na pytania otrzymywał niewystarczające odpowiedzi. Sprowadzono do jego otoczenia zręcznych pochlebców, którzy chcieli przytępić jego sąd, zatajano przed nim ważne zdarzenia, wikłano go w sprawy bez znaczenia. Obchodzono jego rozkazy, a gdy je wykonano, upokarzano go jego omyłkami. Nie miał siły, aby zerwać podstępna sieć, w jaką go oplątano, nie miał odwagi, aby działać bez ich rady, stracił związek toku zdarzeń, przeczył sam sobie, był chwiejny, udęczony, w niewła-

ściwym czasie nieugięty i w niewłaściwym czasie ustępliwy. Skazał Perdikkasa, jako zdrajcę, na śmierć i niebawem zauważył, że wyśmiano go za to. Jego zamiary były bezpłodne, jego żądza czynu spalała się w jednym mgnieniu. Wszędzie rzeczy szły własnym swoim torem, i widział się niezdolnym, aby je zatrzymać, albo na inną skierować drogę. Zdawało mu się, że jest unoszony przez jakąś potężną falę wodną i że nie ma czasu, aby się opamiętał. Często nagliło go, aby cokolwiek rozkazał, wkońcu rozkazywał, żeby mu przyniesiono jedzenie, choć nie miał na nic najmniejszej ochoty. Mówił sobie, że gwałtowny prąd nowego życia obezwładnia jego wolę, i łudził się nadzieją na inne dni. Osobliwa trwoga wobec spokojnych, posępnych i pewnych wokół twarzy ścisnęła mu serce. Czuł się zmieszany bliskością tak wielu ludzi, którzy go poważali. Wkraczał między nich ze spuszczonego wzrokiem. Dusza jego była smutna i zbłąkana. Wszystko zdawało się odbiegać, co dawniej posiadał, usychała wyobraźnia, zanikała ochota do czynu, ginęła wiara w siebie. Nie śmiał już zrobić żadnego kroku, bojąc się, że mógłby być fałszywym, nie śmiał powiedzieć żadnego słowa, bojąc się nieporozumienia i drwin. Spojrzenia i miny wokół niego były coraz posępniejsze i pogardliwsze, i gdy pewnego dnia do pałacu wprowadził się Perdikkas, jako pan Babilonu i pierwszy urzędnik państwa, on,

król, był ostatnim, który dowiedział się o tej wieści i przyjął ją z podziwem.

Po śnie pełnym bolesnych rojeń wstał Arideos jeszcze przed północą, złożył ofiarę i zwrócił się do bóstwa z pełną nieskończonych prośb modlitwą. Tak bardzo zwątpił o sobie, że jak dziecko płakał i szlochał. Gdy potem wyszedł na kolumnowy krużganek, usłyszał pomieszane okrzyki i hałasy. Poszedł dalej, naprzeciw światła wynurzających się pochodni, i zobaczył niewolników, rzezańców i żołnierzy, a pośrodku nich dwóch perskich książąt. Gdy podszedł bliżej, spostrzegł jeszcze klęczącą na ziemi kobietę. Błagalnie wznosiła ręce i prosiła o życie. Była to Stateira. Z twarzy zerwano jej zasłonę, z ciała szaty. Oczy jej pływały we łzach. Obok niej stali perscy książęta z gołemi mieczami, aby ją bronić. „Musi umrzeć, tak kazała Roksana“, mówił jeden z żołdaków. I w mgnieniu oka, nagle jak demon, skoczył do niej jeden z rzezańców, złapał nieszczęśliwą kobietę za włosy, odchylił głowę w tył i nożem poderżnął gardło. Upadła bez głosu, daleko sięgający wytrysk krwi dotarł aż do Arideosa i skropił mu nogę.

W tej samej chwili ukazała się Roksana. Sama niosła pochodnię. Jej wysoka postać, widok jej brzemienności, jej strasznie posępna i nieruchoma twarz wywołały gwałtowne milczenie, przerwane długim okrzykiem bólu. Krzyczał Arideos, upadł, piana wystąpiła mu na

usta, członki jego ciała skrzyły się i drgały; dostał napadu. Podniesiono go i zaniecono do sypialni, gdzie powoli uspokoił się i zapadł w sen.

Rano wstał z ciężką głową i z ciężkiem sercem. Oddalał od siebie wszystkich pytających i szedł od miejsca do miejsca, póki nie natrafił na żadną ludzką twarz i ucho jego nie słyszało już żadnego głosu. Przysiadł w jakimś kącie, w nagłym porywie wyciągnął z ubrania fletnię, którą zawsze starał się nosić ze sobą, i zapominając samego siebie, przez wszystkich innych zapomniany, zaczął samemu sobie grać.

Brzmiało to, jak głos jakiegoś ptaka, cicho i delikatnie, wibrując jak konik polny. Potem wezbrały tony, nabierając głębi i objętości, i zdawało się, że z obłocznych wyżyn powoli zstępuje śpiewak, stopień po stopniu, i że wchłania w siebie ból ziemi w miarę, jak do niej się zbliża. Ciężko i zająkliwie dźwięczała ponura pieśń, niekiedy swiergoląc jak pierwszy śmiech dziecka, ale wkrótce wszystko pokrywało znowu biadanie i smutek. Z żadnych ust ludzkich nie wydobył się nigdy tak przepelniony troską ton.

Grał mistrz prawdziwy.

Gdy Arideos skończył grę, siedział bez ruchu w głębokiem milczeniu. Obudziło się w nim nieznane nigdy uczucie i niechętnie wyrwało mu się z duszy: podziw dla Aleksandra. Oczysz-

czony i uroczyście nastrojony samotnością i oddaniem swej duszy muzyce, rozumiał teraz, jakież to człowiek zginął z Aleksandrem. Zaraz potem załamał przerażony ręce i wwiercał się wzrokiem w jeden jedyny punkt w powietrzu, jakgdyby zobaczył tam scenę własnej swej śmierci.

K o n i e c.

